Łódź odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny

NR 42 (1141) ROK XXII 21 PAŹDZIERNIKA 1979 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:

Zielono mi...

Jedna dziewczyna, wysmukła, ubrana w modne obcisłe spodnie z dzianiny, pod swoim, ładnym zresztą, wizerunkiem, napisała krótko: „Ivettę — tel. 33-22-83", co natychmiast kilku stojących obok mnie mężczyzn zapisało w swoich notesach.
(Zbigniew Wojciechowski)

Generał spod Savannah

Na szańcach ukazują się pierwsze oddziały atakujących. Spada na nie uderzenie piechoty szkockiej, której generał Prevost powierzył najbardziej zagrożone odcinki. Trzykrotnie próbuje d'Estaing sforsować dostęp do redut przejściem wśród bagien. Pada ranny.
(Jan Janiszewski)

Moje 35-lecie

Były przecież i takie momenty, że dr M. Gluth, przedstawiciel uniwersyteckiej rady zakładowej, musiał w westybulu hotelowym uroczyście, z gestami dramatycznymi, zaręczać milicji obywatelskiej, że profesorscy lokatorzy poszczególnych pokoi całkiem godnie się sprawują w czasie nocnego spoczynku.
(prof. dr Konrad Jażdżewski)

Sanatorium w Kolumnie

Na razie w sanatorium jest tylko setka dzieci. Ale czas robi swoje. Za kilka miesięcy, w szpitalach, w poradniach pediatrycznych, lekarze uświadomią sobie, że istnieje „coś takiego" w Kolumnie, uświadomią to sobie uważni nauczyciele w szkołach i troskliwi rodzice.
(Andrzej Makowiecki)

Donoszę z frontu

Telefonicznie przerwał dalszy druk gazety i zarządził wycofanie wydrukowanych już egzemplarzy. A mnie za niedopatrzenie błędu skazał na tydzień aresztu domowego. Po tygodniu, kiedy mnie spotkał, zapytał życzliwie:
— No, jak, odpoczęliście sobie przez ten tydzień?
(Franciszek Lewandowski)

Co w kablu piszczy

Wystarczy teraz, że ten wątły „wąs", którego uczepiło się kilka, czy kilkanaście wsi, uszkodzony zostanie tuż za stacją — wszystkie pozbawione są energii elektrycznej, gdyż nie ma możliwości zasilenia ich z innego kierunku.
(Jacek Indelak)

PONADTO:
„Załącznik" ▬ Literatura ▬ Recenzje ▬ Felietony

W NASTĘPNYCH NUMERACH:
▬ O Cyganach ▬ O opętanych ▬ O regeneracji ▬ O zbrodni w osadzie Łódka

W STRONĘ HUMANIZMU

ROZMOWA Z LEONEM GOMOLICKIM

— Tegoroczna nagroda Prezesa Rady Ministrów I stopnia jest oficjalnym wyrazem uznania dla Pana twórczości literackiej, cenionej przez krytykę i miłośników ambitnej prozy współczesnej. Cieszy nas, że tak wysoko uhonorowano pisarza z łódzkiego środowiska literackiego, co zresztą nastąpiło po raz pierwszy. Także dla mnie, który darzę Pańską twórczość szczególnym zainteresowaniem, a przed sześcioma laty podjąłem próbę jej całościowego omówienia, nagroda ta jest pośrednio osobistą satysfakcją. Przez ten czas dorobek Pana zwiększył się o dwie nowe powieści: „Erotyk" i „Taniec Eurynome" oraz tom szkiców filologicznych „Przygoda archiwalna", ukazało się nadto trzytomowe wydanie „Prozy" zawierające wznowienia dziewięciu powieści. Kolejną próbą bilansu Pana pisarstwa była ubiegłoroczna sesja literacka, zorganizowana przez Łódzki Oddział ZLP, Instytut Filologii Polskiej UŁ i Miejską Bibliotekę Publiczną im. L. Waryńskiego. Fakty te świadczą o dużej nośności tej fali twórczej (w już sześćdziesięcioletniej biografii pisarskiej), na której w ostatnim dwudziestoleciu powstało piętnaście tomów prozy i o ich społecznym rezonansie. A przecież stawia Pan czytelnikowi swych powieści wiele wymagań natury intelektualnej, szuka porozumienia z nim na gruncie pewnej wiedzy o kulturze i poza konwencjami tradycyjnej beletrystyki. Proza ta zawiera partie erudycyjne, liczne aluzje do literatury antycznej, mitologii, do klasyki europejskiej. Jaką rolę odegrała więc w Pana twórczości kultura, na przykład edukacja klasyczna, znajomość literatury rosyjskiej?

— Kultura antyczna fascynowała mnie od najmłodszych lat, klasyka najsilniej działała na moją wyobraźnię. Początkowo jednak przyjmowałem wyłącznie to, co mogło poruszyć dziecięcą imaginację, co zawierało pierwiastki niezwykłości, fantastyki, tajemnicy — świat mitologicznych bogów. Dzięki matce wcześnie poznawałem podstawy astronomii. Miałem własny teleskop i dużą mapę nieba. A to też było niebo mitologiczne. Natomiast literatura dla dzieci i młodzieży nie interesowała mnie, mam w tej dziedzinie duże braki.

Tę szczególną ciekawość starożytności i w ogóle dziejów i dzieł dawnych wyniosłem z domu. Była w nim osobliwa magia książki. W szafie ojca leżały grube, bogato zdobione księgi, m. in. Biblia i „Don Kichot" ilustrowane przez Dorégo, luksusowa, wielotomowa edycja dramatów Szekspira. Dziś, w dobie książki taniej i masowej, nie zawsze zdajemy sobie sprawę, jak graficzny wystrój książki może inicjować pierwsze kontakty i zauroczenia czytelnicze, budować podwaliny pod trwały związek młodego, chłonnego umysłu z wysoką kulturą literacką, jeszcze nie pojmowaną należycie w pełni jej treści ale już uczuciowo, intymnie bliską. Pamiętam, że mając bodaj dziesięć lat, po przeczytaniu tragedii Szekspira sam zacząłem pisać utwory w tym stylu, ilustrując je rysunkami. Później malarstwo, zwłaszcza zaś grafika książkowa, pociągały mnie nawet bardziej niż literatura. Dałem opracowanie plastyczne m. in. przekładom Słobodnika z Lermontowa i Puszkina w latach 1934—1935, a na rok przed wybuchem wojny studiowałem w Wyższej Szkole Sztuk Zdobniczych w Warszawie pod kierunkiem bardzo mi życzliwego prof. Adama Gerżabka.

Ciąg dalszy na str. 10

„...zrozumiałem, że jestem na tropie form, które będą odpowiednie dla wyrażenia złożonej, wiele aspektów wiedzy ogarniającej refleksji, stanowiącej siłę napędową mojej pracy".

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

DONOSZĘ Z FRONTU...

Drogę bojową odrodzonego Ludowego Wojska Polskiego od Lenino aż do Berlina utrwalali w tysięcznych meldunkach, korespondencjach, reportażach i opowiadaniach dziennikarze wojskowi — redaktorzy i korespondenci wojenni pierwszych zrodzonych w ogniu walk frontowych gazet żołnierskich.

Najpierw był „Żołnierz Wolności", gazetka frontowa I Dywizji im. T. Kościuszki. Pierwszy jej numer ukazał się 12 czerwca 1943 r., a ostatni w kwietniu 1944 r. Kilkuosobowy jej zespół redakcyjny z naczelnym redaktorem Henrykiem Wernerem tworzył zupełnie nowy typ pisma. Na przestrzeni dwóch niedużych kolumn trzeba było odzwierciedlać przebieg każdego dnia dywizji. Więc artykuł wstępny, komunikaty z odległych terenów walk, najważniejsze wydarzenia na bliskim froncie w relacjach korespondentów wojennych. Każde słowo miało ogromną wagę. Tutaj właśnie ekonomia miejsca odgrywała wielką rolę. Artykuł nie mógł obejmować ponad 60 wierszy, a korespondencja od 20 do 40 wierszy.

Od kwietnia 1944 r. miejsce „Żołnierza Wolności" zajął „Głos Żołnierza", wydawany w Sumach na Ukrainie, a później w Żytomierzu, pod redakcją Stanisława Nadzina. Początkowo wychodził 3—4 razy na tydzień, od końca maja codziennie w objętości 2 stron i w nakładzie około 2 tysięcy egzemplarzy. Ostatni numer ukazał się 17 sierpnia 1944 r.

Prócz „Żołnierza Wolności" i „Głosu Żołnierza" wychodziły na froncie gazety: I Korpusu WP — „Zwyciężymy", IV Dywizji im. Jana Kilińskiego — „ Do boju", Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego WP — „Orzeł Biały" i innych jednostek.

Redakcje gazet frontowych przeważnie przenosiły się z miejsca na miejsce, w zależności od sytuacji bojowej. Bazę drukarską stanowiły nie zawsze sprawne dwa samochody ciężarowe: jeden przewożący kilkanaście kaszt z czcionkami, a drugi — maszynę drukarską na napęd ręczny, tak zwaną pedałówkę. Skład osobowy redakcji stanowiło zaledwie kilka osób i to ludzi, przeważnie nie mających nic wspólnego z dziennikarstwem. Pochodzili z różnych środowisk i reprezentowali różne profesje. Byli prawnikami, nauczycielami, oficerami. Wielu dzisiejszych dziennikarzy zdobywało pierwsze ostrogi i umiejętności właśnie w czasie wojny jako korespondenci wojenni.

Byłem jednym z nich. Po ukończeniu wyższych studiów w 1937 r. we Lwowie, wybrałem zawód nauczyciela gimnazjalnego. Pracowałem przez dwa lata w gimnazjum w Kołomyi. Ani przez myśl mi nie przeszło podówczas, że kiedyś zostanę dziennikarzem.

To, że zostałem redaktorem, zawdzięczam w głównej mierze znanemu działaczowi robotniczemu i publicyście. Mianowicie, kiedy w maju 1944 r. w Sumach na Ukrainie zgłosiłem się jako ochotnik do wojska polskiego, późniejszy szef Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego i generał WP, podpułkownik Wiktor Grosz w rozmowie ze mną na temat przydziału, zaproponował mi skierowanie do „Głosu Żołnierza".

Spróbowałem i pozostałem na zawsze w dziennikarstwie: od 1944 do 1950 r. w prasie wojskowej, a od roku 1950 aż do przejścia na emeryturę w dziennikarstwie radiowym.

Największe trudności stwarzało zdobywanie materiału. Dziś, w warunkach pokojowych, redakcja każ-

Ciąg dalszy na str. 2

JAN JANISZEWSKI

GENERAŁ SPOD SAVANNAH

Warka. Ulica Kazimierza Pułaskiego. U jej krańca brama wjazdowa. O sto metrów od bramy pałac. Tu się patron urodził 4 marca 1747 roku. Pałac był wielokrotnie przerabiany, toteż trudno jest określić jego styl. Pozostał park z dawnych lat: wspaniały starodrzew liściasty.

W gabinecie dyrektora Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego — pani Anny Kornatkowej, gobelin Gałkowskiego przedstawiający Pułaskiego na wspiętym koniu. Rozmowa nabiera niemal rodzinnego ciepła, kiedy wspomniałem, że przyjechałem z Łodzi.

— *W tej chwili jest u was sztandar z czasów wojny secesyjnej, przekazany nam przez Fundację*

Ciąg dalszy na str. 6

NAUCZYCIELE

W ubiegłym tygodniu obchodziliśmy Dzień Nauczyciela. O przedstawienie statystycznego nauczyciela miasta i województwa poprosiliśmy mgr Janusza Leszczyńskiego, kierownika Oddziału ZG ZNP w Łodzi.

— Jak liczną grupę zawodową reprezentuje statystyczny nauczyciel Łodzi i województwa miejskiego łódzkiego?

— Jest jednym z 13 tysięcy nauczycieli, którzy uczą w szkołach różnych szczebli poczynając od przedszkoli, poprzez szkolnictwo podstawowe, średnie i zawodowe. Liczba ta obejmuje także nauczycieli szkół specjalnych.

Foto: R. Łucyszyn

— W rubryce płeć wpisalibyśmy...

— Kobieta. Aż 80 proc. w tym zawodzie stanowią panie. O ile w przedszkolu i w nauczaniu początkowym trudno zastąpić nauczycielkę kobietę, o tyle w starszych klasach szkół podstawowych i w szkolnictwie średnim przydałoby się nam więcej nauczycieli mężczyzn. Przede wszystkim ze względów wychowawczych. Nie jest dobrze, kiedy młodzież, a zwłaszcza chłopców, wychowują tylko przedstawiciele jednej płci. Pociąga to za sobą określone wzorce do naśladowania, postawy itp Sytuację ratują szkoły zawodowe, w których sporo panów, inżynierów i techników, uczy przedmiotów zawodowych.

— Nasz statystyczny nauczyciel jest zatem kobietą i to kobietą młodą, z reguły posiadającą rodzinę i własne dzieci.

— Oczywiście. Mamy zaledwie 5 proc. nauczycieli, którzy przekroczyli 50 rok życia. Przeważają nauczycielki w wieku lat 40, a więc w pełni sił. Kadry nauczycielskie jeszcze się nam odmładzają. W tym roku przyjęliśmy do pracy w szkolnictwie 184 absolwentów wyższych uczelni. W poprzednim roku — 240 osób. W latach następnych, w związku z postępującą reformą liczba osób wybierających zawód nauczycielski powinna się nam zwiększać.

— Uchwały rządowe i reforma oświaty zakładają, iż każdy nauczyciel powinien ukończyć wyższe studia. Wynika to z podniesienia poziomu nauczania i wzrostu wymagań wobec szkoły. Jakim wykształceniem legitymuje się nasza nauczycielka?

— 54 proc. nauczycieli miasta i województwa ukończyło studia wyższe. Pozostali uzupełniają wykształcenie. Od 1973 r. skierowaliśmy na uniwersytet 2320 osób. Co roku na kursach prowadzonych przez Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych doskonali swoje umiejętności 2000 nauczycieli. W tym 600 osób stanowią nauczycielki wychowania przedszkolnego, 1200 — nauczania początkowego w klasach I — III, a 200 osób uczy matematyki w klasach IV — VI. Z zasady są to kursy trzyletnie. Mniej więcej za dziesięć lat każdy nauczyciel Łodzi i województwa będzie posiadał wyższe studia.

— Nasza statystyczna nauczycielka pracuje, dokształca się, zajmuje domem i własną rodziną. Mimo tylu zajęć starcza jej jeszcze czasu na pracę społeczną...

— Nauczyciele należą do najbardziej uspołecznionej grupy zawodowej. Każdy nauczyciel pracuje w organizacji działającej na terenie szkoły: ZHP, TPPR, SKO, PTTK i innych, co traktujemy jako ciąg pracy dydaktyczno-wychowawczej. Nie brak nauczycieli w instancjach partyjnych, radach narodowych, samorządach osiedlowych. Uważam jednak, że wielu nauczycieli obarczonych jest zbyt wieloma funkcjami społecznymi, co ogranicza i tak bardzo napięty budżet czasu.

— Miejscem pracy nauczyciela jest obok szkoły własne mieszkanie, w którym przygotowuje się do lekcji, czyta, poprawia prace uczniowskie. Jakie warunki mieszkaniowe ma nasza statystyczna nauczycielka?

— W ostatnich latach wiele się w sytuacji mieszkaniowej nauczycieli poprawiło. W ub. roku od władz miasta decyzje na otrzymanie mieszkania w terminie przyspieszonym otrzymało 100 nauczycieli, w tym roku takie same decyzje wręczono 60 osobom. Według naszych obliczeń jeszcze 300 nauczycieli (na 13 tysięcy pracujących) mieszka w trudnych warunkach i czeka na przydział mieszkania. Na wsi przestrzegamy zasady, aby obok budynków szkolnych budowano domy dla nauczycieli. Niedawno nowy budynek szkolny wraz z mieszkaniami przekazano w Parzęczewie.

— A jak przedstawia się stan zdrowia naszej nauczycielki?

— Niestety nie przeprowadzono badań wszystkich nauczycieli, które pomogłyby nam zorientować się w stanie zdrowia całej grupy. Pewne wnioski możemy wyciągać z zapotrzebowań na leczenie sanatoryjne. Najczęściej nauczyciele leczą się na choroby układu krążenia, schorzenia nerwicowe i choroby górnych dróg oddechowych. W ubiegłym roku z leczenia sanatoryjnego w sanatoriach związkowych, uzdrowiskowych i FWP-owskich skorzystało 1050 osób — 70 proc. potrzebujących tego typu leczenia. Zły stan zdrowia upoważnia nauczycieli do zniżki godzin lekcyjnych i płatnych urlopów dla poratowania zdrowia. Z urlopów takich skorzystało w ub. r. 257 osób.

— Blisko 75-letni Związek Nauczycielstwa Polskiego ma bogate tradycje w pielęgnowaniu amatorskiego ruchu kulturalnego nauczycieli. Czy bohaterka naszej rozmowy kontynuuje te tradycje?

Najlepszym potwierdzeniem jest tutaj działalność Klubu Nauczyciela. Mamy najstarszy nauczycielski klub literacki, 25 lat obchodził niedawno chór nauczycielski, ożywioną działalność przejawia sekcja plastyczna, szachowa, teatrzyk nauczycielski.

Nauczyciele nie stronią także od sportu. Niedawno pedagodzy z Górnej zdobyli mistrzostwo Polski w piłce siatkowej.

— A jak nauczycielka, o której mówimy, wypoczywa?

— Myślę, że nie powinna narzekać na brak możliwości wypoczynku. Przeciętnie co trzy lata może wyjechać na wczasy z rodziną, a jeśli to możliwe nawet częściej. Dysponujemy ośrodkami własnymi w Spale i w Toporowie, korzystamy z domów ZG ZNP, FWP i kwater prywatnych. Dużym powodzeniem cieszą się wczasy do NRD i wycieczki organizowane do krajów demokracji ludowej przez Ośrodek Usług Socjalnych i Pedagogicznych. W przeciwieństwie do innych grup zawodowych nie możemy rozdzielać wczasów przez cały rok, ale jesteśmy ograniczeni terminami wakacji i roku szkolnego.

— Na zakończenie pozwolimy sobie zadań pytanie, któremu trudno się oprzeć. Dlaczego nasza statystyczna nauczycielka podobnie jak jej koledzy po fachu z innych państw (co wynika z informacji UNESCO) narzeka na spadek prestiżu zawodu. Czy nie uważa pan, że jest to rezultat trzymania się starego wzorca nauczyciela, który był najwyższym autorytetem w wielu sprawach, a szkoła jedynym źródłem edukacji. Dzisiaj przybyło nam pozaszkolnych źródeł nauczania. Pozycja i rola nauczyciela jest nadal bardzo ważna, ale po prostu inna.

— Być może tkwi w tych poglądach ukryty żal za tym, co minęło. Nie miałbym jednak nauczycielom za złe tych tęsknot. Przeciwnie, mogą być one źródłem ambicji i coraz lepszej pracy.

Rozmawiała:
MAŁGORZATA GOLICKA

PO IV ZJEŹDZIE TŁUMACZY

Literatura piękna w przeciwieństwie do innych dziedzin sztuki ma najbardziej utrudnioną drogę do odbiorcy zagranicznego. Tłumaczom przypadła więc rola o szczególnej doniosłości.

W pięknych słowach ujął istotę trudu tłumacza prezes Związku Literatów Polskich — Jarosław Iwaszkiewicz, który wzbogacił dorobek kultury polskiej nie tylko własną twórczością, lecz przybliżył również czytelnikowi wiele pięknych kart literatury światowej.

— Tłumaczenie jest nie tylko rzemiosłem, ale także posłannictwem. W tym rzemiośle udoskonalenie polega na stałym kontakcie z żywymi źródłami naszej mowy, z ludźmi, którzy język ten i literaturę tworzą. Jest to piękne i wielkie zadanie udostępniania ludziom tej twórczości. Każdy przekład gdzieś komuś pomoże powiedzieć do drugiego człowieka: „Bracie"!

O swej pracy przekładowej mówiła Maria Dąbrowska, że **najważniejszym bodźcem warunkującym dobry przekład jest upodobanie, więcej — miłość do tłumaczonego dzieła. Dobrze, z natchnieniem, a nawet kongenialnie można tłumaczyć tylko dzieło, które się zna i kocha lub które poznawszy przy braniu do roboty na warsztat szczerze się pokochało.**

— Łączy nas wszystkich umiłowanie języka polskiego, kultury polskiej — to zdanie przewijało się przez wiele wypowiedzi, jakie padły w toku dyskusji na IV Międzynarodowym Zjeździe Tłumaczy Literatury Polskiej, który obradował ostatnio w Warszawie i Krakowie. Przypomnijmy: w Zjeździe wzięło udział ponad stu przyjaciół polskiej książki z czterech kontynentów: Europy, Ameryki, Azji i Australii. Przybyli oni z różnych stron świata, z krajów najbliższych nam i oddalonych o dziesiątki tysięcy kilometrów.

Obrady nie ograniczały się tylko do roboczych sesji literackich poświęconych takim tematom jak polska proza, poezja i dramaturgia ostatnich lat, tendencje rozwojowe języka polskiego czy różnorakie problemy pracy tłumacza.

Polska literatura pokonuje coraz szerzej barierę językową i dociera do milionów czytelników z najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej. Najlepiej uzmysławia to fakt, że w ciągu powojennego 35-lecia przetłumaczono przeszło 6,5 tys. książek polskich autorów na 70 języków świata. Kilkuset polskich pisarzy „zdobyło" co najmniej po kilka zagranicznych przekładów. Coraz szerzej toruje sobie drogę literatura współczesna. W samym tylko Związku Radzieckim utwory naszej literatury przełożono na 38 języków Kraju Rad. Wiele utworów naszych pisarzy udostępniono czytelnikom w Czechosłowacji, NRD, na Węgrzech, w Bułgarii, Rumunii i Jugosławii. Coraz więcej przekładów polskiej literatury pojawia się nie tylko w krajach europejskich takich jak Francja, RFN, Włochy, Holandia, ale również wchodzą na rynki czytelnicze Stanów Zjednoczonych, Meksyku i Japonii.

TEATR NOWY W 31 SEZONIE

30 lat mija od czasu, kiedy Teatr Nowy wystąpił ze swą pierwszą premierą — **„Brygadą szlifierza Karhana"**. A więc jubileusz. Wystawiony nań zostanie 11 listopada **„Bogusławski" W. Rapackiego** w reżyserii **W. Pilarskiego.** Premiera ta związana jest również z obchodami 150 rocznicy śmierci Wojciecha Bogusławskiego. Z okazji jubileuszu ukaże się także praca zbiorowa mówiąca o historii i dniu dzisiejszym teatru, przygotowywana redakcyjnie przez **S. Kaszyńskiego.**

Jubileusz jubileuszem, ale kurtyna podnosi się niemal codziennie. Cóż więc obejrzymy w nowym, 31 już sezonie teatru. W Małej Sali odbyła się już premiera, bardzo zresztą udana, **„Lekarza mimo woli" Moliere'a** w reżyserii **B. Baera** (czytaj recenzję na str. 12). Na Dużej Scenie będziemy oglądać m. in. **Gyubala Wahazara czyli Na przełęczach bezsensu" S. I. Witkiewicza** w reżyserii **B. Korzeniowskiego,** poza tym wodewil **Wojciecha Młynarskiego** i najprawdopodobniej nową sztukę **Sławomira Mrożka.**

W Małej Sali ponadto, poza repertuarem z poprzednich sezonów, także **„Milczenie" Branstaedtera** i **„Wieczór tuwimowski".**

NIE TYLKO HISTORIA

Ciąg dalszy ze str. 1

DONOSZĘ Z FRONTU...

dego pisma otrzymuje materiały z rozlicznych agencji prasowych, zarówno krajowych, jak i zagranicznych. W czasie wojny redakcje były zdane wyłącznie na własne siły. Musiały zdobywać je za pośrednictwem korespondentów wojennych, którzy często z narażeniem życia docierali do jednostek i nawiązywali bezpośredni kontakt z walczącym na froncie żołnierzem. Wczuwali się w jego psychikę, przeżycia, poruszali sprawy, które były dla niego istotne, najważniejsze. Ten bezpośredni kontakt sprawiał, że żołnierz kochał i wierzył swojej gazecie.

W ślad za wkraczającymi do Lublina wojskami polskimi, podążała również ekipa dziennikarzy wojskowych, z redaktorem naczelnym Henrykiem Wernerem. Początkowo radowaliśmy się, że jesteśmy już w Polsce, w wolnym mieście, że teraz chyba przystąpimy do wydawania gazety z prawdziwego zdarzenia. Dotychczasowe gazetki frontowe miał zastąpić centralny organ WP — „Polska Zbrojna". Redaktor naczelny obiecywał, że lada dzień przystąpimy już do wydawania gazety, ale mijały dni, tygodnie i miesiące, a gazety jak nie było, tak nie było. Kiedy interweniowaliśmy w tej sprawie u naczelnego, ten usprawiedliwiał się, że nie od niego zależy ostateczna decyzja. Są trudności natury technicznej, które uniemożliwiają wydawanie gazety. No cóż, musieliśmy się w końcu zgodzić na tego rodzaju stan rzeczy i czekać cierpliwie na zielone światło dla „Polski Zbrojnej".

Tymczasem jeździliśmy jak dawniej na front i po kilku dniach przywoziliśmy do Lublina relacje i korespondencje. Częściowo zamieszczaliśmy je w biuletynach żołnierskich, a częściowo drukowaliśmy w ukazujących się już w Lublinie dziennikach „Rzeczpospolitej", „Robotniku" i „Gazecie Lubelskiej".

Droga na front, jaką odbywał korespondent wojenny, była nie do pozazdroszczenia, usłana wieloma trudnościami i kłopotami. Zaczynała się ona najpierw od krótkiej rozmowy z naczelnym redaktorem:

— Pojedziecie do sztabu armii — oznajmiał korespondentowi — a stamtąd do dywizji.

— Tak jest, obywatelu majorze!

— Przygotujecie kilka lub kilkanaście sylwetek wyróżniających się żołnierzy i oficerów. Możecie opracować także reportaż. Zresztą bliższych informacji na ten temat udzielą wam w sztabie. Za 5 dni zameldujecie się u mnie. Zrozumiano?!

— Tak jest, obywatelu majorze! Ale jakim środkiem lokomocji dostanę się do Pragi?

— To już wasza sprawa. Idźcie na Spokojną, tam na pewno znajdziecie jakiś samochód.

Ulica Spokojna wcale nie była spokojną. Panował na niej ruch niezwykły. Mieściły się tu bowiem pierwsze urzędy i biura państwowe. Nieraz w jednym pokoju pracowało kilka a nawet kilkanaście osób. Przy jednym biurku siedziało 3 lub 4 dyrektorów departamentu i radców. Do ubikacji szło się przez gabinet wiceministra, który nocą służył mu za sypialnię, a w dzień za miejsce pracy trzech innych jeszcze osób. Przyjeżdżało tu wprawdzie kilka samochodów, ale przeważnie miejsc w nich nie było.

Nie mogąc znaleźć samochodu na Spokojnej, korespondent udawał się wtedy na rogatki lubelskie, gdzie był największy ruch kołowy.

I tak jechało się „okazją" pod plandeką albo na stojąco, lub w najlepszym razie zajmowało się miejsce na workach ze zbożem lub beczkach z benzyną czy kapustą.

Ale nie koniec było tej udręki w podróży. Kiedy przyjechało się do Pragi, trzeba było szukać znowu samochodu na Zieloną, gdzie mieścił się sztab armii. Stąd dopiero jechało się do pułku czy dywizji, w zależności od tego, gdzie najwięcej coś się działo. Potem korespondent szedł już najczęściej pieszo lub jakąś podwodą czy na jaszczu armaty jeździł do batalionu, kompanii, na stanowiska artylerii.

Te jednak trudności, które korespondent musiał przezwyciężać w kilkudniowej podróży, wynagradzały całkowicie radość i satysfakcja z bezpośrednich rozmów z żołnierzami, które przynosiły moc ciekawych i interesujących materiałów z pól bitewnych. Ileż to nocy i dni spędzaliśmy razem z żołnierzami na pierwszej linii frontowej. Poznawało się niezmierne bogactwo typów ludzkich, widziało się codzienny trud żołnierza.

W podobny sposób odbywało się drogę powrotną do Lublina. Tu witały korespondenta smętne miny kolegów, którzy na pytanie: Co z gazeta? Odpowiadali z westchnieniem:

„Gdy się skończy wielka wojna,
Może wyjdzie „Polska Zbrojna".

I tak było aż do stycznia 1945 r. Dnia 13 stycznia, w chwili rozpoczęcia wielkiej ofensywy nad Wisłą, ukazał się ku naszej radości pierwszy numer centralnej gazety wojskowej „Polska Zbrojna", a w jakiś czas później Łódź, po wyzwoleniu, przyjęła naszą redakcję gościnnie. Od tej chwili zaczęły się ukazywać codziennie w gazecie relacje i korespondencje frontowe. Zmieniły się na lepsze również warunki pracy i dojazdy na front. Dysponowaliśmy już własnymi samochodami. Często z Łodzi udawały się na front samochody, przewożące żołnierzy i oficerów. Korzystali z nich także i nasi korespondenci. Również i na miejscu w jednostkach byliśmy zaopatrywani w środki lokomocji, umożliwiające dotarcie do najbardziej wysuniętych stanowisk bojowych.

Wyjeżdżało się na 4—5 dni, a wracało po kilkunastu dniach, albo i wcale. Tak na przykład było z korespondentem „Orła Białego", starszym sierżantem Marianem Cudnowskim. Przyjechał do jednostki akurat w czasie akcji bojowej. Nie namyślając się wsiadł razem z dowódcą batalionu do czołgu i zniszczył dwa „Tygrysy". Padł od kuli wroga. Inny korespondent, Zenon Burkowski, w czasie pobytu w jednostce został wraz z innymi okrążony i zaatakowany przez Niemców. Po śmierci dowódcy batalionu i jego zastępcy, objął dowództwo i przewodził w walce przez 8 dni. Wreszcie udało mu się wyrwać z okrążenia i powrócić do redakcji w stanie zupełnego wyczerpania. Były wśród korespondentów kobiety, jak na przykład ppor. Budzińska, która wmieszana w wir walki przyłączyła się do sanitariuszy i razem z nimi opatrywała rannych żołnierzy.

Niekiedy tego rodzaju spotkania z Niemcami kończyły się wprost humorystycznie. O jednej takiej tragikomicznej scenie opowiedział mi mój szwagier, korespondent wojenny, major Tadeusz Jacek Rolicki, ojciec znanego dziennikarza warszawskiego Janusza Rolickiego.

Pewnego razu jechał wraz z kierowcą samochodem jednostki na zachód od Kołobrzegu. Przez jakiś czas jechali spokojnie. W pewnym momencie zamajaczyła na drodze jakaś grupka ludzi. Kierowca, przypatrzywszy się jej bliżej, nagle krzyknął z przerażeniem:

— Obywatelu kapitanie, jak pragnę zdrowia... przed nami Szkopy!

— Gdzie?

— Na prawo!

Dokończenie na str. 4

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAIER TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW S. NOWAK EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI

W 1835 roku na łódzkich ulicach rozbłysło pierwszych 11 lamp olejowych. W 1869 roku rozpoczęto instalowanie latarni gazowych. Pierwsze 4 latarnie elektryczne — żarowe pojawiły się w 1908 roku na Nowym Rynku, czyli dzisiejszym placu Wolności. W 1939 roku 280 km ulic oświetlonych było 6.585 lampami.

Pierwszych 45 jarzeniówek zawieszono nad łódzkimi ulicami w 1960 roku. W pięć lat później zainstalowano pierwsze lampy rtęciowe. W 1975 roku na szczególnie ruchliwych skrzyżowaniach miasta włączono pierwszych 17 wysokoprężnych lamp sodowych. W obecną pięciolatkę Łódź weszła z 24.567 lampami rtęciowymi, 12.372 lampami żarowymi, 2.852 lampami jarzeniowymi i 17 lampami sodowymi.

JACEK INDELAK

CO W KABLU PISZCZY

W ostatnim okresie stan ten niewielkim uległ zmianom, gdyż od dwóch lat energetyka nie nadąża za potrzebami, co daje się nam wszystkim we znaki do tej pory. Od tego też czasu — mawiają prześmiewcy — sprawdza się na co dzień paradoksalne jeszcze do niedawna porzekadło, głoszące, że najciemniej jest pod latarnią.

Rzeczywiście, zmuszeni jesteśmy likwidować niedobory mocy, ograniczając w pierwszym rzędzie pobór energii elektrycznej przez zakłady przemysłowe, pozbawiając w dalszej kolejności oświetlenia ulicznego całe rejony czy dzielnice, a nawet odcinając dopływ prądu do mieszkalnych kwartałów. Ostatni ten zabieg nazywany jest zresztą w fachowej nomenklaturze energetyków „katastrofalnym: wyłączeniami ludności". Stosowany jest bowiem na zasadzie przysłowiowej ostatniej deski ratunku.

Łódzka energetyka jest integralną częścią krajowego systemu energetycznego, przez co dotkliwie odczuwa skutki niedoborów. Odczuwa tym dotkliwiej, że jest poważnym „importerem" energii elektrycznej, czerpiącym z państwowego systemu prawie 60 procent energii niezbędnej do prawidłowego funkcjonowania miasta i jego gospodarki.

Łódzki „import" energii elektrycznej rozpoczął się już w październiku 1947 roku, z momentem oddania do eksploatacji linii wysokiego napięcia 110 kV, łączącej Łódź ze Śląskiem. Linia ta budowana była zresztą z perspektywicznym rozmachem — jako pierwsza polska linia, przystosowana gabarytami i izolacją do przenoszenia napięcia 220 kV. Stanowiła ona również pierwszy element państwowego systemu elektroenergetycznego 220 kV: Śląsk — Łódź. Jej budowa urzeczywistniała udaremniony przez wybuch wojny projekt elektryfikacji Polski, nakreślony już w 1930 roku przez Polski Komitet Energetyczny. Jej budowa w końcu otwierała przed Łodzią możliwość szybkiego i właściwego rozwoju, przez związanie jej z silnym pod względem energetycznym Śląskiem, który od tego momentu wspomagał miasto, w którym już w pierwszych latach odbudowy wystąpił znaczny niedobór mocy.

TAKI BYŁ POCZĄTEK

Przypominając ten — jakże istotny dla rozwoju Łodzi — fakt, odwołaliśmy się już do okresu międzywojennego. Cofnijmy się zatem jeszcze dalej — do chwili narodzin łódzkiej energetyki, a więc do roku 1906, w którym koncesję na budowę i eksploatację elektrowni oraz sieci energetycznej w całym mieście uzyskało niemieckie „Towarzystwo Elektrycznego Oświetlenia 1866". Przystąpiło ono do działania w iście łódzkim tempie.

7 maja 1906 roku popłynął po raz pierwszy w Łodzi prąd elektryczny kablem niskiego napięcia, ułożonym od Grand Hotelu przy ulicy Traugutta 3 do posesji przy ul. Piotrkowskiej 37. Źródłem energii był zespół prądotwórczy o mocy 60 kW, zainstalowany w podziemiach hotelu. Wkrótce — bo już 31 lipca 1906 roku — w tkalni A. Domaniewicza przy ul. Wólczańskiej 38 ruszył pierwszy elektryczny silnik o mocy 7 kW, co było równoznaczne z przyłączeniem do sieci pierwszego w Łodzi odbioru siłowego. W końcu tego samego roku miejska sieć składała się już z 60 km kabla, doprowadzającego prąd średniego i niskiego napięcia m.in. na ulicę Piotrkowską i jej przecznice. Równocześnie trwała budowa łódzkiej elektrowni, która zainaugurowała swoją działalność we wrześniu 1907 roku uruchomieniem pierwszego turbozespołu o mocy 1,3 MVA. W ciągu pierwszych pięciu lat budowy elektrowni jej łączna moc osiągnęła ponad 26 MVA, zaś maksymalne obciążenie łódzkiej sieci wyniosło w tym roku prawie 14 MW.

W okresie międzywojennym — po usunięciu skutków rabunkowych poczynań niemieckiego okupanta — łódzka energetyka poczyniła dalsze postępy, zwłaszcza w latach 1926—30, kiedy to uruchomiono pierwszą linię napowietrzną o napięciu 30 kV z Łodzi do Pabianic, pod ulicami ułożono ponad 130 km kabli, a w elektrowni uruchomiono dwa dalsze turbozespoły o łącznej mocy prawie 30 MW. W 1938 roku Elektrownia Łódzka — dysponująca łączną mocą 100 MW — zasilała już 127 tysięcy odbiorców, zaś maksymalne obciążenie wynosiło w mieście 44 MW.

Trudno dziś wprost uwierzyć, że już w miesiąc po wyzwoleniu obciążenie Łodzi wyniosło 35 MW, aby w końcu 1945 roku osiągnąć 50 MW, czyli wielkość nie mającą odpowiednika w dotychczasowych dziejach miasta.

Dane te najlepiej chyba obrazują ogromny wysiłek społeczeństwa miasta, które heroicznym wręcz zrywem potrafiło w krótkim czasie zapanować nad skutkami niszczycielskiej działalności okupanta, pobudzając do pracy unieruchomione i zdewastowane fabryki, a także i łódzką elektrownię, bez której przecież tak przemysł, jak i całe miasto, nie były w stanie się obejść. Wielki trud i wielki sukces odbudowy zrodziły nowy problem: niewydolność własnych źródeł energii elektrycznej, nie nadążających za wzrastającymi w zawrotnym tempie potrzebami.

Wtedy właśnie w sukurs rozwijającej się Łodzi — w październiku 1947 roku — przyszło powiązanie miasta ze Śląskiem. Zapotrzebowanie na energię elektryczną wynosiło już wówczas 135 MW. Niedobór — w wysokości 23 MW — pokryło miasto z systemu państwowego, rozpoczynając w ten sposób „import" mocy, wzrastający potem z roku na rok, mimo intensywnej rozbudowy własnych źródeł energii. W 1958 roku uruchomiono pierwszy turbozespół w nowo budowanej Elektrociepłowni nr 2. W 1965 roku obciążenie Łodzi wyniosło 265 MW, z czego 40 MW otrzymywało miasto z systemu. W 1969 roku uruchomiona została Elektrociepłownia nr 3. W 1975 roku obciążenie węzła łódzkiego sięgnęło 468 MW. W 1977 roku podjęła pracę Elektrociepłownia nr 4.

JAK JEST TERAZ

Energetyka łódzka rozwija się planowo, systematycznie i prawidłowo. Nonsensem byłoby bowiem dążenie do pokrycia potrzeb w całości własną produkcją energii elektrycznej. Przerzucanie milionów ton węgla rocznie ze Śląska do Łodzi jest już dostatecznie kosztowne i kłopotliwe, a budowa elektrociepłowni jądrowej raczej nam się nie zapowiada na najbliższą przyszłość.

Prawda jest taka, że nawet gdybyśmy posiadali dwukrotnie większe źródła energii elektrycznej, to nie uchroniłyby one miasta przed skutkami kryzysu energetycznego. Sporą część tej energii musielibyśmy bowiem oddać do systemu, co i teraz nam się od czasu do czasu zdarza, jeśli sytuacja na to pozwala, a okoliczności zmuszają.

A zatem — podkreślmy to — energetyka łódzka w tym najbardziej ogólnym wymiarze rozwija się nam prawidłowo, a nawet z pewnym wyprzedzeniem w stosunku do rosnących nieustannie potrzeb. Aby stwierdzeniu temu nadać bardziej konkretny kształt, przyjrzyjmy się stanowi naszej sieci na dzień dzisiejszy.

Zakład Energetyczny Łódź-Miasto zawiaduje obecnie siecią kablową o łącznej długości 10 tysięcy kilometrów, doprowadzającą prąd do 440 tysięcy odbiorców, w tym do ponad 1.000 zakładów przemysłowych i dużych obiektów użyteczności publicznej. Na sieć tę składają się tak linie wysokiego napięcia 220 kV i 110 kV, jak i średniego 15 kV i 6 kV, a wreszcie — linie niskiego napięcia 380/220 V. W przypadku tego ostatniego warto zaznaczyć, że w Łodzi doprowadzono do unifikacji niskiego napięcia dopiero w latach sześćdziesiątych, co nie było zresztą łatwym zadaniem, aczkolwiek stanowiło warunek sine qua non tworzenia nowoczesnej sieci energetycznej.

Istotnym elementem sieci jest również 30 głównych punktów zasilających oraz ponad 3 tysiące stacji przetwarzających średnie napięcie na niskie. Łódzka sieć elektroenergetyczna to również cała masa skomplikowanej aparatury i urządzeń: transformatorów, szyn zbiorczych, włączników, wyłączników, elementów zabezpieczających, kontrolujących, sterujących itd. To również mnóstwo nowoczesnej automatyki: samoczynnego powtórnego załączania, samoczynnego załączania rezerwy, samoczynnego częstotliwościowego odłączania, automatycznej regulacji napięcia itd.

Nie bez powodu sypnęliśmy tu garścią fachowych nazw i terminów — znakomicie oddają one bowiem stopień skomplikowania całej sieci i jej poszczególnych elementów, które składają się w sumie na całkiem przyzwoity poziom: są na tyle nowoczesne i niezawodne, że powinny sprostać nie tylko potrzebom dnia dzisiejszego, lecz również i wymaganiom jutra.

Miało być jednak o wyprzedzaniu... Łódzka sieć elektroenergetyczna połączona jest obecnie z państwowym systemem energetycznym dwiema stacjami. Wprawdzie przy obecnym obciążeniu połączenia te z powodzeniem wystarczają, przygotowuje się już jednak budowę kolejnej stacji. Nie koniec zresztą na tym — zaplanowano również budowę czwartej stacji, przystosowanej do odbioru największego, przyszłościowego niejako napięcia — 400 kV. Inwestycje te zawarte są w koncepcji rozwojowej łódzkiej energetyki, sięgającej roku 1990, a uwzględniającej prognostyczny bilans potrzeb i konieczności.

Koncepcja ta obejmuje również program wewnętrznego „porządkowania" całej sieci — tak, aby w porę przystosowana ona została do przenoszenia i transformowania napięć, do sprawnego i niezawodnego zasilania odbiorców, do wytrzymywania narastających obciążeń. Jednym z najistotniejszych elementów tego programu jest zakończenie procesu typizacji średnich napięć: od wielu już lat łódzka sieć przestawiana jest konsekwentnie i systematycznie na docelowe napięcie 15 kV. Jest ono już wprawdzie zdecydowanie dominujące, nie wyeliminowało jednak dotąd całkowicie napięcia 6 kV. I właśnie w tym momencie natknęliśmy się na przysłowiową dziurę w całym, czyli na wyrazistą plamę na pięknym obrazie łódzkiej energetyki.

POWRÓĆMY DO HISTORII

Przed wojną w Łodzi sieć pracowała na średnim napięciu 3 kV, a niskim — 120 V. Po wyzwoleniu jednak — w miarę rozwoju miasta i wzrostu spożycia energii — sieć ta okazała się być niedostateczną. Utrzymywanie napięcia 3 kV przy szybko wzrastających obciążeniach było ze wszech miar niedogodne: coraz większe przekroje kabla i coraz większe straty, nie mówiąc już o wzrastających kosztach nowych instalacji. Po wnikliwych ekspertyzach łódzcy energetycy zdecydowali się na odważne posunięcie: zdecydowali się na podwojenie przepustowości istniejących kabli drogą podwojenia napięcia. W ten oto sposób Łódź otrzymała sieć 6 kV, do którego to napięcia dostosowywano kolejne jej nowe fragmenty. W późniejszych jednak latach zmieniła się skala potrzeb: przystąpiono zatem do tworzenia sieci 15 kV. W 1970 roku zdecydowanie i ostatecznie odstąpiono od rozbudowy napięcia 6 kV, kontynuując zapoczątkowaną już wcześniej wymianę elementów sieci.

Do dnia dzisiejszego dochowało się jednak w centrum Łodzi i w Pabianicach — około 250 km sieci na napięcie 6 kV, z czego większość — to kable stare, sprzed 1939 roku, spora zaś część to kilkudziesięcioletnie „staruszki", pamiętające początki elektryfikacji miasta. Izolacja dziesiątków kilometrów tej sieci pozostała zapewne tylko we wspomnieniach, bo na kablu trudno jest się nawet przez lupę dopatrzyć. Nadmiernie przeciążane, wysłużone, i zniszczone, wielokrotnie uszkadzane i łatane przewody sygnalizują swój agonalny stan nieustannymi awariami.

SIEĆ Z „WĄSAMI"

Stara sieć wymaga więc bezwzględnej rekonstrukcji, wymaga nowych kabli i nowych stacji transformatorowych. Rekonstrukcja taka jest prowadzona, zgodnie ze szczegółowym programem opracowanym przez Zakład Energetyczny. Program ten zakłada całkowite zlikwidowanie problemu do... 2000 roku.

Przerażająca ta wizja jest rezultatem potulnego podporządkowania się przysłowiu: tak krawiec kraje, jak materii staje. Zakład Energetyczny programu swego nie może zrealizować własnymi siłami, musi tu korzystać z pomocy odpowiednich przedsiębiorstw specjalistycznych. Przedsiębiorstwa te zaś przyjmują do swojego „przerobowego partfela" rokrocznie tylko fragment zamówień łódzkiej energetyki. Zaprzątnięte są tak dalece nowymi inwestycjami, że na działalność remontową przeznaczają znikomą zaledwie, marginalną część swoich mocy.

Brak mocy przerobowych przedsiębiorstw specjalistycznych jest również barierą stojącą na drodze rozwiązania nie mniej istotnego, a równie dotkliwego problemu, jakim jest tzw. reelektryfikacja rolnictwa. Problemu, który dotyczy kilkudziesięciu wsi, kilku tysięcy gospodarstw, kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Problemu, który dotyczy przyszłości rolnictwa w łódzkiej aglomeracji.

W minionych latach, na etapie elektryfikacji polskiej wsi, rzecz sprowadzała się do zapalenia w wiejskiej zagrodzie tej jedynej często żarówki, przy której chłop mógł sobie wieczorkiem poczytać książkę czy gazetę. W dążeniu do jak najszybszego włączenia jak największej ilości żarówek stosowano najprostsze rozwiązania. Najczęściej od stacji energetycznej ciągnięto jednofazową linię o niewielkim przekroju przewodów, zwaną potocznie wąsem, którego istota polega na tym, że po kilku, kilkunastu czy kilkudziesięciu kilometrach, po zasileniu iluś tam położonych po drodze wsi, nagle po prostu się kończy. Kończy się na ostatniej wsi i kropka.

Wystarczy teraz, że ten wątły „wąs", którego uczepiło się kilka czy kilkanaście wsi, uszkodzony zostanie tuż za stacją — wszystkie pozbawione są energii elektrycznej, gdyż nie ma możliwości zasilenia ich z innego kierunku. Nie koniec na tym: „wąs" jest podwójnie wątły, gdyż nie został zaprojektowany na większe obciążenia — każda dodatkowa żarówka jest dla niego zagrożeniem, nie mówiąc już o telewizorze, lodówce, dojarce, pompie. Właśnie, o pompie już lepiej wcale nie mówić, jak i o jakimkolwiek innym urządzeniu z silnikiem większej mocy. Lepiej wcale nie mówić, gdyż rzadko który „wąs" ma trzy fazy, większość zaś wyklucza jakiekolwiek siłowe odbiory energii elektrycznej.

Tak oto — upraszczając — przedstawia się sytuacja w wielu wsiach województwa łódzkiego, których rozwój napotyka tym samym energetyczną barierę.

Wbrew jednak pozorom reelektryfikacja wsi nie nastręcza konieczności budowania całej sieci od podstaw. W jednym miejscu trzeba przedłużyć tylko tę sieć o kilka kilometrów, aby uzyskać zasilanie z dwóch kierunków. W innym miejscu dołożyć trzeba przewodów do już istniejącej linii, aby miała ona trzy fazy. Gdzie indziej znów trzeba zmienić przekrój kabla — powiedzmy z 27 na 50 mm kw, aby wytrzymywał on odpowiednio większe obciążenia.

Koszt całego przedsięwzięcia oszacowano na 20—30 mln złotych, co nie jest stosunkowo wielką kwotą. Niestety, nie ma chętnych do przeprowadzenia szybkiego i kompleksowego tej — prostej w istocie, aczkolwiek żmudnej i pracochłonnej operacji. Prace tego rodzaju wykonuje wprawdzie „Eltor", ale i on — jak podobne przedsiębiorstwa — spycha je na margines swej działalności, skupiając się przede wszystkim na realizacji nowych inwestycji.

Nie tylko megawaty — tak należałoby skwitować nasze rozważania. Mając bowiem na uwadze sprawy dużej wagi, o wymiarze ogólnym i dużym znaczeniu, nie można tracić z pola widzenia owych drobnych „watów" — w centrum Łodzi czy wiejskim obejściu. Bagatelizowanie ich przecież, czy wręcz lekceważenie, może wywołać skutki, których usunięcie i naprawienie wymagać będzie znacznie większego wysiłku i dużo większych nakładów, niż posunięcie w porę odpowiednich kroków. A refleksja to bardziej ogólna — nie tylko energetyki dotyczy.

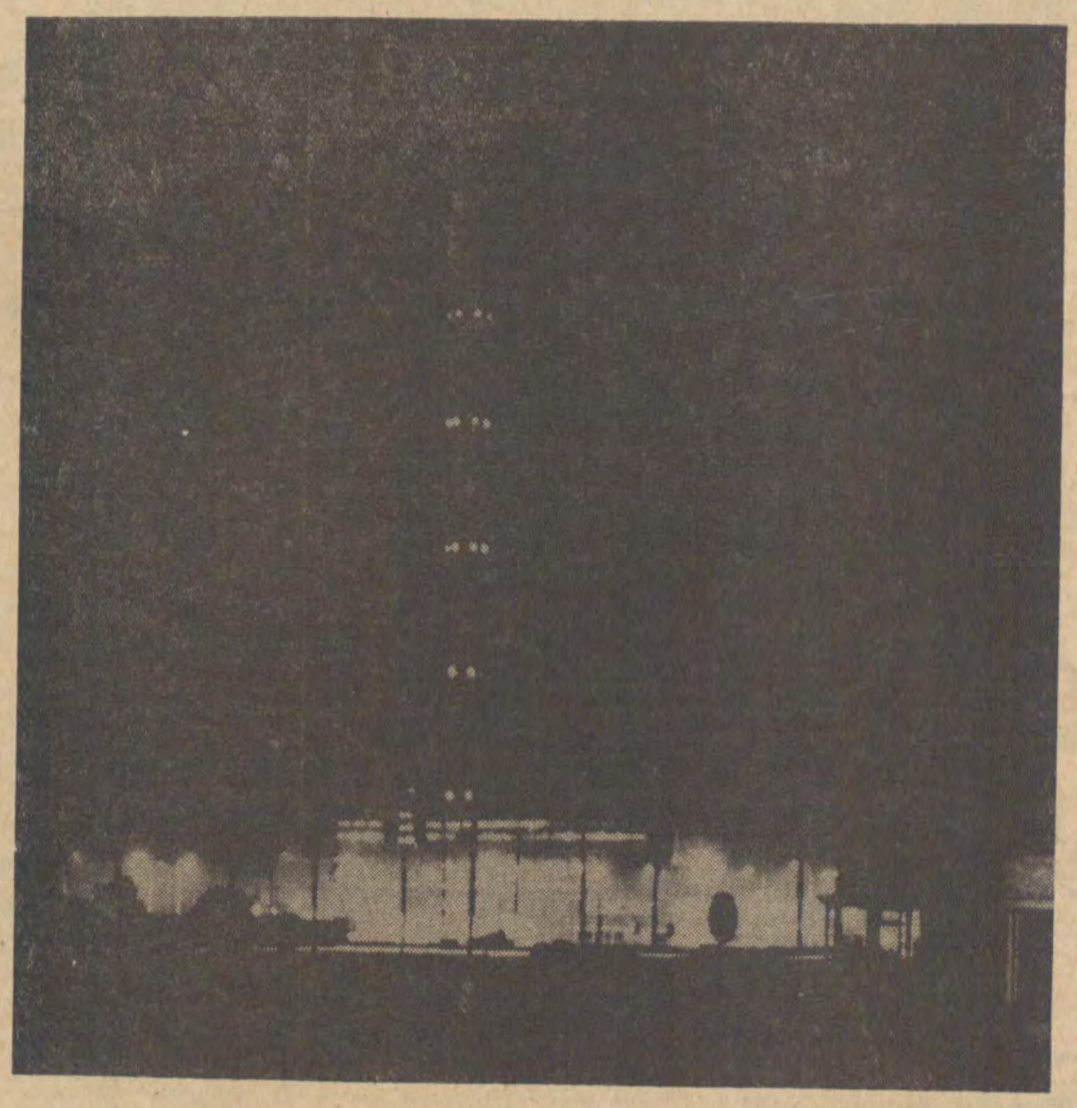

Foto: R. Łucyszyn

SANATORIUM W KOLUMNIE

1.

Chcemy, aby dzieci się śmiały. Walczymy nawet o uśmiech dziecka, bo wiadomo: śmiech to zdrowie i słońce nam świeci, gdy śmieją się dzieci... Są jednak przypadki, kiedy, mimo że dzieci się śmieją, nie są zdrowe. Dotyczy to na przykład dzieci z wadami postawy. **W województwie łódzkim miejskim jest około siedemnastu tysięcy dzieci z wadami postawy, dziewięć tysięcy z wadami wzroku i osiem tysięcy z wadami wymowy.** Jeżeli do tej pory rodzice i służba zdrowia zajmowali się dziećmi z wadami wzroku, to wady postawy czy wymowy na ogół uchodziły ich uwagi. Nie przypadkiem przecież lecznictwo dysponuje minimalną ilością miejsc w sanatoriach (nie licząc sanatorium w Sokolnikach), gdzie takie wady poddaje się leczeniu.

Ktoś powiedział: kropla w morzu: trzeba mieć dużo szczęścia, aby umieścić tam chorego syna czy córkę.

Ktoś inny, niewątpliwie mądry, doszedł do wniosku, że bazę sanatoryjną: tę łódzką i w ogóle — tę krajową, można by w wydatnym stopniu rozwinąć, gdyby tak przyjrzeć się bacznie różnym (przede wszystkim: kolonijnym) obiektom, które działają przez dwa, trzy miesiące w roku, a później zioną pustką.

Są, rzecz jasna, rozmaite kolonie. Jedne ograniczają się do pól namiotowych, inne do nie ogrzanych baraków, jeszcze inne mają swe sezonowe siedliska w szkołach. Ale...

Można znaleźć i takie, które powodują zdumienie. Ot, chociażby te **„Pamotexu"** (Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego), wybudowane w 1971 roku, niby tylko na użytek trzech miesięcy wakacyjnych, a przecież... wyposażone po królewsku: kotłownia, sprawny system ogrzewczy, wanny, natryski, kilka sal telewizyjnych i kilka świetlic, sala widowiskowa i ogromna sala gimnastyczna, w której można grać o mistrzostwo Europy w koszykówce, znakomicie wyposażona kuchnia, z jadalnią na trzysta miejsc (zatem trzysta wygodnych łóżek w obszernych i estetycznych pokojach), laboratorium, czytelnia, biblioteka, separatki, ogródek jordanowski, obok którego, w osobnych, letnich pomieszczeniach, znaleźć można kręgielnie, stoły ping-pongowe, automaty do gier zręcznościowych, nieczynna kawiarenka, no i wreszcie — cały, ogromny obiekt zajmuje ponad **dziewięć hektarów lasu** — wspaniałą ścieżkę zdrowia o dwudziestu dwu „stacjach" oraz duży, odkryty basen.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji **Zespół Opieki Zdrowotnej Matki i Dziecka** w Łodzi, zapoznawszy się z listą około stu nie wykorzystanych ośrodków wypoczynkowych, sporządzoną przez dyrekcję Resortowego Zaplecza Socjalnego Przemysłu Lekkiego, momentalnie zdecydował się na kolonijny obiekt „Pamotexu" w Kolumnie i w ten oto sposób, we wrześniu bieżącego roku, uroczyście otworzono **Sanatorium Rehabilitacyjne dla Dzieci z Wadami Postawy.**

Nie było to bynajmniej otwarcie symboliczne, bowiem już w kilka dni później, kiedy pojechałem tam zebrać materiał do reportażu, sanatorium funkcjonowało z zachowaniem wszelkich rygorów — bez mała stu pacjentów (49 chłopców i 46 dziewczynek), nad którymi sprawowali opiekę: oddelegowany przez ZOZ lekarz pediatra, zatrudniony w pełnym wymiarze godzin (który zresztą przeprowadził się okresowo do ośrodka i może interweniować o każdej porze), lekarz ortopeda urzędujący dwa razy w tygodniu, dwóch fizjoterapeutów, sześć wykwalifikowanych pielęgniarek, pracujących przez całą dobę (po dwie) na trzy ośmiogodzinne zmiany oraz piętnastu wychowawców na czele z magistrem **Janem Bołdowskim**, kierownikiem wychowania.

Aby oddać wszystkim sprawiedliwość, trzeba by jeszcze wyliczyć salowe, sprzątaczki, portierów i palaczy, no i trzy kucharki, a więc tę część personelu, która ginie niejako w cieniu kamer telewizyjnych i mikrofonów radiowych, a która, oddelegowana do sanatorium przez „Pamotex", spełnia tutaj równie ważną rolę.

2.

Aby nie ograniczać się do opisywania nowego obiektu, chciałbym wypunktować w swojej relacji dwa problemy. Pierwszy, to oczywiście cenna inicjatywa łódzkiego ZOZ oraz skwapliwa, niemal entuzjastyczna współpraca **Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego.** Fakt ten stwarza po prostu precedens, udowadnia, iż przy odpowiednich staraniach można by zorganizować na terenie województwa łódzkiego, a także województw ościennych, jeszcze kilka tego typu placówek, które w pełni rozwiązałyby sprawę lecznictwa sanatoryjnego i rehabilitacyjnego dla najmłodszych. W wielu wypadkach pociągnęłoby to za sobą niewątpliwie konieczność dodatkowych inwestycji (nie wszystkie sezonowe, kolonijne i wypoczynkowe obiekty są tak dobrze wyposażone, jak te „Pamotexu"), byłyby również zapewne trudności ze skompletowaniem personelu — nie zapominajmy, że w opisywanym wypadku rekrutuje się on przede wszystkim z Łodzi i Pabianic, że został niejako przeniesiony do Kolumny „czasowo", na turnus czy dwa, w dalszym ciągu pobierając pensje ze swoich starych miejsc pracy. Sanatorium nie jest w pełni sanatorium, latem zamieni się znowu w kolonie dziecięce. Chyba, że... chyba, że rozwiązano by sprawę tak, aby sanatorium mogło funkcjonować okrągły rok, to znaczy w miesiącach letnich i w czasie zimowej przerwy wakacyjnej przebywałyby tu oczywiście (przede wszystkim) dzieci pracowników „Pamotexu" i kooperujących z nim zakładów, ale na zasadzie kolonii zdrowotnych, pod opieką lekarzy.

Słyszę pytanie:

— A co z naszymi zdrowymi dziećmi? Mają spędzać wakacje w sanatorium?

Odpowiem na to później. Teraz ograniczę się tylko do uwagi, iż ciągłe, dwunastomiesięczne działanie lecznicze zapewniłoby placówce status i przywilej prawdziwego sanatorium. Oddelegowani czasowo pracownicy ze swoich stanowisk w Łodzi i Pabianicach, otrzymaliby w Kolumnie stałe etaty. Lekarz pediatra stałby się naczelnym lekarzem placówki, kierownik wychowania — zastępcą dyrektora do spraw wychowania, kierownik administracyjny — zastępcą dyrektora do spraw administracyjnych, itd. Sprawa nie polega tu wyłącznie na nomenklaturze, na tytułach, lecz na tym, że pracownicy mogliby związać z placówką swój los, swoje ambicje i cele, że mieliby poczucie trwałej więzi z ośrodkiem, w którym — jak dotychczas — czują się tylko sezonowymi Judymami. Tymczasem — pełnych etatów dać im nie można (właśnie ze względu na owe zimowe i letnie przerwy kolonijne), albowiem pracowaliby wówczas tylko przez osiem miesięcy w roku, a brali pieniądze za dwanaście; tak dobrze (czy niedobrze) to jeszcze w Polsce nie ma!

Wiedząc, że problem ten leży na sercu zainteresowanym stronom i jest przedmiotem wnikliwych rozważań, które wcześniej czy później przyniosą właściwe rozwiązanie — chciałbym zająć się teraz drugim, istotnym zagadnieniem, jakim jest sama rehabilitacja.

Otóż, patrząc na ową setkę dzieci w Kolumnie, można by pomyśleć, iż mamy do czynienia z osobnikami całkiem zdrowymi. Oczywiście — patrząc okiem dyletanta, który nieszybko odkryje, że ten chłopiec czy dziewczynka cierpi na skrzywienie kręgosłupa, tamten na przykurcz kolana, a ów na szpotawą stopę. Na pierwszy turnus trafiły dzieci ze stosunkowo niewielkimi schorzeniami, następne turnusy będą cięższe, przypadki trudniejsze, niemniej i teraz jest co leczyć. Warto przyjrzeć się temu z bliska i pomyśleć.

Na pytanie dziennikarza:

— Czego państwo spodziewacie się po sanatorium i jakie ono przyniesie konkretne wyniki? — lekarze, fizjoterapeuci, pielęgniarki i wychowawcy przez chwilę milczą.

Pytanie jest naiwne, w pewnym sensie — głupie. Czy rzeczywiście można wyleczyć dziecko w ciągu tych pięciu, sześciu tygodni ze skrzywienia kręgosłupa, albo z kolanowego przykurczu? Nie, nikt nie spodziewa się takich cudów, ale...

Znowu to ale. Lekarz mówi:

— Pierwszy wniosek, jaki się nasuwa, to późne i przypadkowe rozpoznanie choroby przez rodziców. W wielu środowiskach rodzice ignorują po prostu owe niewielkie „przekrzywienia" i „przykurcze", ukrywają je przed sąsiadami, albo wręcz bagatelizują, z nadzieją, że same z czasem przejdą. Ów wstyd czy niefrasobliwość rodzinną można by jeszcze zrozumieć, gorzej, kiedy nie zauważa nic szkoła. A proszę pomyśleć: w szkołach niby prowadzi się lekcje wychowania fizycznego, dzieciaki rozbierają się i ćwiczą, tak przynajmniej wynika z rozkładu zajęć...

Obserwując ćwiczenia rehabilitacyjne dzieci, prowadzone przez fizjoterapeutów na sali gimnastycznej w Kolumnie, od razu można się zgodzić z wnioskami lekarza. Wychowanie fizyczne traktuje się w większości szkół podstawowych, jako zajęcie uboczne, w gruncie rzeczy — zbędne. Uczniowie nie mają podstawowych nawyków. Jeśli pada komenda: ręce przed siebie!, część ćwiczących reaguje z opóźnieniem, a część podnosi je w górę. Jeśli fizjoterapeuta woła: kładziemy się na plecach, część kładzie się na brzuchu. Jeśli mówi: teraz biegniemy wzdłuż białej linii boiska, dzieciarnia biegnie we wszystkich kierunkach, zderzając się ze sobą i popychając. Trzeba tygodnia lub dwóch wytężonej pracy, aby nauczyć pacjentów prawidłowego reagowania na polecenia i wdrożyć grupę we właściwy rytm. Szkoła nie nauczyła tego, niestety... W szkole zawsze ważniejsza jest matematyka: gimnastyka umysłu, od wychowania fizycznego: gimnastyki ciała, w życiu nieraz bywa odwrotnie... Weźmy pod uwagę tę opinię, skoro formułują ją nie sportowcy i nauczyciele wuefu, a lekarze i fizjoterapeuci, twierdzący zgodnie, że dwie godziny gimnastyki w tygodniu to mało, beznadziejnie mało, tym bardziej, że najwyżej ograniczają się one do beztroskiej zabawy z piłką.

Rozmawiam z **Anną Olejniczak** i **Stefanem Postrychem**, którzy skończyli akurat zajęcia z pięcioma wyodrębnionymi grupami. Tłumaczą mi, na czym polegają ćwiczenia. Przekładając to na język dyletantów, trzeba znać schorzenie każdego dziecka i poza ćwiczeniami zbiorowymi prowadzić również zajęcia indywidualne.

— Moglibyście państwo podać jakieś konkretne przypadki?

— Wady postawy, najczęściej skrzywienia kręgosłupa, polegają zwykle na osłabieniu pewnej grupy mięśni. Po zlokalizowaniu ich, dążymy do tego, aby je wzmocnić — pacjent podnosi, na przykład, dwa razy lewą rękę w górę, a cztery razy prawą, trzy razy robi skłon w lewo, sześć razy w prawo. W wypadku przykurczu mięśni kolanowych (zginaczy kolan), staramy się poprzez odpowiednie ćwiczenia rozciągnąć te mięśnie — powoli, systematycznie, poprzez ćwiczenia na matach i kozłach. Z najcięższymi przypadkami pracujemy poza grupą. Na razie ograniczamy się tylko do terapii ruchowej, urozmaicając ją również zabawami czysto sportowymi, jak na przykład rzucaniem piłki do kosza, ale z czasem, w lewym skrzydle budynku, będziemy mieli również do dyspozycji inne środki terapeutyczne, jak diatermię krótkofalową, soluxy, kwarcówki, diadynamik czy parafinostat.

— Na efekty leczenia trzeba jednak czekać długo, nie załatwi się „defektu" kolana czy kręgosłupa w trakcie jednego, parotygodniowego turnusu?

— Oczywiście, że nie. Proszę jednak popatrzeć, jak bardzo dzieci wciągają się w nasze zajęcia, jak bardzo je lubią. Zadaniem sanatorium jest wdrożyć im tę miłość do ćwiczeń, właściwych ćwiczeń, na trwałe, tak aby powracając do domów i szkół, systematycznie je kontynuowały. Wtedy, po kilku miesiącach, albo latach z pewnością przyniesie to pożądane efekty, w wielu wypadkach — aż do całkowitego wyleczenia.

3.

Minął tydzień, przyszła pierwsza niedziela odwiedzin, przyjechali rodzice.

Zwykle dzieci skarżą się na wszelki wypadek matce czy ojcu — a to lekarz niedobry, a to siostra oschła, a to wychowawca surowy.

O dziwo, tu, w Kolumnie, nie było żadnych skarg, tylko jeden chłopiec chciał koniecznie wracać do domu, rozkleiła go wizyta matki, inne dzieci w wieku siedmiu, ośmiu i dziewięciu lat zaaprobowały swoją kwarantannę.

Słyszałem pytanie:

— Jak was żywią?

Odpowiedź była zawsze ta sama:

— Bardzo dobrze.

„Pamotex" ma swoją chlewnię, systematycznie zaopatruje sanatorium w mięso. **Maria Sobczak**, szefowa kuchni, gotuje smacznie, a posiłki są nad wyraz obfite, choć stawka dzienna na jedną osobę jest niewielka. Daje to dużo do myślenia: nikt po prostu nie kradnie, nikt nie wynosi wieczorami torby wypchanej „zaoszczędzoną" wędliną i mięsem, jak to, niestety, dzieje się w niektórych domach wczasowych.

Matki zgłaszają się na rozmowę z lekarzem, który zresztą tylko w dwóch, czy trzech wypadkach zmuszony był wyłączyć dziecko z zajęć sanatoryjnych i wysłać je karetką na obserwację do szpitala (podejrzenie choroby serca). Przeziębienia leczy się na miejscu, w izolatkach. Tego dnia, w niedzielę, izolatki były puste.

Rodzice rozmawiali także z wychowawcami poszczególnych grup i z kierownikiem, Janem Bołdowskim. Jak się syn, czy córka sprawuje w sanatorium? Jak się uczy w szkole?

Nie zapominajmy, że po ćwiczeniach rehabilitacyjnych i krótkim, czterdziestopięciominutowym odpoczynku poobiednim, wszystkie dzieci maszerują pod opieką wychowawców do szkoły.

— Zajęcia — mówi mgr Bołdowski — trwają od 14.30 do 17. Szkoła w Kolumnie zaczęła pracować w związku z naszymi pensjonariuszami na dwie pełne zmiany. Jest to kolejny przykład dobrej woli ze strony kuratorium, zainteresowanych, uczących po godzinach pedagogów oraz dyrektorki szkoły, pani magister **Sarwy.**

— Jednak samo doprowadzenie i odprowadzenie dzieci ze szkoły, która znajduje się dość daleko, zabiera sporo czasu.

— To prawda. Druga zmiana naszych sanatoryjnych wychowawców rozpoczyna pracę właśnie od odbioru stamtąd wszystkich pięciu grup.

— Ideałem byłaby więc szkoła na miejscu?

— Tak. I są chyba na to szanse, w przyszłości.

Wszystko wskazuje na to, że sanatorium ma przed sobą przyszłość. Poza szkołą, laboratorium i gabinetem terapeutycznym, myśli się również poważnie o budowie drugiego, ale już krytego basenu, który nie byłby przecież kapryśnym luksusem, a ważnym akcentem w procesie rehabilitacji.

Na razie w sanatorium jest tylko setka dzieci. Ale czas robi swoje. Za kilka miesięcy, w szpitalach, w poradniach pediatrycznych, lekarze uświadomią sobie, że istnieje „coś takiego" w Kolumnie, uświadomią to sobie uważni nauczyciele w szkołach i troskliwi rodzice. Wówczas zapewne, drogą selekcji, trafiać tam będą najcięższe przypadki. Jedno jest pewne: już teraz, **w ciągu roku, Kolumna jest w stanie przyjąć około tysiąca pacjentów.** Chwała za to wszystkim, co przyczynili się do powstania ośrodka, który z martwej, sezonowej kolonii przekształcił się w ważną, tętniącą życiem placówkę leczniczą, domagającą się naśladownictwa.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

NIE TYLKO HISTORIA

Dalszy ciąg ze str. 2.

Korespondent spojrzał. Rzeczywiście w odległości może 30—40 kroków stała grupa żołnierzy niemieckich. Na oko z 15 chłopa. Sytuacja groźna. 15 na 2? Co robić? Na wojnie nie ma czasu na rozmyślania. Trzeba od razu decydować.

DONOSZĘ Z FRONTU...

— Wal prosto, na pełnym gazie! — rozkazał korespondent.

— A jak zaczną do nas strzelać!

— Wal, rozkazuję!

Kierowca starał się wyminąć grupę wroga, ale hitlerowcy jakby na przekór zagrodzili drogę. Chwila naprężonego oczekiwania. Wtem od grupy odłączył się jeden z żołnierzy, stanął pośrodku szosy i podniósł do góry najpierw jedną, potem drugą rękę. Inni poszli za jego przykładem.

Kierowca na ten niespodziewany widok z miejsca zahamował wóz i krzyknął z radości:

— Poddają się, obywatelu kapitanie!

Stojący na czele grupy Niemiec trzasnął obcasami i zameldował zachrypniętym głosem:

— Herr Offizier, bitte... nehmen Sie uns in gefangen...!

Szofer ustawił jeńców w dwuszeregu i kazał im szybko maszerować w kierunku najbliższej placówki. Popędzał ich przy tym niemiłosiernie z wozu, wrzeszcząc na cały głos:

— Schnell, schnell! Keine Zeit!

Korespondenci przeważnie byli mile widziani w jednostkach. Przyjmowano ich serdecznie i jak na warunki frontowe nieraz dość okazale. Oto jak wyglądało takie przyjęcie:

W rozwalonej jakiejś chacie wiejskiej lub w stodole, na zwykłej podłużnej desce, spoczywającej na dwóch stołkach, ustawiano zdobyczną zastawę porcelanową, czasem nawet srebrną i jedzono w niej obiad żołnierski. Pito wytrawne wina również w zdobycznych kryształowych kieliszkach i często, jak na przykład w Poenitz, gdy się je trzymało przy ustach, na ich załamaniach grały tęczą refleksy niedalekiego pożaru.

Trudno by mi było, po tylu latach, wymienić wszystkich żołnierzy i oficerów, którzy stanowili skład osobowy poszczególnych redakcji gazetek frontowych. Byli to nie tylko redaktorzy i korespondenci wojenni, piszący artykuły i reportaże, ale także zecerzy, gońcy, kierowcy, którzy z napisanych już płodów dziennikarskich tworzyli samą gazetę, drukowali ją i rozwozili po jednostkach.

Największy skład osobowy stanowiła redakcja centralnej gazety WP „Polska Zbrojna". Przeszli do niej z „Żołnierza Wolności" redaktor naczelny Henryk Werner, Eugeniusz Kroniewicz, Leon Przemski, z „Głosu Żołnierza" Karol Baraniecki, Henryk Bochenek, Benedykt Brykczyński, Mieczysław Brzezicki, Tadeusz Haber, Anna Jakubiszyn (obecnie Tatarkiewicz), Adam Kostaszuk, Bronisław Król, Franciszek Lewandowski, Emil Planer, Tadeusz Jacek Rolicki, Henryk Sperber, Teofil Urniaż.

Stałymi pracownikami redakcji „Polski Zbrojnej" byli także znani pisarze, odbywający wówczas służbę wojskową, jak Stanisław Brucz, Ryszard Matuszewski, wymieniony już Leon Przemski, Stanisław Ryszard Dobrowolski i inni.

Wielu redaktorów i korespondentów redakcji „Polski Zbrojnej" zmarło w ciągu ostatnich lat: H. Bochenek, B. Brykczyński, F. Kroniewicz, T. Haber, T. Jacek Rolicki, T. Urniaż, z pisarzy: S. Brucz i L. Przemski.

Najbardziej lubianym przez nas był Henryk Werner. Był naczelnym redaktorem pierwszej gazetki frontowej „Żołnierza Wolności", a później „Polski Zbrojnej". Po wojnie pełnił stanowisko zastępcy prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji w Warszawie. Nie pamiętam, żeby kiedyś kogoś ukarał, żeby kiedyś podniósł głos. A mimo to w naszym zespole panowała wzorowa dyscyplina i szacunek dla naczelnego. Czy baliśmy się go? Nie. Nie baliśmy się, tylko po prostu ogromnie i zwyczajnie po ludzku bardzo lubiliśmy go za jego dobry, przepojony jakąś szczególną życzliwością stosunek do człowieka, za troskliwość i pamięć o ludziach.

Dowodem jego życzliwości może być następujący fakt: Po przeniesieniu redakcji „Polski Zbrojnej" z Lublina do Łodzi, przez pewien czas byłem redaktorem technicznym gazety. Pewnej nocy otrzymałem od sekretarza pisma kpt. E. Kroniewicza korespondencję T. Jacka Rolickiego o przyjeździe marszałka Tito do Polski. Tytuł korespondencji brzmiał: „Powitanie marszałka Tito u granic Rzeczypospolitej". Tymczasem zecer, składający tytuł, pierwszy jego wyraz złożył mylnie jako „Powstanie". Ponieważ artykuł dodatkowo był składany już po zamknięciu numeru, tuż nad ranem, tytuł „Powstanie marszałka Tito u granic Rzeczypospolitej" poszedł z niezauważalnym błędem na kalander i na maszynę rotacyjną. Na szczęście zauważył błąd pierwszy redaktor Werner, mieszkający podówczas przy ul. Mickiewicza 12. Telefonicznie przerwał dalszy druk gazety i zarządził wycofanie wydrukowanych już egzemplarzy. A mnie za niedopatrzenie błędu skazał na tydzień aresztu domowego. Po tygodniu, kiedy mnie spotkał, zapytał życzliwie:

— No, jak, odpoczęliście sobie przez ten tydzień?

Nie sposób mówić o każdym z osobna. Każdy z nich był na swój sposób ludzki, życzliwy. Wszyscy, i ci, którzy odeszli, i ci, którzy są jeszcze wśród nas, pozostaną we wdzięcznej naszej pamięci na zawsze. Jako kronikarze doniosłych wydarzeń tamtych czasów, jako piewcy czynów bohaterskich Ludowego Wojska Polskiego w walkach od Lenino aż po Berlin.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

KONRAD JAŻDŻEWSKI

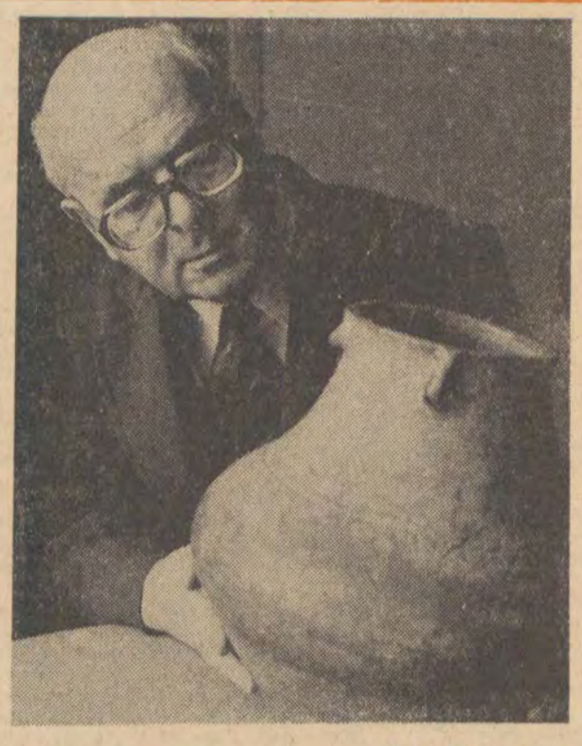

Foto: R. Łucyszyn

Udało mi się na odcinku mojej specjalności dokonać, pospolu z moimi uczniami i kolegami, że łódzki ośrodek archeologiczny stał się znany w skali międzynarodowej.

Aż dziw mnie bierze, że bez mała pół mego 71-letniego żywota wypadło mi spędzić w Łodzi! A przecież aż do początków roku 1945 nic nie wskazywało na to, że właśnie w tym mieście będę mógł coś zdziałać na polu tak mi bliskiej nauki o najdalszej przeszłości naszego kraju.

Bo oto przez 4 lata wnikałem w jej arkana w czasie studiów i praktyki muzealnej u znakomitego profesora Józefa Kostrzewskiego w Poznaniu, przez 14 dalszych lat z całym zapałem pracowałem w dziedzinie prahistorii w warszawskim Państwowym Muzeum Archeologicznym jako asystent, adiunkt i dyrektor tej instytucji, a już też się sposobiłem do objęcia zaproponowanej mi katedry prehistorii na Uniwersytecie Wileńskim począwszy od 1 września 1939 r.

A tu II wojna światowa. Warsztat pracy i dom zniszczone gruntownie w powstaniu warszawskim. Po wojnie znalazłem się w Łodzi, gdzie odnalazłem swego dawnego kolegę ze studiów poznańskich i z pracy warszawskiej, Jana Dylika, który tuż po oswobodzeniu Łodzi znalazł się w tym bliskim jego sercu mieście, jako przed wojenny jeszcze wykładowca łódzkiej filii „Wolnej Wszechnicy Polskiej". Z jakim podziwem patrzyło się na tego niezwykłego, dynamicznego człowieka, współtworzącego wraz z prof. T. Viewegerem budzące się na nowo życie naukowe Łodzi, a więc przede wszystkim Uniwersytet Łódzki i Łódzkie Towarzystwo Naukowe! To w mieszkaniu pp. profesorowstwa Dylików przy ul. Sienkiewicza, to w byłym hoteliku przy ówczesnej ulicy Zawadzkiej (dziś ul. Próchnika) 7, to gdzieś w Grand Hotelu i jeszcze gdzieś indziej, tworzono gorączkowo (budując z jednej strony na dobrych chęciach, a zwalczając z drugiej strony rozliczne głupstwa), zręby najrozmaitszych instytucji naukowych i kulturalnych Łodzi. Większość z nich miała się w latach późniejszych dobrze rozwinąć, niektóre wspaniale, jak np. Instytut Geograficzny Uniwersytetu Łódzkiego pod kierunkiem prof. dr. Jana Dylika.

Znaczna część profesury tworzącego się Uniwersytetu Łódzkiego a zarazem zalążków późniejszej Akademii Medycznej i Politechniki Łódzkiej zamieszkała we wzmiankowanym już hoteliku, o nieszczególnej zresztą reputacji przedwojennej. Były przecież i takie momenty, że dr M. Gluth, przedstawiciel uniwersyteckiej rady zakładowej, musiał w westybulu hotelowym uroczyście, z gestami dramatycznymi zaręczać milicji obywatelskiej, że profesorscy lokatorzy poszczególnych pokoi całkiem godnie się sprawują w czasie nocnego spoczynku. Ach, cóż to było za barwne i ciekawe towarzystwo ci rozbitkowie z naszych przedwojennych uniwersytetów, gromadzący się na spożycie cienkich zupek lub na wypicie lurowatej kawy zbożowej, ale też i na wysłuchanie referatów naukowych i na dyskusje w jednej z salek tego hoteliku! Siła byłoby o tym pisać, ale ograniczę się do swojego osobistego drobnego wycineczka w obrębie tego nowo powstającego łódzkiego światka naukowego.

I tak oto niebawem zostałem mianowany profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, najpierw kontraktowym, wkrótce potem nadzwyczajnym i po kilkunastu latach zwyczajnym, a zarazem kierownikiem nowo powstałej katedry prehistorii, później przemianowanej na katedrę archeologii UŁ. Ten „gładki start" zawdzięczałem zarówno dokumentom, szczęśliwie uratowanym z pożogi warszawskiej, a poświadczającym moją przedwojenną habilitację poznańską i niedoszłą profesurę wileńską, jak i też wielkiej życzliwości grona ludzi, organizujących Uniwersytet Łódzki, z których szczególnie wdzięcznie wspominam prof. J. Dylika i ówczesnego, bardzo energicznego prorektora UŁ, prof. Ludwika Kolankowskiego, no i także dzięki, temu, że mogłem wykazać się pewnym dorobkiem badawczym i piśmienniczym na przestrzeni kilkunastu lat.

Pierwsze wykłady odbywały się w gmachu Szkoły Włókienniczej przy ul. Żeromskiego 115. Wykładałem dla szczupłego grona studentów, którzy bardzo niedawno powrócili do normalnego bytu po kilku latach ciężkich partyzanckich perypetii lub po przymusowej pracy na obczyźnie w nieludzkich warunkach. Z jakąż żarliwością studiowali ci młodzieńcy i te dziewczęta, nieraz tylko o dziesiątek, czy też o kilkanaście lat młodsi od wykładowcy! Te pierwsze powojenne roczniki studenckie zaliczam do moich najlepszych. Wyrośli z nich w wielu wypadkach wybitni uczeni. Ot. np. prof. dr Andrzej Nadolski (Łódź), prof. dr Aleksander Gardawski (Lublin), prof. dr Andrzej Abramowicz (Łódź), prof. dr Waldemar Chmielewski (Warszawa), doc. dr Tadeusz Poklewski (Łódź) i wielu innych. Ale ileż tremy miałem przy wizytacji pierwszego dziekana Wydziału Filozoficznego, prof. W. Dzwonkowskiego: „straciłem się" wtedy kompletnie i uprzejmy wizytator z siwymi sumiastymi wąsami wspomniał dobrotliwie przy wychodzeniu z sali po tym moim nieszczęsnym wykładzie, że „mamy dziś dobrą pogodę". Ale później jakoś „poszło". Ostatecznie „dochowałem się" kilku profesorów, kilku docentów, około dziesiątka doktorów i około pół setki magistrów archeologii „dających się pokazać", co nie jest mało.

Zgodnie z moją przedwojenną i wojenną 18-letnią praktyką muzealną objąłem w marcu 1945 r. funkcję kierownika Miejskiego Muzeum Prehistorycznego, powierzoną mi przez Prezydium Rady Narodowej M. Łodzi. Muzeum to w wyniku dalszych przemian i po połączeniu się z Muzeum Etnograficznym przekształciło się z czasem w dzisiejsze Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi.

I tu również zaczynało się wtedy niemal od zera. Gdy zjawiłem się w gmachu przy placu Wolności 14, zastałem w nim studentkę prehistorii (później kustosz mgr) Halinę Annę Koszańską, która wespół z czwórką, czy piątką pracowników dzielnie broniła skromnych resztek zbiorów przedwojennego Miejskiego Muzeum Etnograficznego przed zakusami tzw. „szabrowników". W tym samym gmachu znajdowały się także srodze przez hitlerowców sponiewierane zbiory Miejskiego Muzeum Sztuki, którymi już przed moim przybyciem do Łodzi opiekował się — w miarę swych możliwości — dr Marian Minich. Na dobitkę znajdowały się jeszcze w tym gmachu, który przed wojną był siedzibą Magistratu m. Łodzi, pozostałości po Kasie Miejskiej, składnica mebli poniemieckich i pożydowskich, część Wojewódzkiego Archiwum Państwowego, w oficynie zaś tejże posesji miejskie biuro adresowe „Adrema" i mieszkanie dozorcy magistrackiego, a w garażach pojazdy Prezydium MRN w Łodzi.

W ciągu pierwszego powojennego dziesięciolecia udało się dokonać tego, że z wyjątkiem jednej tylko agendy Archiwum Państwowego, wszyscy inni współlokatorzy przenieśli się sami do innych gmachów lub też zostali zlikwidowani. Na placu pozostało tedy tylko Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne, instytucja bardzo „rozwielmożniona", „porosła w pierze", bo dysponująca nie tylko całym starym (ale zaadaptowanym do celów muzealnych, zmodernizowanym i bardzo wzmocnionym) gmachem i unowocześnionymi oficynami, ale również budynkiem nowym przy placu Wolności 13, specjalnie zbudowanym dla potrzeb muzealnych (w latach 1959—1963), instytucja mająca personel ponad 80-osobowy (w tym około połowa to naukowcy: profesorowie, docenci, doktorzy i magistrzy, specjaliści z zakresu archeologii, numizmatyki, etnografii, socjologii, konserwatorstwa oraz pracy kulturalno-oświatowej), dysponująca sporym sprzętem badawczym i prowadząca wielorakie badania terenowe na przestrzeni od okolic Krakowa, aż po Gdańsk, od Kaliskiego aż po Podlasie, Kurpiowszczyznę i okolice Łańcuta. Walor tej placówki podnosiło i to jeszcze, że dysponuje ona od wielu lat dużym zespołem laboratoriów analitycznych i konserwacyjnych, a wśród nich pracownią radiowęglową (C14), a ponadto pokaźnym księgozbiorem specjalnym, liczącym kilkadziesiąt tysięcy woluminów i połączonym lokalowo z podobnym księgozbiorem katedry archeologii UŁ. Dodać trzeba i to jeszcze, że muzeum to może pochlubić się bardzo poważnym własnym dorobkiem wydawniczym w postaci kilkudziesięciu tomów w obrębie kilku serii czasopism fachowych.

Trzecim torem mojego działania stały się prace badawcze, prowadzone zrazu pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki w kierownictwie badań nad początkami państwa polskiego, a później pod egidą Polskiej Akademii Nauk w Zakładzie Archeologii Polski Środkowej w Łodzi, wchodzącym w obręb Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN. Szczytowym momentem w tej działalności był udział w bardzo szeroko zakrojonych pracach wykopaliskowych (m. in. w Gdańsku i w Łęczycy), związanych z ogólnokrajową akcją naukowo-badawczą z racji tysiąclecia państwa polskiego.

Doszedł do tego jeszcze jako tor czwarty w początkach szóstego dziesiątka lat naszego stulecia, krótkotrwały, ale ważny epizod 2-letnich badań, podjętych wespół z warszawskim Państwowym Muzeum Archeologicznym na obszarze Grodów Czerwieńskich, mianowicie w obrębie potężnego wczesnośredniowiecznego zespołu grodowego w dzisiejszym Czermnie (a w dawniejszym Czerwieniu) oraz w Gródku Nadbużnym koło Hrubieszowa, gdzie badano zespołowo dużą osadę z młodszej epoki kamienia, położoną nad samym Bugiem, tuż przy naszej obecnej wschodniej granicy państwowej.

W sumie powstał duży „kombinat" archeologiczno-etnograficzno-numizmatyczny, który dał mi te możliwości działania, jakie ma profesor, kierownik jakiejś katedry medycznej, dysponujący dla spełnienia swych zadań naukowych znakomicie wyposażoną, dobrze funkcjonującą kliniką.

Te wszystkie osiągnięcia minionego 35-lecia zawdzięczam w bardzo dużej mierze moim współpracowniczkom i współpracownikom. Z dużego ich grona mogę tu wymienić tylko kilka osób. Na pierwszym miejscu wspomnę doc. dr Janinę Kamińską, moją pierwszą asystentkę uniwersytecką i długoletnią współpracowniczkę w muzeum, w kierownictwie badań nad początkami państwa polskiego i w Zakładzie Archeologii Polski Środkowej IHKM PAN. Jej to należy w dużej mierze zawdzięczać rozmach badań nad grodami wczesnośredniowiecznymi i nad późnośredniowiecznymi gródkami rycerskimi w Polsce środkowej oraz nad wczesnośredniowiecznym Gdańskiem. Znaczenie łódzkiego ośrodka archeologicznego gruntuje się też w dużej mierze na pracach o średniowiecznej i późniejszej jeszcze wojskowości polskiej i obcej, podejmowanych od dziesiątków już lat z niezwykłym powodzeniem przez prof. dr Andrzeja Nadolskiego i przez kierowany przezeń zespół naukowców.

Czymże byłaby „Łódź archeologiczna" bez współudziału w jej przedsięwzięciach naukowych prof. dr Andrzeja Abramowicza, niezwykle subtelnego i wnikliwego badacza dziejów polskiej (nie tylko polskiej) archeologii od średniowiecza aż do czasów najnowszych! Jakżeż dużo zawdzięcza archeologia polska pracom badawczym i publikacyjnym prof. dr Waldemara Chmielewskiego, obecnego kierownika Instytutu Archeologicznego Uniwersytetu Warszawskiego, a przed laty kustosza muzeum łódzkiego i jego żony, doc. dr Marii Chmielewskiej, poświęconym starszej i środkowej epoce kamienia (paleolitowi i mezolitowi) w naszym kraju i daleko poza nim. Do tego trzeba jeszcze dodać to, czego dokonali w dziedzinie badania różnych kultur epoki brązu prof. dr Aleksander Gardawski (późniejszy kierownik katedry archeologii UMCS w Lublinie) i kustosz muzealny dr Henryk Wiklak, a na odcinku poznawania kultur okresu rzymskiego doc. dr Jerzy Kmieciński (mój następca na katedrze archeologii UŁ) oraz w dziedzinie wydobywania z niepamięci dziejów średniowiecznych zamków polskich i krzyżackich doc. dr Tadeusz Poklewski i wspomniany już doc. dr Jerzy Kmieciński. Niełądnie też byłoby nie wspomnieć o konserwatorze Stanisławie Madajskim, który nie tylko w ciągu ostatniego 30-lecia, ale i wcześniej jeszcze oddał nieocenione usługi w moich badawczych pracach terenowych i przy pracach konserwacyjnych.

Bardzo wiele uczyniła też dla podniesienia poziomu i dla nadania właściwej rangi pracom badawczym muzeum w zakresie ludoznawstwa polskiego prof. dr Kazimiera Zawistowicz-Adamska, wieloletni kustosz Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, dzisiaj wielce zasłużona nestorka etnografów polskich. A cóż byłaby warta muzealna pracownia radiowęglowa, jedna z bardzo niewielu w Polsce, gdyby nie działalność jej organizatora i wieloletniego kierownika mgr inż. Andrzeja Kanwiszera! Trzeba też jeszcze dodać, że Łódź ma obecnie gabinet numizmatyczny przy wzmiankowanym muzeum, jeden z niewielu godnych uwagi w naszym kraju, zawdzięczając to wielkiej pasji kolekcjonerskiej i żmudnej pracy badawczej dwóch numizmatyków, kustosza mgr Anatola Gupieńca i dr Andrzeja Mikołajczyka, który pół roku temu objął rządy po mnie na „stolcu dyrektorskim" w tej instytucji. Żal, że nie można wymienić tylu innych jeszcze współpracowników, którzy przecież tak wiele pożytecznego i ważnego dokonali razem ze wzmiankowanymi właśnie!

Nie chciałbym jednak, by czytelnik tej wspomnieniowej relacji odniósł wrażenie, że ja — jako były szef (od 1.III. 1979 r. jestem totalnym emerytem!) tego łódzkiego ośrodka archeologiczno-etnograficzno-numizmatycznego — żyłem z cudzego wysiłku. Wszyscyśmy „własną rzepkę skrobali" i każdemu z nas starczyło „własnego pomyślunku"!

Gdy tak staram się zbilansować ważniejsze osiągnięcia drugiej połowy mojego żywota „publicznego", to — oprócz tego, co tu dość pobieżnie i chaotycznie wyliczyłem — uznałbym za istotniejsze takie oto:

1. Przyczyniłem się na powierzonym mi odcinku do poszerzenia bazy humanistyki łódzkiej, co uważam za bardzo istotne w mieście, które przez całe pierwsze stulecie swego wielkoprzemysłowego istnienia pozbawione było właśnie większej dawki tego humanistycznego pierwiastka.

2. Sprawiłem wraz z moimi współpracownikami, że ta „dziura w obwarzanku", jaką była Polska środkowa w stosunku do dookolnych ziem polskich (Wielkopolski, Pomorza, Mazowsza, Małopolski, i Śląska) — jeśli mierzyć stanem znajomości najdalszej przeszłości tamtych dzielnic, porównanym z takimże stanem znajomości regionu łódzkiego — została na odcinku naszych pradziejów i wczesnych dziejów dość dobrze „zalepiona" przez setki badań i wiele setek publikacji moich oraz moich uczniów i współpracowników.

3. Udało mi się na odcinku mojej specjalności dokonać pospołu z moimi uczniami i kolegami, że łódzki ośrodek archeologiczny stał się znany w skali międzynarodowej. Widomym tego dowodem są m. in. moje pradzieje Polski w języku angielskim pt. „Poland", które ukazały się w wielkiej kilkudziesięciotomowej serii pt. „Ancient Peoples and Places" w Londynie w r. 1965, dalej „Inventaria Archeologica", redagowane przeze mnie i przez prof. W. Hensla z Warszawy przy współudziale z prof. A. Abramowiczem z Łodzi i wydawane od lat w Łodzi w języku francuskim, jako wielka ilustrowana seria z ramienia „Union Internationale des Sciences Préhistoriques et Protohistoriques", następnie międzynarodowy słownik archeologiczny pt. „Glossarium Archaeologicum", wydawany z ramienia tejże unii w Łodzi w 24 językach europejskich, który niestety ukazał się tylko w 20 zeszytach, zamiast w 200 zeszytach zamierzonych, dalej wzorcowy pierwszy zeszyt w serii „Archeologia Urbium" pt. „Le Gdańsk des Xe—XIIIe siecles", zredagowany przeze mnie wspólnie z doc. dr Janiną Kamińską i dr Romaną Gupieńcową, a wydany w Warszawie w r. 1966 (IHKM PAN), ponadto mój „Atlas to the Prehistory of the Slavs", (Acta Archaeologica Lodziensia Nr 1, Łódzkie Tow. Nauk., Łódź 1948/1949) oraz moje „Pradzieje Europy środkowej" (60 ark.), które mają ukazać się w wydawnictwach „Ossolineum" we Wrocławiu w r. 1980, a w skróconej wersji niemieckiej pt. „Urgeschichte Mitteleuropas" (35 ark.) także we Wrocławiu w r. 1981 lub 1982. Do „umiędzynarodowienia" archeologii i numizmatyki łódzkiej przyczyniło się jeszcze wiele publikacji moich uczniów i współpracowników, które zostały wydane w Łodzi oddzielnie lub w czasopismach miejscowych w kilku językach obcych. Poza tym przyczyniło się do tego jeszcze uczestniczenie w kilku wystawach, zorganizowanych przez Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi za granicą, a także udział mój i wielu innych archeologów i numizmatyków łódzkich w wielu kongresach i sympozjach międzynarodowych w Europie, Ameryce i Japonii.

4. Na koniec i to jeszcze. Mam prawo sądzić, że archeologia, numizmatyka i etnografia, reprezentowane obecnie w Łodzi przez 7 dobrze zakorzenionych i samodzielnych instytucji (z których 4 wiążą się z moją dawniejszą działalnością, czy też inicjatywą), są na tyle mocno ufundowane, że mogą przetrwać na bardzo długo w tym mieście i w szeroko pojętym regionie łódzkim. Gwarancją tego jest duży zespół moich następców i kontynuatorów, utalentowanych, inteligentnych, energicznych, pracowitych i świadomych swych celów. Oby im w tym działaniu jak najbardziej się szczęściło!

TRYPTYK Z PŁAWNA

Podradomszczańska wieś Pławno, położona na prawym zboczu doliny rzeki Warty, znana jest w historii sztuki z cennego zabytku polskiej plastyki wczesnorenesansowej, tzw. tryptyku z Pławna. Dzieło to, o wymiarach 195 cm i 190 cm, składa się z nieruchomej, półkoliście zamkniętej części środkowej i dwóch ruchomych skrzydeł. Otwarty tryptyk ukazuje sześć płaskorzeźb wykonanych w drewnie lipowym, pokrytych polichromią i złoceniami, a stanowiących plastyczne przedstawienie legendy o biskupie Stanisławie ze Szczepanowa. Na zewnętrznych stronach skrzydeł — widocznych po zamknięciu tryptyku — znajdują się dwa malowidła przedstawiające Chrystusa i Marię.

O tym wspaniałym dziele sztuki rzeźbiarskiej i malarskiej nie wspomina żadne ze znanych nam XVI- i XVII-wiecznych źródeł, którym zawdzięczamy niejedną cenną wiadomość zarówno o wielu zachowanych, jak i zaginionych dziełach naszej sztuki. Dopiero krótka informacja z roku 1747 w akcie wizytacji kościoła w Pławnie ustala jego obecność w tej miejscowości. Brak danych uniemożliwia ścisłe ustalenie czasu i okoliczności, w jakich tej miary dzieło, usunięte z któregoś z krakowskich kościołów (zapewne z katedry wawelskiej) tu zawędrowało.

W XVIII stuleciu — w okresie późnego baroku — dość często usuwano obrazy i rzeźby powstałe w minionych epokach stylowych. Ich miejsce zajmowały dzieła barokowe. Taki właśnie los spotkał omawiany tryptyk. Warto tu wspomnieć, że w tym czasie zamierzano usunąć z kościoła Mariackiego w Krakowie nawet olbrzymiej wartości artystycznej ołtarz Wita Stwosza.

Rzeźbiarz, który wykonał tryptyk z Pławna, odtwarza z wielką dokładnością typy ludzkie, stroje i wnętrza pomieszczeń, jakie widział wokół siebie. Ponieważ treścią przedstawianego tutaj dzieła — jak już wspomnieliśmy — jest legenda o biskupie Stanisławie Szczepanowskim, twórca tryptyku z Pławna umieścił także — w dolnej połowie środkowej części — kościół Na Skałce w Krakowie. Oczywiście widok tego kościoła nie odpowiada wyglądowi budowli sakralnej z drugiej połowy XI wieku. Podobnie przedstawia się sprawa stroju i wnętrz. Artysta patrzy tu bowiem na wszystko oczami człowieka wczesnego okresu epoki Odrodzenia.

Tryptyk z Pławna ma doskonałą kompozycję poszczególnych scen. Widzimy tutaj duże zróżnicowanie strojów, gestów i wyrazów twarzy osób utrwalonych przez artystę. Sceny posiadają odpowiednią głębię przestrzenną i niezwykłą plastyczność. Wszystko to świadczy o wysokim talencie nieznanego rzeźbiarza — głównego twórcy tego arcydzieła naszej sztuki wczesnorenesansowej. Twórcą części malarskiej tryptyku z Pławna jest Hans Süss z Kulmbachu — przedstawiciel malarstwa norymberskiego, uczeń Albrechta Dürera i Jakuba dei Barbari, artysta przybyły do Krakowa w pierwszej połowie drugiej dekady XVI stulecia, który pozostawił w tym mieście sporo dzieł malarskich.

Podczas drugiej wojny światowej tryptyk z Pławna został zrabowany przez hitlerowców, a po jej zakończeniu był rewindykowany i decyzją Ministerstwa Kultury i Sztuki przekazany do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie. To cenne rzeźbiarsko-malarskie dzieło sztuki wczesnorenesansowej poddano gruntownym zabiegom konserwatorskim, które wykonał Marian Słonecki, znany ze swych wcześniejszych osiągnięć przy restauracji krakowskiego ołtarza Wita Stwosza.

Mimo wielkich wartości artystycznych, które tryptyk z Pławna pozwalają zaliczyć do klejnotów polskiej plastyki, zabytek ten nie należy do dzieł naszej sztuki znanych szerokiemu ogółowi.

HENRYK SZUBERT

Dalszy ciąg ze str. 1

Kościuszkowską. Wasi specjaliści-artyści przywrócą go rzeczywistości historycznej. Przecież pod tym sztandarem walczyły oddziały generała Włodzimierza Krzyżanowskiego! Muzeum nasze jest młode, powstało w 1967 roku. Wprawdzie nosi imię Kazimierza Pułaskiego, ale kultywujemy w nim również równorzędnie nurt dorobku Polonii. W tej chwili mamy najwięcej zbiorów z życia Polonii amerykańskiej, ale w przyszłości...

Przedpokój zdobi aktualny plakat, wydany przez Polonię: barwy narodowe Polski i Stanów Zjednoczonych z napisem: *It s exciting to be Polish!*

Meble, zegary, zasłony, dywany, wprowadzają w atmosferę domostwa państwa Marianny z Zielińskich i Kazimierza Pułaskich Broń palna i biała z tych samych czasów. Konfederatka. Może ojca lub braci? Medale. Poświęcone głównie pamięci Kazimierza i Tadeusza Kościuszki. *Freedom Founders — Kościuszko — Washington — Pulaski* i ich podobizny. Na rewersie *Polacy amerykańscy w hołdzie 1776—1976*. Inny medal wybity jest w setną rocznicę uchwalenia Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych. Awers: *Kościuszko et Pulaski Populorum Libertatis Milites — Kościuszko i Pułaski Żołnierze Wolności Ludów.*

Mapy. Do najciekawszych chyba należy wydana w 1781 roku w Wenecji *Russia Rossa Podolia e Wolhynia — Czerwona Ruś Podole i Wołyń*. Na innej znów trasa podróży Juliana Ursyna Niemcewicza przedstawiająca jego peregrynacje w Ameryce. Tu znów współczesne Pułaskiemu mapy wschodnich stanów Ameryki.

Portrety. Najwięcej podobizn Kazimierza Pułaskiego. Oblicza — od pięknisia, przypominającego księcia Pepi, do marsowego wodza. Może słowa współczesnych uzupełnią wyobraźnię malarzy? Lekarz amerykański Albigens Waldo: *Hrabia Pułaski, generał kawalerii (general of the horse) jest zdecydowanie średniego wzrostu, o żywym sposobie bycia, bystrym spojrzeniu. Cieszy się wielkim szacunkiem i podziwiany jest za wielką wiedzę fachową, odwagę. Nieustraszony* Harry Lee z lekkiej kawalerii (Light horse Harry Lee): *Opanowany, pilny, nieustraszony.*

Wiele też mówi wstępne zdanie do najobszerniejszej biografii napisanej przez prof. Władysława Konopczyńskiego (1880—1952): *Mówił o sobie mało, mówił w ogóle tyle, aby móc dowodzić i walczyć.*

Z lat młodzieńczych jedyny zapis: portret pędzla J.N. Bizarskiego, przedstawiający pierwszego przełożonego Kazimierza. To książę Kurlandii i Semigalii, które były lennem Polski do 1795 roku, Karol, syn Augusta III. U niego 15-letni Kazimierz zostaje paziem. Pełnił tu służbę obozową, wprawiał się w jeździe konnej i władaniu szablą, był świadkiem szturmu na Mitawę w 1763 roku. Stąd wyruszył w barską potrzebę. Z bratem Antonim pomaga ojcu w organizowaniu siły zbrojnej. Brak zapisu, czy Kazimierz odwiedzał, a raczej kiedy odwiedzał swych rodziców w Warce, a może w Warszawie. Przecież w stolicy państwo Pułascy mieli swoją rezydencję. Róg ulicy Wareckiej i Nowego Światu. Tak, tak! Obecnie mieści się tam między innymi salon „Desy". *Konfederaci na biwaku*, płótno Aleksandra Raczyńskiego przywołuje do pamięci bogaty regestr konfederacki: pięć kampanii, obrona czterech twierdz pięć ataków na umocnione miasta, przeszło dwadzieścia bitew w otwartym polu. Ofiara krwi — trzykrotnie ranny.

Znany obraz Józefa Chełmońskiego *Kazimierz Pułaski pod Częstochową*. Szarżuje w wypadzie z warownej twierdzy, którą opanował w 1770 roku, a obronił w rok później przed szturmem wojsk carskich wspomaganych pruską artylerią. W Częstochowie marszałek Ziemi Łomżyńskiej (został nim obwołany w 1769 roku) wydaje konfederatom tej ziemi rozkaz prowadzenia dalszej walki. W dokumencie tym we wstępie wymienia w pierwszej kolejności posiadłości najdawniej sięgające rodziny Pułaskich: *Pułazie, Kostry. Deranie...*, a więc Podlasia, stron rodzinnych ojca. Warkę i okoliczne włości wniosła jako wiano matka Kazimierza. Dokument zakończony jest: *Datto 27 Febr. 1770 w Fortecy Jasno Górskiej.*

GENERAŁ SPOD SAVANNAH

Z Częstochowy wyrusza Kazimierz w 1772 roku na 5-letnią tułaczkę. W Dreźnie wydaje manifest. Przypatrzmy się oryginałowi.

Manifeste du Comte de Pulawski
Maréchal de Łomża

Życie moje o tyle jest cenne, o ile mogę je poświęcić obronie ojczyzny. Nie powstrzymam się w okazywaniu dowodów uczucia, które mi przewodziło w postępowaniu. Podnosząc to, narażam się na osąd jako człowieka próżnego i kierującego się miłością własną. Zadowolę się, że potwierdzają to nieposzlakowani świadkowie i cnotliwi obywatele, którzy bronią tej samej sprawy...

A więc manifest jest głosem prawdy bojownika niesłusznie oskarżonego, tropionego, banity skazanego na śmierć. Dwory europejskie zaniepokojone są dalszymi czynami wygnańca. Przeciw komu znów podniesie oręż?

Szczyt histerii przejawia list lorda Stormonta, posła angielskiego w Paryżu, do swego rządu. (Lord Stormont — notabene — był przyjacielem króla Stanisława Augusta. Może poznali się jako koledzy z „corps diplomatique"? Stanisław August był w latach 1755—56 sekretarzem posła angielskiego, a następnie posła saskiego w Petersburgu): *Franklin zaangażował Pułaskiego, jednego z zabójców króla polskiego oraz pięciu czy sześciu oficerów francuskich, aby wyjechali do Ameryki na statku, który odpłynie z Nantes w ciągu bieżącego tygodnia...*

List ten jest więc pisany w sześć lat po nieudanej próbie porwania króla, które w słowach lorda Stormonta urosło do zabójstwa.

23 lipca 1777 roku Pułaski ląduje w Ameryce w Marblehead.

Tu również szaleją pamfleciści: Amerykanie — lojaliści i Brytyjczycy.

Zacni Brytyjczycy, ostro go odprawcie,
To zbieg z Polski — morderczym sztyletem
Targnął się na swego Władcę..

Inny „wierszyk" jest zgoła złowieszczy:

Precz czarne upiory, do nas należy wybór,
Bo oto ukazała się szatańska postać — upiór
Monstrum piekielne, głos jego diabelski
Jakiś Pulaski, jakiś wódz cudzoziemski.

Inne jest świadectwo prawdy. W niespełna dwa miesiące po przybyciu do Ameryki, Pułaski staje się sławnym bojownikiem. To bitwa pod Brandywine — 11 września 1777 roku. Ilustruje ją oryginalny sztych. Pośrodku — szkic pola bitwy. Po obrzeżach sceny z walki. Pod jedną z nich czytamy: *Hrabia Pułaski, znakomity polski kawalerzysta poprowadził szarżę, która opóźniła odwrót wojsk amerykańskich do Chester.*

Niebawem, 4 października, uczestniczy, również pod dowództwem Waszyngtona, w bitwie pod Germantown. Zimę spędza ze swymi żołnierzami w okolicach Valley Forge, Trentonie. Tu opracowuje regulaminy i wprowadza nową musztrę. Ciężkich dragonów przemienia w zręcznych i szybkich ułanów. Władają oni również lancą, bronią dotychczas nie znaną Amerykanom.

Pamiętny ten okres utrwala sztych *Rada generałów w Valley Forge:* Pułaski w otoczeniu Waszyngtona, Kościuszki, La Fayette'a, von Steubena, de Kalba, Muhlenberga.

Wiosną 1778 roku jazda Pułaskiego oczyszcza stan New Jersey z plądrujących tam oddziałów brytyjskich. 28 marca Kongres zatwierdza wniosek Waszyngtona na sformowanie Legionu Pułaskiego. Pułaski wkłada w to przedsięwzięcie całą swą energię i własne fundusze.

I oto kolejny sztych. Pojawia się dumny tytuł *Father of American Cavalry — Ojciec kawalerii amerykańskiej*. Kazimierz Pułaski w otoczeniu swych oficerów otrzymuje sztandar od morawskich sióstr zakonnych wiosną 1778 roku w Bethlehem. Odwiedził on dwukrotnie Bethlehem, a nawet był obecny na nabożeństwie odprawianym w „heretyckim" kościele sióstr morawskich (Moravian Sisters). Może chciał przełamać uprzedzenie pewnych odłamów społeczeństwa do „papistów-cudzoziemców"?

Pół wieku później, wybitny poeta amerykański, Harry Wadsworth Logfellow uczci Pułaskiego wierszem *Sztandar Pułaskiego*. I tu znów — chwała Polonii amerykańskiej — za nadesłanie do muzeum pięknej odbitki tego wiersza w wersji angielskiej.

Darujcie mi Państwo niezręczny przekład jednej zwrotki:

Weź ten sztandar! wznieś
Nad chmur bitewnych wieniec
Strzeż go! — wolność zawita w naszych domach
Zachowaj go! — Bóg Ci błogosławi!

W sierpniu 1778 roku Pułaski melduje o gotowości Legionu do walki. Otrzymuje rozkaz wymarszu do Egg Harbor, aby bronić wybrzeża przed spodziewanym atakiem morskim i desantem Brytyjczyków. Niestety, następuje zdrada. Anglicy dokonują nocnego napadu, zaskakując żołnierzy Legionu.

Legion otrzymuje rozkaz wymarszu na północ, tereny zamieszkałe przez Indian. Tego rodzaju ekspedycja nie odpowiada poglądom Pułaskiego. Składa dymisję. W lutym zapada inna decyzja: Legion uda się do Południowej Karoliny, aby wzmocnić armię Lincolna. Marsz do Charlestonu. Z okrążonego przez Brytyjczyków miasta dokonuje wypadów. Nieprzyjaciel odstępuje. Znów jest w konfederackim, partyzanckim żywiole, walce podjazdowej.

Savannah. Plan zdobycia tego miasta przewidywał wspólne akcje Legionu, wojsk amerykańskich i francuskich. Wojskami francuskimi dowodzi Jean Baptiste d'Estaing. Mówi o nim Pułaski w liście do Waszyngtona:

Drogi Generale

Zająłem kwaterę w odległości około siedmiu mil od Savannah w domu wdowy Gibbon, obok drogi do promu Oguchi. Jest to bardzo ważny punkt obserwacyjny wrogów znajdujących się w odległości dwóch mil od miasta. Pozycję tę zajęli w nocy, zaalarmowani naszym wczorajszym atakiem na ich linie. Oddział należy wzmocnić nie tylko kawalerią, lecz również piechotą, abyśmy mogli zaatakować ich pikiety. Będę się starał posunąć o dwie mile w kierunku drogi do Sunberry, aby uzyskać nieskrępowaną łączność z hrabią d'Estaing. Na tym odcinku wrogowie ponieśli kilkakrotnie straty.

Z wielkim respektem, Drogi Generale
Pułaski K.
14 września, 1779 roku o trzeciej rano.

Ranek, 9 października. Piechota francuska, dowodzona przez d'Estainga, sztrumuje zasieki broniące dostępu do redut nieprzyjacielskich. Pada ogień krzyżowy dział i muszkietów. Na szańcach ukazują się pierwsze oddziały atakujących. Spada na nie uderzenie piechoty szkockiej, której generał Prevost powierzył najbardziej zagrożone odcinki. Trzykrotnie próbuje d'Estaing sforsować dostęp do redut przejściem wśród bagien. Pada ranny. Pułaski czeka na odpowiedni moment uderzenia kawalerią. Widząc piechotę francuską pozbawioną dowódcy, pozostawia swój Legion za osłoną wzgórz i ze swym adiutantem, Bentalou, rusza ku reducie Springhill, na której przedpolu trwa zacięta walka.

Pada ranny kulą kartaczową. Nieprzytomnego przeniesiono na bryg „Wasp", by przewieźć do szpitala w Charleston. Gangrena, dwudniowy stan agonii. Zwłoki oddano morzu.

Zatrzymuję się przed obrazem Stanisława Batowskiego: *Ostatni galop generała, pod Savannah.*

Ostatni.

JAN JANISZEWSKI

POROZUMIENIE WŚRÓD NIEPOROZUMIEŃ

Proces normalizacji w stosunkach Polski z Republiką Federalną Niemiec, zapoczątkowany układem z dnia 7 grudnia 1970 roku, stał się impulsem do podjęcia zdwojonych wysiłków mających na celu wypełnienie układu życiem i doprowadzenia do możliwie bliskiej współpracy bilateralnej. Normalizacja stała się faktem dopiero po roku 1970, gdyż przez lata rządów chadeckich relacje pomiędzy PRL i Republiką Federalną nie miały szansy wejścia na racjonalne tory. Dla poprawienia aury decydujące znaczenie miały osobiste kontakty I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka z kanclerzem federalnym Helmutem Schmidtem, wynikiem których jest znaczne ożywienie wzajemnych kontaktów w drugiej połowie bieżącego dziesięciolecia.

„Nie oznacza to jednak wcale, by można było uznać istniejący stan rzeczy za w pełni zadowalający. Rozwój stosunków wzajemnych jest wciąż jeszcze daleki od rzeczywistych potrzeb i aktualnych możliwości obu stron: niemal we wszystkich dziedzinach istnieją konkretne przesłanki dalszego zintensyfikowania czy poszerzenia współpracy, a w niektórych dziedzinach istnieje potrzeba rozszerzenia bazy traktatowej lub brak jest w ogóle jakichkolwiek uregulowań w postaci porozumień obu państw, które ułatwiłyby osiągnięcie kolejnych rezultatów we wszechstronnym procesie normalizacyjnym" — pisał w 1977 roku czołowy znawca zagadnienia, docent Jerzy Sułek z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Skomplikowany, wielostronnie uwarunkowany charakter stosunków pomiędzy Republiką Federalną Niemiec a Polską wymaga licznych studiów, badań i przemyśleń, które przyniosłyby analizę rozlicznych aspektów zagadnienia. Chociaż polska politologia notuje w tym zakresie pewne osiągnięcia (por. m.in. prace J. Rachockiego, J. Skibińskiego, L. Gelberga, A. Klafkowskiego, L. Janickiego czy J. Sułka), dawał się wyraźnie odczuć brak szeroko zakrojonego, syntetycznego studium, ogarniającego całokształt relacji pomiędzy obydwoma państwami.

W końcu września 1979 r. ukazał się zbiorowy tom, autorstwa zarówno polskich, jak i zachodnioniemieckich specjalistów, który zdaje się wypełniać istniejącą lukę w piśmiennictwie naukowym dotyczących stosunków PRL — RFN. Redaktorzy pracy, ze strony polskiej **Jerzy Sułek** i **Lech Trzeciakowski**, zaś ze strony RFN-owskiej **Hans-Adolf Jacobsen** i **Carl-Christoph Schweitzer**, piszą w przedmowie następująco:

„Niniejszy wspólny projekt naukowo-badawczy, który w formie publikacji książkowej ukazuje się jednocześnie w języku polskim i niemieckim (w oficynie Alfreda Metznera we Frankfurcie nad Menem — KAK), **ma paroletnią historię. Prace zostały zapoczątkowane na długo przed zawarciem umowy o współpracy kulturalnej między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Federalną Niemiec w 1976 roku. Były one wprawdzie przez cały czas na wskroś zależne od stanu stosunków bilateralnych, uprzedzały jednakże w pewnym sensie cele umowy o współpracy kulturalnej; niniejszą publikację bowiem należy traktować jako pierwszą skromną próbę zbadania możliwości, granic i perspektyw współpracy w dziedzinie nauk humanistycznych pomiędzy naukowcami z krajów o różnych ustrojach społecznych — w myśl Aktu Końcowego przyjętego na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Helsinkach w 1975 roku."**

Praca zbiorowa pt. **„Polska Rzeczpospolita Ludowa — Republika Federalna Niemiec. Bilans stosunków wzajemnych. Problemy i perspektywy normalizacji"** przynosi kompleks zagadnień zgrupowanych w czterech podstawowych działach: historia, polityka, gospodarka i kultura. Część komplementarną stanowi wybór dokumentów z lat 1945—1978, jak i kronika ważniejszych wydarzeń z zakresu stosunków PRL — RFN tej cezury czasowej.

Wydawcy wyszli ze słusznego założenia, że pełne zrozumienie relacji PRL — RFN jest możliwe jedynie w oparciu o obraz stosunków polsko-niemieckich w przeszłości. Szkice o dziejach historycznych obu państw, o związkach i rozbieżnościach Niemiec i Polski przedstawili **Jerzy Krasuski** i **Jörg K. Hoensch**.

Do węzłowych niewątpliwie działów tomu należą rozdziały traktujące o stosunkach politycznych, regulujących de facto rozwój relacji w innych dziedzinach. Poszczególni autorzy analizują m.in. problemy, jak rola i miejsce PRL i RFN w polityce międzynarodowej, wybrane aspekty normalizacji stosunków PRL — RFN w latach siedemdziesiątych. Wymienić tutaj należy takich uczonych jak **Józef Kokot** (zm. 1975), **Marian Orzechowski, Jerzy Sułek, Lech Janicki** oraz **Hans-Adolf Jacobsen** i **Carl-Christoph Schweitzer.**

Wzrastający bilans handlowych stosunków każe upatrywać w tej dziedzinie (czy szerzej: w dziedzinie stosunków gospodarczych) coraz istotniejszego ogniwa łączącego interesy obu państw. O zagadnieniach gospodarczych piszą **Zdzisław Nowak, Wirginia Grabska** oraz **Eberhard Schulz.**

Trzecią płaszczyzną kontaktów jest — jak wspomniano — wymiana kulturalna oraz rozmaite aspekty współpracy w tym zakresie. Do ważkich tematów zaliczyć należy m.in. opracowanie zagadnienia stereotypów odnośnie postaci Polaka i Niemca (RFN), funkcjonujących w tradycji kulturowo-politycznej obu narodów, jak również rozdziały o działalności Komisji UNESCO PRL i RFN do Spraw Podręczników Szkolnych. Autorzy, jak **Władysław Markiewicz, Franciszek Ryszka, Marian Szyrocki, Stanisław Cholewiak, Mieczysław Suchocki** (zm. 1976) oraz **Hubert Feger, Karl Dedecius, Gerlind Nasarski** i **Udo Arnold**, zaprezentowali wszechstronną panoramę tematu.

W wielu wypadkach autorzy polscy i zachodnioniemieccy pisali swe rozprawy na zbliżony temat, każdy z własnego punktu widzenia i chociaż niejednokrotnie dochodzą do innych konkluzji, warto poznać obydwie interpretacje poszczególnych zagadnień. Zapisać należy na plus wydawców, iż zdecydowali się otwarcie ukazać rozbieżności, subiektywne zapatrywania autorów, co jest tym bardziej oczywiste, że proces normalizacyjny nie przebiega przecież — jak wiadomo — bez kontrowersji i polemik. Ponieważ jest to publikacja zbiorowa, będąca wyrazem woli dyskusji środowisk naukowych Polski i Republiki Federalnej, autorzy tomu dążyli do w miarę ujednoliconego stanowiska w danych kwestiach spornych. Edycję książki poprzedziły liczne konsultacje autorów, zaś **„celem tych dyskusji nie było bynajmniej osiągnięcie jednomyślności w ocenie faktów i zachodzących między nimi związków ani też zamazanie istniejących rozbieżności. Przeciwnie — tego rodzaju rozbieżności zostały w sposób otwarty ukazane, a tam, gdzie się to wydawało potrzebne, opatrzone odpowiednim komentarzem drugiej strony (...) — właśnie w interesie coraz lepszego zrozumienia pomiędzy obu państwami i narodami."**

Lektura publikacji unaocznia w dużym stopniu rozwój stosunków pomiędzy PRL i RFN, ze szczególnym uwzględnieniem okresu po roku 1970; ukazuje, jak wiele — mimo niesprzyjających warunków podczas pierwszych dwudziestu lat istnienia Republiki Federalnej — dokonała strona polska dla dzieła porozumienia, współpracy i pokojowego współistnienia. Ze stanowiskiem strony zachodnioniemieckiej, reprezentowanym w niniejszym tomie, trudno się w niektórych wypadkach zgodzić, należy też w pełni przyznać rację uczonym polskim, wnoszącym swoje zastrzeżenia co do treści poszczególnych poglądów i interpretacji wyrażanych w rozdziałach opracowanych przez naukowców zachodnioniemieckich.

Tom **„Polska Rzeczpospolita Ludowa — Republika Federalna Niemiec"**, wydany nakładem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, można w chwili obecnej uznać za podstawową pozycję w zakresie stosunków pomiędzy obydwoma krajami. Jest to zarazem niezmiernie istotny wkład naukowych środowisk Republiki Federalnej i Polski w dzieło odprężenia i dalszego rozwoju normalizacji obydwu państw. Inicjatywa ujawniona przez wydawców polskich i zachodnioniemieckich świadczy także o woli przezwyciężenia istniejących nieporozumień, zaś fakt ukazania się tomu także w języku niemieckim w Republice Federalnej pozwoli zaprezentować nad Renem polski pogląd na proces normalizacji PRL — RFN.

KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

Polska Rzeczpospolita Ludowa — Republika Federalna Niemiec. Bilans stosunków wzajemnych. Problemy i perspektywy normalizacji, praca zbiorowa, Warszawa 1979, str. 422.

MOSKWA – OLIMPIADA 80

28 lipca 1980 roku rozpoczyna się XXII letnia Olimpiada. Wybór Moskwy jako stolicy Igrzysk jest uznaniem dla ogromnego wkładu ZSRR w dzieło rozwoju ruchu olimpijskiego i znakomitych sukcesów radzieckich sportowców we wszystkich konkurencjach. Po raz pierwszy organizuje Olimpiadę państwo socjalistyczne. Dlatego też zupełnie zrozumiałe jest szerokie zainteresowanie światowej opinii publicznej przygotowaniami do tego święta sportu. Obserwatorzy są jednomyślni w ocenach: w Związku Radzieckim robi się wszystko, żeby zapewnić Olimpiadzie pełny sukces. Oto co pisze na ten temat wysłannik amerykańskiej gazety „Time".

Rok przed XXII Igrzyskami Olimpijskimi w 1980 roku przeprowadzono w Moskwie generalną próbę: imponującą VII Letnią Spartakiadę Narodów ZSRR, trwającą pełne dwa tygodnie. Wzięło w niej udział ponad 10 tysięcy sportowców radzieckich, a także około 2500 sportowców z zagranicy, reprezentujących 85 krajów świata. Spartakiada była właściwie olimpiadą i jeśli chodzi o rozmach, to konkurencje były rzeczywiście olimpijskie, chociaż niektórych obiektów sportowych nie oddano jeszcze do użytku. Debiutował olimpijski emblemat — sympatyczny niedźwiadek Misza. Ponieważ w tym czasie przebywała w Moskwie tylko niewielka liczba zagranicznych turystów, systemy funkcjonowania miasta nie zostały sprawdzone w warunkach maksymalnie zbliżonych do olimpijskich. Zachodni dziennikarze narzekali na zwłokę w udzielaniu wiz, pomyłki w rozkładach jazdy i niezrozumiałe dla nich słowiańskie napisy na elektronicznych tablicach informacyjnych.

W 1980 roku, podczas trzech tygodni trwania Igrzysk, Moskwa będzie podejmować ponad 300 tysięcy zagranicznych gości. W Związku Radzieckiem robi się wszystko, żeby zgotować im godne przyjęcie. Ogólnie rzecz biorąc, wybuduje się lub podda kapitalnym remontom i odnowieniu 99 obiektów olimpijskich — 76 w Moskwie, a pozostałe w Leningradzie, Kijowie, Mińsku i Tallinie. Budowy i przebudowy rozpoczęto wiosną 1977 roku i wykonuje się je planowo, nawet bez względu na niezwykle chłodne zimy. Na budowy olimpijskie ściągnięto zewsząd najlepszych radzieckich specjalistów, także tysiące komsomolców z całego Związku Radzieckiego pracuje na nich w brygadach operacyjnych. Olimpijskie obiekty mają pierwszeństwo w zaopatrzeniu w wysoko wykwalifikowane kadry pracowników i materiały budowlane.

Według nieoficjalnych szacunków, koszty budowy wszystkich obiektów olimpijskich będą dwa i pół raza niższe niż w Montrealu i Monachium. Dochody z turystyki zagranicznej, loterii sportowych, specjalnych olimpijskich emisji znaczków pocztowych i sprzedaży prawa do pokazywania Igrzysk w zagranicznej telewizji, jak utrzymują osobistości oficjalne, powinny przewyższyć wydatki na zorganizowanie Igrzysk.

XXII Igrzyska staną się nie tylko ważnym wydarzeniem w międzynarodowym życiu sportowym, lecz także wystawą współczesnej architektury i technologii. Spośród obiektów najbardziej zwracających uwagę należy wymienić wielki stadion im. W. I. Lenina zbudowany 23 lata temu i obecnie gruntownie przebudowany. Wyniki w biegach na nowych bieżniach tartanowych nie były wprawdzie rekordowe, ale bynajmniej nie wskutek ich jakości, która jest znakomita, a raczej dlatego, że w startach wzięło udział zaledwie kilku zawodników o światowych nazwiskach.

Na największym w Europie krytym stadionie ośrodka olimpijskiego można przeprowadzać olbrzymie imprezy sportowe. W wypadku, jeśliby wynikła konieczność rozegrania tutaj jednocześnie dwóch meczów, na przykład koszykówki i siatkówki, będzie go można przegradzać dźwiękochłonną ścianą. Pływalnia pod bardzo pięknym dachem w kształcie spodka, dysponuje dwoma basenami — do zawodów pływackich i skoków do wody. Może ona pomieścić 10 tysięcy widzów.

Tor wioślarski w Krylatskom, na przedmieściu Moskwy, jest najlepszy w Europie, chociaż trybuny dla 6 tysięcy widzów zbudowano bez uwzględnienia panujących tu wiatrów. Osłaniają one od wiatru dwa najbliższe tory, co pozwala zawodnikom rozwijać na nich większe szybkości niż na dwóch dalszych. Uniwersalna hala sportowa „Przyjaźń", dzięki zewnętrznym śnieżnobiałym podporom wygląda dosłownie jak wielki fantastyczny krab. Tutaj na oczach trzech tysięcy widzów będą się odbywać mecze piłki siatkowej.

Ostatnie już prace prowadzi się w dwóch ośrodkach prasowych, w których w 1980 roku zajmą miejsca zagraniczni i radzieccy dziennikarze i komentatorzy sportowi. Fotoreporterzy otrzymają do dyspozycji przestronny gmach na Zubowskim Bulwarze, wyposażony w najnowocześniejszą aparaturę, w którym jednocześnie trzy tysiące dziennikarzy znajdzie wszystko, co będzie niezbędne dla ich pracy fotoreporterskiej. Około 3800 osób: zagranicznych komentatorów radiowych i telewizyjnych oraz personel techniczny — będzie mogło przekazywać informacje na cały świat z kompleksu w centrum Moskwy.

Amerykańska korporacja telewizyjna „National Broadcasting Corporation" (N.B.C.), która nabyła prawa do przekazów telewizyjnych z XXII Igrzysk, wysłała na Spartakiadę 45 obserwatorów, żeby na miejscu ocenili warunki, w jakich będzie pracować N.B.C. Jeszcze w tym roku przyśle ona do Moskwy 660 specjalistów, którzy będą współpracować z GOSTELRADIO ZSRR przy oświetlaniu stadionów podczas Igrzysk Olimpijskich. Przed odlotem do Stanów Zjednoczonych prezydent N.B.C., Robert Muelholland, powiedział entuzjastycznie: „Rosjanie po mistrzowsku stosują takie metody, jak powtórzenie obrazu i zdjęcia zwolnione".

Zdając sobie sprawę, że turyści, zadowoleni ze swego pobytu w ZSRR, dzieląc się swymi wrażeniami, będą sprzyjać dalszemu podnoszeniu prestiżu Związku Radzieckiego za granicą, Rosjanie robią wszystko, żeby tylko usatysfakcjonować nawet najbardziej wymagających gości. Ogółem 100 tysięcy ludzi zapewni sprawne funkcjonowanie obiektów olimpijskich, a drugie tyle będzie zatrudnionych bezpośrednio przy obsłudze turystów zagranicznych. Ponad 10 tysięcy osób przechodzi obecnie przygotowania do zajęć w charakterze tłumaczy, a niezależnie od tego tysiące, od kierowców taksówek po przewodników po mieście, uczy się podstaw języków obcych. Żeby goście z zagranicy od razu po przyjeździe do ZSRR odnieśli jak najlepsze wrażenie, na międzynarodowym lotnisku Szeremietiewo pod Moskwą, przy współudziale konsorcjum firm zachodnioniemieckich, buduje się nowy port lotniczy.

Gospodarze Olimpiady 80 koncentrują uwagę na budowie hoteli i restauracji, w których turyści będą spędzać znaczną część czasu. Do przyszłego lata ilość miejsc w hotelach kategorii I w Moskwie wzrośnie z 50 do 75 tysięcy. Największy kompleks hotelowy stanie przy Parku Izmaiłskim, który obejmuje pięć 28-piętrowych hoteli, każdy z restauracjami, podziemnymi garażami i kinem. Ogólna pojemność kompleksu wynosi 10 tysięcy miejsc. Niedawno otwarto 28-piętrowy „Kosmos", hotel klasy lux, który jest lśniącym gigantem ze stali i szkła. Został wybudowany według francuskiego projektu w pobliżu stacji metra WDNH. (Wystawy Osiągnięć Gospodarki Narodowej).

Chociaż większość turystów będzie się stołować tam gdzie zamieszka na okres Igrzysk, w pobliżu obiektów olimpijskich planuje się uruchomienie 150 nowych restauracji, kawiarni i barów, w których, obok dań kuchni europejskiej, będzie się podawać narodowe dania rosyjskie, jak np. barszcz, bliny, pierożki z mięsem.

Z 17 tysięcy wycieczek na Olimpiadę zaproponowanych turystom z USA, na 12 tysięcy wpłynęły już zgłoszenia. Przewidują one 15 lub 22-dniowy pobyt w Związku Radzieckim. W cenę wkalkulowano wyżywienie, pobyt w hotelu, zwiedzanie interesujących obiektów, imprezy kulturalne i rozrywki. Jednak za bilety wstępu na Igrzyska trzeba będzie płacić dodatkowo. Program pobytu będzie tak urozmaicony, że goście Moskwy staną nieraz przed trudnym wyborem: czy udać się o 7 wieczorem do Teatru Wielkiego, czy też na widowisko sportowe, ponieważ większość walk finałowych zaplanowano na drugą połowę dnia.

Wioska olimpijska jest rozrzucona na powierzchni ponad stu hektarów, na południowy zachód od Moskwy. Osiemnaście 16-piętrowych gmachów pokrytych różnokolorową okładziną, wyrosło wokół trzech niewielkich parków. Korespondent „Time'a" Peter Ansly, był tam na placu budowy i wrócił pełen zachwytu: „Nie ulega wątpliwości, iż jest to najbardziej nowoczesny kompleks jaki kiedykolwiek zbudowano, żeby zapewnić uczestnikom Olimpiady mieszkanie, wyżywienie i moc rozrywek". Obecnie buduje się tam piękny ośrodek kulturalny, w którym znajdzie się ogromna różnojęzyczna biblioteka, sala koncertowa na 1200 miejsc, dwa kina a nawet dyskoteka.

J. CZECH

W czasie jubileuszowych obchodów powstania NRD (znamienne, że właśnie z Berlina) **Leonid Breżniew ogłosił nowe propozycje pokojowe.** Wszystkie one odnoszą się do najważniejszego obecnie problemu — rozbrojenia. Zasięg propozycji, w jednym przypadku jednostronność decyzji, a także czas, w którym zostały ogłoszone — wszystko to zaskoczyło Zachód. Po prostu tamtejsze koła polityczne nie oczekiwały nowego przejawu trwającej przecież radzieckiej ofensywy. Tymczasem **wystąpienie z nowymi inicjatywami właśnie teraz ma dodatkowy sens.**

W Stanach Zjednoczonych, jak wiadomo, trwa przedratyfikacyjna debata układu SALT II. Jego przeciwnicy wynajdują różne powody, przy pomocy których chcieliby skorygować tekst układu. W tym celu wszczęli wrzawę wokół stacjonowania na Kubie radzieckiej jednostki szkoleniowej (pisaliśmy o tym szerzej przed tygodniem), głoszą potrzebę rozmieszczenia w zachodniej Europie nowych rodzajów broni rakietowo-jądrowej, wykorzystują jesienne manewry wojsk NATO do demonstrowania siły. Podjęli więc szereg działań w obawie, aby radziecko-amerykański układ o ograniczeniu ofensywnych zbrojeń strategicznych nie zapoczątkował procesu odprężenia militarnego. Równocześnie w Wiedniu, o czym wiedzą nasi Czytelnicy, rokowania na temat wzajemnej redukcji zbrojeń i sił zbrojnych w Europie Środkowej, z winy państw zachodnich nie posuwają się naprzód. W tej sytuacji **tym bardziej potrzebny był nowy impuls rozbrojeniowy.**

Do czego sprowadza się radziecka inicjatywa?

Przede wszystkim Związek Radziecki ogłosił, że **w ciągu 12 najbliższych miesięcy pomniejszy o ok. 20 tys. żołnierzy i 1 tys. czołgów swój potencjał obronny w NRD,** co oczywiście równoznaczne jest ze zredukowaniem sił radzieckich w Europie Środkowej. Ta decyzja nawiązuje wprost do toczących się w Wiedniu rokowań.

Ponadto ZSRR zaproponował Zachodowi, aby dodatkowo nie rozmieszczał środków nuklearnych średniego zasięgu w zachodniej Europie **w zamian za co zredukowana zostanie liczebność takich środków w zachodnich rejonach Związku Radzieckiego.**

I po trzecie szef państwa radzieckiego wysunął następujące **sugestie z dziedziny rozszerzenia środków zaufania:** informować się wcześniej o ćwiczeniach wojsk lądowych i to nie tylko w przypadku, gdy bierze w nich udział ponad 25 tys. żołnierzy, ale już powyżej 20 tys., objąć informacją wzajemną również ruchy wojsk powyżej tej granicy (20 tys.) oraz zaniechać manewrów z udziałem więcej niż 40—45 tys. żołnierzy. ZSRR gotów jest rozważyć i inne koncepcje, zmierzające do umocnienia zaufania między państwami, i najlepiej aby to się stało na „europejskiej konferencji na szczeblu politycznym", której zwołanie i przygotowanie „jest zadaniem nader aktualnym, można powiedzieć dojrzałym do podjęcia".

W berlińskim przemówieniu L. Breżniewa wyrażona została ponadto gotowość natychmiastowego — po wejściu w życie układu SALT II — rozpoczęcia rokowań SALT III, w toku których można by omówić nie tylko redukcję zbrojeń o zasięgu międzykontynentalnym, lecz także innych rodzajów.

Radziecki pakiet propozycji zrobił duże wrażenie na Zachodzie, wielu polityków uznało go za wielce interesujący i realny. Jednakże niemal natychmiast włączyły się w „ocenę" także koła militarne. Z braku innych argumentów podjęły kampanię, której celem jest pomniejszenie znaczenia propozycji oraz sianie wątpliwości co do szczerości intencji. Ta błyskawiczna reakcja jest jakby potwierdzeniem sensowności i rzeczowości radzieckiej inicjatywy.

Trudno oczywiście przewidzieć, jaka będzie oficjalna odpowiedź zachodnia na wysunięte propozycje. Komentatorzy są zdania, że trudno będzie je odrzucić, a zwłaszcza nie uwzględnić w toku wiedeńskich rokowań.

„Terenem" nowej inicjatywy radzieckiej jest kontynent europejski. Jest to zrozumiałe — z Europy rozpoczynały się wojny światowe. Ale nie można też zawężać jej zasięgu. Praktyka polityczna bowiem wskazuje, **że to, co dzieje się w Europie, wywiera duży wpływ na układ stosunków międzynarodowych w świecie.** Stąd też również poza granicami naszego kontynentu tekst berlińskiego przemówienia L. Breżniewa analizowany jest z najwyższą uwagą i już spotkał się z dużą przychylnością.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

Z PRASY

„KOŚĆ DLA JASTRZĘBI"

Rakieta MX, nad którą prace trwają już od 1972 roku, otrzymała ostateczne błogosławieństwo Białego Domu. Decyzję o przystąpieniu do jej opracowania porównał prezydent Carter do „dwóch najważniejszych decyzji podjętych w bieżącym stuleciu": do stworzenia lotnictwa strategicznego (prezydent Truman) i uzbrojenia wojsk amerykańskich w międzykontynentalne rakiety balistyczne (prezydent Kennedy). MX będzie dwukrotnie cięższa od najcięższej amerykańskiej rakiety MINUTEMAN 3. Ważąca 95 ton rakieta MX może przenieść 10 głowic bojowych jednocześnie, podczas gdy jej poprzedniczka „tylko" trzy. Ale, zdaniem Pentagonu, walor MX polega na jej ruchliwości. Amerykańscy stratedzy uważają, że w latach 80-tych istniejące obecnie rakiety z naziemną bazą, teoretycznie mogą zostać zniszczone nagłym uderzeniem rakietowym. To niebezpieczeństwo, jak twierdzą, nie grozi MX dzięki jej ruchliwości i sposobowi bazowania.

Każda z 200 rakiet MX będzie się poruszać po zbudowanej dla niej drodze w kształcie elipsy o długości 10—15 mil. Wzdłuż tej drogi przewiduje się wybudowanie 23 betonowych schronów, do których, co pewien czas, będą wjeżdżać urządzenia transportowe, żeby zostawić lub zabrać rakiety. System ten, jak wyraził się prezydent Carter, „zwielokrotni efektywność naszych rakiet dzięki zwiększeniu liczby celów, które przeciwnik będzie musiał zaatakować, nie wiedząc w jakim z 23 schronów znajduje się rakieta".

Biały Dom utrzymuje, że MX jest niezbędna dla umocnienia bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Ale istnieje także inny punkt widzenia. Światowa opinia publiczna przyjęła decyzję Waszyngtonu jako początek nowej spirali wyścigu zbrojeń. Rośnie opozycja przeciwko tym zamierzeniom także w samych Stanach Zjednoczonych. Na przykład Federacja Amerykańskich Uczonych złożyła oświadczenie, że „MX jest nie tylko strategicznym błędem, za który zapłacono wiele miliardów dolarów i który będzie miał następstwa inflacyjne, lecz także spowoduje negatywne skutki w sferze kontroli zbrojeń".

Teoretyczna statyczność naziemnych rakiet, którą motywuje się plany stworzenia MX, jest problemem nie tylko dla Stanów Zjednoczonych. Dlatego zamiar rozwiązania go w trybie jednostronnym jest równoznaczny z próbą zdobycia wojskowej przewagi. Jednakże pokładanie nadziei w przewadze strategicznej jest co najmniej naiwne. Na wyzwanie daje się na ogół odpowiedź w celu zachowania parytetu.

Czy więc w ostatecznym rachunku zwiększy się bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych? Doświadczenie mówi, że każda nowa spirala zbrojeń rodzi także nowe problemy i nowe zagrożenie bezpieczeństwa. Wszystko to przemawia za tym, że chyba rację ma amerykański tygodnik „Business Week" pisząc: „Decyzję Waszyngtonu w sprawie rozwoju nowego systemu broni, bardziej można tłumaczyć względami politycznymi niż wojskowymi". Wielu obserwatorów zgadza się co do tego, że MX jest „kością" dla „jastrzębi", żeby poparli porozumienie SALT II.

I tak, krok w stronę odprężenia wojskowego, jakim było podpisanie porozumienia SALT II, „kompensuje" teraz Waszyngton krokiem na drodze zbrojeń.

(W. B.)

EKSPANSJA POLSKIEJ KULTURY

Jako okres szerokiej prezentacji dorobku naszego wykonawstwa i twórczości zapowiada się rok 1980 i ostatnie miesiące br.

Wiosną przyszłego roku uda się na 16 koncertów do Australii zespół Filharmonii Narodowej z dyrygentami Kazimierzem Kordem i Tadeuszem Strugałą oraz solistami Lidią Grychtołówną i Konstantym Andrzejem Kulką. Warszawscy filharmonicy są drugą — obok londyńskiej orkiestry BBC — orkiestrą na świecie zapraszaną ponownie na ten kontynent. W drodze powrotnej do kraju przewidziano dwa koncerty w Bangkoku. Warszawski Teatr Wielki weźmie udział w maju 1980 r. w festiwalu muzycznym w Wiesbaden, a ponadto ma w planie tournée po RFN, w programie którego przedstawi m. in. „Halkę" Moniuszki i „Diabły z Loudun" Pendereckiego. Polski Teatr Tańca z Poznania, po obecnych występach w NRD, w grudniu wyjedzie do Czechosłowacji, a w czerwcu — do Finlandii.

Nazwą „Polskiego sezonu muzycznego w Bonn" określono cykl imprez, jakie odbędą się w grudniu w stolicy RFN. W stałym cyklu „Musikszene-Europa" koncertować będzie m. in. „Kwartet Wilanowski", zaś sprawujący kierownictwo artystyczne placówek muzycznych tego miasta — Jan Krenz poprowadzi premierę „Strasznego dworu" Moniuszki, realizowaną przy współpracy Leszka Komarnickiego (reżyseria) i Andrzeja Majewskiego (scenografia) oraz polskich solistów: Bożeny Betly-Sieradzkiej, Wiesława Ochmana, Leonarda Andrzeja Mroza i Andrzeja Hiolskiego.

Na uwagę zasługują również zamierzenia naszych wybitnych twórców i solistów. Począwszy od październikowego koncertu w duńskim mieście Odense, Witold Lutosławski prowadzić będzie do maja przyszłego roku serię swoich koncertów kompozytorskich w Zurychu, Genewie, Waszyngtonie, Dreznie, Berlinie, Adelaide, Montrealu, Toronto i Paryżu. Trasa trwającego do końca grudnia tournée Krystiana Zimermana prowadzi przez wiele miast europejskich oraz USA, gdzie nasz pianista wystąpi z orkiestrą Filharmonii Nowojorskiej pod dyrekcją Zubina Mehty, zaś w Los Angeles nagra dla wytwórni „Polydor" z orkiestrą tamtejszej Filharmonii pod batutą Carlo Marii Giuliniego koncert f-moll Chopina; ostatnim punktem podróży będzie Berlin Zachodni, gdzie towarzyszącą polskiemu artyście orkiestrą Berliner Philharmoniker dyrygować będzie Claudio Abbado.

O wysokiej pozycji w świecie świadczą również plany Stefanii Toczyskiej, związanej stałą współpracą ze Staatsoper w Wiedniu. Występy w San Francisco, Genewie, Berlinie, Budapeszcie, nagranie „Trubadura" dla firmy „Decca" w Londynie — to tylko kilka przykładów propozycji, jakie otrzymała nasza śpiewaczka na ten sezon.

Bardziej wszechstronnym pokazem naszego dorobku w różnych dziedzinach twórczości staną się organizowane w grudniu Dni Kultury Polskiej w Bułgarii. Występować będą podczas nich m. in. poznański chór pod dyrekcją Stefana Stuligrosza, Teatr Studio w Warszawie, dyrygenci Andrzej Markowski i Tomasz Bugaj, śpiewacy Zdzisława Donat i Kazimierz Kowalski.

Zapowiada się większe niż ostatnio ożywienie podróży naszych teatrów dramatycznych. We Włoszech, na Węgrzech i w Australii gościć będzie w przyszłym roku krakowski Teatr Stary, zaś „Cricot 2" — we Włoszech. RFN, Szwajcarię, Holandię, Belgię i Lichtenstein obejmie jesienne tournée Wrocławskiej Pantomimy, która w przyszłym roku wyjedzie do NRD. Środowiska polonijne w USA i Kanadzie odwiedzi zimą 1980 r. szczeciński Teatr Polski; podobna jest trasa podróży poznańskiego Teatru Lalki i Aktora „Marcinek", który dwa ostatnie miesiące br. spędzi w tych samych krajach oraz w Meksyku, a w maju 1980 r. wystąpi we Francji.

Polski folklor reprezentować będą za granicą przede wszystkim dwa zespoły. Do Francji, Czechosłowacji i Wielkiej Brytanii wyjedzie „Mazowsze", Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna i inne kraje Dalekiego Wschodu oraz RFN — to trasa podróży „Śląska".

Świadkami wysokiej rangi wydarzeń w okresie 1979—1980 r. będą też polscy widzowie i słuchacze. Na czoło wysuwają się wizyty kilku światowej sławy zespołów teatralnych, takich jak radzieckie zespoły pod kierunkiem Towstonogowa oraz „Na Tagance", „Berliner Ensemble" ze stolicy NRD czy Royal Shakespeare Company z Wielkiej Brytanii. Gościć będziemy również balety: moskiewskiego Teatru Wielkiego, Klasyczny ze stolicy ZSRR i kubański „Camarguey". Wśród zespołów orkiestrowych znajdą się znane polskim melomanom orkiestry Academy of St. Martin in the Fields z Londynu pod batutą Neville a Marinera oraz Filharmonia Sofijska pod dyrekcją Konstantina Iliewa.

EWA KARWOWSKA, MARIA KĘPIŃSKA

PRZY OTWARTYCH DRZWIACH

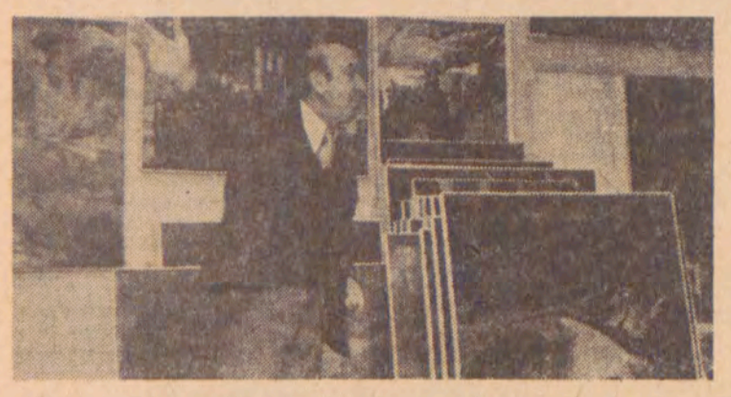

Foto: T. Karpiński
W pracowni Kazimierza Kędzi.

Interesuje ludzi proces tworzenia czy tylko wytwór? Praktyka sugeruje, że chętnie uczestniczymy jako widzowie, słuchacze czy czytelnicy, w relacjach dotyczących narodzin obiektów przemysłowych, dokonań nauki i techniki.

A jak to jest w sztuce?

Czy przeciętnego odbiorcę pasjonuje problem, jak powstaje obraz, rzeźba czy tkanina? Jak pracuje artysta? Na te pytania miała dać odpowiedź inicjatywa Związku Polskich Artystów Plastyków, zorganizowania Dni Otwartych Pracowni w Tygodniu Plastyki Łódzkiej.

Poniedziałek, 24 września, u Heleny Tchórzewskiej

Siedzę w pracowni malarskiej Heleny Tchórzewskiej. Pani Helena jest podekscytowana. Wyraźnie oczekuje gości. Pytam ją o ostatnie sukcesy.

— Właśnie nad nimi pracuję. Otrzymałam w tym roku I nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie na malarskie projekty gobelinów. 14 tkanin przedstawiających sceny myśliwskie i łowieckie, wg mojego projektu, ozdobi wnętrze zamku w Niepołomicach. Obecnie opracowuję je ponownie w wielkości odpowiadającej przyszłym gobelinom. To już nie tylko twórczość, ale ciężka, mozolna praca.

— Ja też maluję — stwierdza w końcu. — **Ale nie tak. Ja „po starodawnemu" i nie sama, a z widokówek.**

Tak rozpoczęta rozmowa toczy się wartko. Pani Helena pokazuje kolejne obrazy, komentuje.

Helena Tchórzewska. Absolwentka łódzkiej PWSSP. Ma bogaty, ceniony i wielokrotnie nagradzany dorobek w dziedzinie malarstwa. Brała udział w około 60 wystawach w kraju i za granicą. Zakres tematycznych i formalnych poszukiwań jej twórczości jest spory. Krajobrazy, architektura miast i przemysłu, to główni bohaterowie jej obrazów. Na marginesie tej pracy H. Tchórzewska od wielu lat projektuje wzory tkanin dla ZPJ „Brokat". Niespotykanej urody kalendarze z „Brokatu" są właśnie jej autorstwa.

Szukam podniet twórczych, tematów, w rzeczywistości. O proszę, ten komin znany jest łodzianom aż nadto. Dymi na placu 9 Maja.

— Ładne te obrazy, ale dziwny na nich świat — recenzuje starsza pani.

by, nie ma dobrego światła. Na tablicy zaprezentowany jest, już po konserwacji, portret postaci kobiecej, pochodzący z początków XVI wieku. Obok obrazu dokumentacja faktograficzna, pokazująca stopień i rodzaj zniszczeń, które zostały odrestaurowane.

Ewa i Jerzy Wolscy, konserwatorzy dzieł sztuki, związani są z Łodzią od 1975 roku. Absolwenci ASP w Krakowie, oboje posiadają stopień docenta, duży dorobek naukowy i konserwatorski. W Łodzi miały się zacząć realizować ich najambitniejsze plany, dla nich odeszli ze stanowisk dydaktycznych, jakie zajmowali na Uniwersytecie im. Kopernika w Toruniu. Działają, ratując polskie i obce dzieła, indywidualnie, pełni poczucia odpowiedzialności za los powierzonych im obiektów.

Ewa i Jerzy Wolscy czekają, czy przyjdzie ktoś, kogo interesuje to, co robią. Zainteresowanych jeszcze nie ma. Może trudno im trafić, tak jak mnie, nie było bowiem żadnej wizualnej informacji, która wskazywałaby drogę do pracowni.

Przyszli. Rozglądają się nieśmiało. Zaraz potem zaczęły się sypać pytania:

— Czy konserwacja dzieł sztuki jest trudna? Co państwo konserwują? Jaki okres historii sztuki interesuje Was najbardziej?

— Specjalizujemy się w konserwacji malarstwa ściennego — polichromii, malarstwa sztalugowego i rzeźby polichromowanej — odpowiada Jerzy Wolski. — **Mnie pasjonuje barok, żonę sztuka od XIV do końca XVI wieku. Konserwator, oprócz tego, iż jest artystą, musi mieć dużą wiedzę z historii sztuki, chemii, nawet fizyki. Każdy obiekt, nad którym pracujemy, jest niepowtarzalny. Naszym zadaniem jest przywrócić mu pierwotny wygląd. Wymaga to od nas najpierw badań historycznych, a w ich wyniku podjęcie czynności renowacyjnych.**

— W jakim stopniu można zbliżyć konserwowane dzieło do jego pierwotnego wyglądu?

— To zależy od zniszczeń. Bywa i tak, że pozostawiamy go w postaci częściowego destruktu, ponieważ nie możemy robić falsyfikatu. Kiedy uda się uratować obiekt, mamy ogromną satysfakcję.

— Nad czym pracujecie aktualnie?

— Konserwujemy barokowy, rzeźbiony i polichromowany prospekt organowy dla Kościoła Mariackiego w Gdańsku.

Były i inne pytania: jak konserwować zabytkowe meble, które toczą owady, jak konserwować ikony, drewna i jak można nauczyć się starych technik i technologii malarskich?

I tak w efekcie dni otwartej pracowni u Ewy i Jerzego Wolskich przekształciły się w tydzień. Zapowiadała się z wizytą dwu licealnych klas nauczycielka. Wolscy nie odmówili, gotowi są dzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem z tymi, którzy widzą sens ich pracy.

Wtorek, 25 września, u Konstantego Mackiewicza

W pracowni zrobiło się tłoczno. Trzaskały aparaty fotograficzne, brzęczały amatorskie kamery filmowe, oślepiało światło reflektora do kamery telewizyjnej, grał na gitarze wirtuoz gitary klasycznej, Jerzy Nalepka, strzelały korki szampana, było gorąco i duszno, środek pracowni zajmował kosz z kwiatami, wszyscy usiłowali stać blisko mistrza, żeby dobrze go słyszeć. W pewnym momencie same prace stały się mało ważne. Pewna pani, kręcąc ujęcia mistrza, kiedy stał, siedział, mówił, chodził kręciła się sama tak bardzo, że nie zauważyła, iż za plecami ma jego obrazy i opierała się o nie, bo poddawał się wszystkim nastrojom, które nieustannie się zmieniały. W pewnym momencie powiedział coś bardzo wzruszającego i pięknego:

— Odleciały jeżyki z mojego okna. Pozostało mi czekać drugich jeżyków.

Wszyscy zrozumieli, że Konstanty Mackiewicz czeka na wszystko, co mu jeszcze przyniesie życie.

Foto: P. Jaskow
Nestor łódzkich malarzy Konstanty Mackiewicz — z prawej — rozmawia w swojej pracowni z komisarzem „Tygodnia" — Teresą Klink i prezesem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych — Marianem Gwizdką.

Środa, 26 września, u Kazimierza Kędzi

Kazimierz Kędzia był mocno zirytowany.

— To oczywiste, że nie mogła mnie pani od razu znaleźć. Administracja spółdzielni nie pozwala na liście lokatorów umieścić nazwiska artysty i numeru lokalu, w którym ma pracownię.

— Nie tylko to — mówię. — **Musiałam sprawdzić numerację mieszkań kolejnych siedmiu klatek schodowych, żeby tu dotrzeć...**

No, tak, kto szuka, ten znajdzie. Tylko komu się chce szukać sztuki i artysty, jeśli poszukiwania trwają zbyt długo?

Kazimierz Kędzia maluje ekspresyjne, żywiołowe, dynamiczne obrazy, pejzaże, martwe natury, kompozycje abstrakcyjne. Twórczość rozpoczął w 1953 roku, jest ona znana i ceniona.

— Lubię kolor — przyznaje twórca, pokazując nam wszystkie zgromadzone na tę okazję w pracowni obrazy. Mówi o każdym z nich. Malarstwo, które z bliska oglądamy, jest żywe, jego kolorystyka nas zaskakuje. Intensywna, może ewokować silne przeżycia. Niektóre pejzaże znajdują się na pograniczu abstrakcji, niektóre zaś lirycznie oddają urok miejsc, w których przebywał i malował artysta.

— Jak pan sądzi — pytam — **czy jeszcze do pana ktoś przyjdzie?**

— Nie wiem — odpowiada Kazimierz Kędzia. — **Dzisiaj jest mecz, aukcja z Siemionem. Może pani zostać do 18, to pani zobaczy.**

Tym razem nie mogłam zostać, chciałam się przekonać, jak przebiega dzień otwartej pracowni u Ludmiły Szymańskiej w Głownie.

U Ludmiły Szymańskiej

Miałam odnaleźć ją przy ulicy Henryka Sucharskiego 20. Głowno było rozleniwione ciepłym, słonecznym dniem. Błądziłam trzykrotnie, nikt nie umiał mi odpowiedzieć, gdzie jest ta ulica. Tym bardziej nie byłam zdziwiona, że nikt także nic nie wiedział o Ludmile Szymańskiej.

Absolwentka łódzkiej PWSSP. Od 1960 roku uprawia głównie gobelin. Brała udział w wielu wystawach tkaniny polskiej w kraju i za granicą.

Wyrwałam panią Ludmiłę z odpoczynku, pożegnała przed godziną przyjaciół. Oni byli jej jedynymi gośćmi. Przyjechali z Łodzi.

— Proszę wybaczyć, że u mnie tak skromnie — mówi Ludmiła Szymańska. — **Tkaniny są w świecie, poza kolegami ze Związku nikogo nie było. Znają mnie tylko najbliżsi sąsiedzi.**

— Głowno nic o pani nie wie? — pytam.

— Nic. Nigdy nie miałam żadnej propozycji, żeby się ze swoją twórczością ujawnić. Tu, w okolicy, istnieją tradycje sztuki ludowej, tkaniny i rzeźby. Co robić, żeby sztuką profesjonalną, nie tylko swoją, zainteresować ludzi, nie wiem.

To jest poważny problem, nie tylko Ludmiłę Szymańską męczą takie wątpliwości.

Z Głowna wyjeżdżam zniechęcona, choć wiedziałam, że nie wszystko, co zamierzone, może mieć oczekiwane rezultaty.

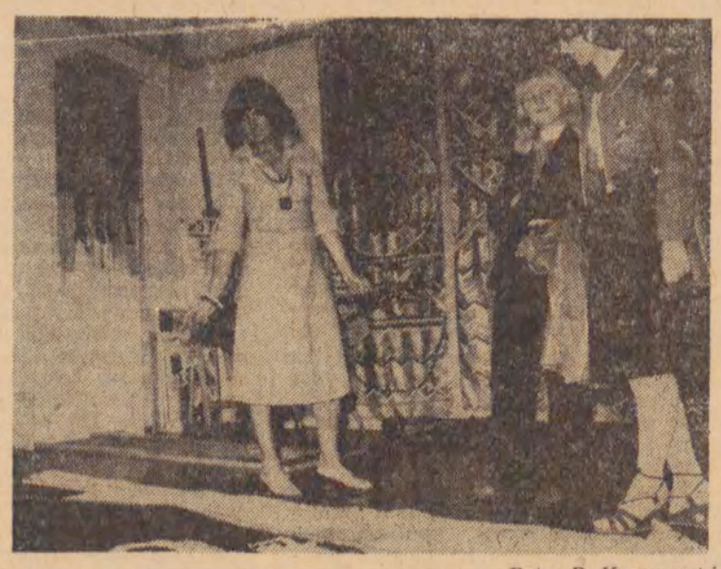

Foto: R. Karwowski
U Zofii Pruchnickiej.

Dzwonek u drzwi przerywa pogawędkę. Podrywamy się obie, do pracowni wchodzi starsza pani w zielonym ortalionie, pilotowana przez dwie uczennice. Rozgląda się po pracowni. Uważnie i z namysłem.

— To jest moje, przetworzone widzenie rzeczywistości, tak jak ją czuję i odbieram. Na przykład te kwiaty namalowałabym razem z tymi obskurnymi deskami blejtramu, które stoją z tyłu i z tą kuchenką obok. Bo wszystkie te elementy składają się na rzeczywistość, którą w tej chwili widzę.

Wizyta pani w ortalionie rozsupłuje worek z gośćmi. Przychodzi ich coraz więcej i coraz inni. Liczę odwiedzających. W ciągu ponad 2 godzin było ich 27. Pytają o pracę artysty, tematy twórczości, „technologię" powstawania obrazów, a nawet sprawy techniczne — jak gruntować płótno, jakimi farbami malować. Pani Helena wyciąga z zakamarków szkice, rysunki, obrazy, opowiada, wyjaśnia.

W małej pracowni robi się tłoczno i nie ma już dla mnie miejsca. Opuszczam gościnne progi.

W pracowni u Ewy i Jerzego Wolskich

Pracownia Wolskich mieści się przy placu Wolności 8. Jest mała, nie wystarcza na ich potrzeby, ważniejsze było dla niej to, co robiła, niż to co dla sztuki zrobił gospodarz.

Konstantego Mackiewicza nikomu nie trzeba prezentować. Ten niestrudzony artysta o niezwykłej osobowości rozpoczynał swoją twórczość w 1921 roku. W trzech niewielkich pomieszczeniach swojej pracowni przygotował wystawę, pokazał obrazy reprezentujące różne okresy jego malarstwa.

Nie było w tej pracowni spokojnie, choć dawało się odczuć zadumę nad osobowością Mackiewicza. Malarz mówił dużo o sobie, swojej twórczości, opowiadał jak powstawały obrazy, wspominał swoje spotkanie z Ilją Erenburgiem. Prawie o nic nie pytano. Dość natrętnie zabrzmiał głos:

— Jak udało się przechować te najstarsze obrazy z lat dwudziestych i trzydziestych?

— A jak samemu autorowi udało się ocaleć po wszystkim, co musiał przeżyć?

Uważnie słuchał koncertu barokowej muzyki. Widać było, że

Foto: T. Karpiński
Ludmiła Szymańska opowiada o pracy.

LEPIEJ SŁUŻYĆ SZTUCE

Powszechnie uważa się, że tegoroczny „Tydzień Plastyki Łódzkiej" (24 — 30.IX) należał w pięcioletniej swojej historii do najbardziej udanych. Siedmiodniowa prezentacja łódzkiego środowiska plastycznego wypadła interesująco i okazale. Wzięło w niej udział 227 artystów, wśród nich około 50 reprezentowało też takie dziedziny sztuki jak teatr, balet i muzyka. Na licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych eksponowano blisko 540 prac.

Rozmach i powodzenie imprezy w znacznym stopniu jest zasługą komisarzy „Tygodnia" — artystów plastyków — **Teresy Klink** i **Bogusława Kobierskiego.** Ich zapał, autentyczne zaangażowanie i oryginalne pomysły pozwoliły na ułożenie programu charakteryzującego się szeroką różnorodnością i niepowtarzalną atmosferą sprzyjającą popularyzacji sztuki.

— Jakie założenia były u podstaw przygotowań tegorocznego „Tygodnia Plastyki Łódzkiej"? — pytamy Teresę Klink i Bogusława Kobierskiego.

— Chcieliśmy przede wszystkim aby ten „Tydzień" nie był konfrontacją dokonań plastyków, lecz stał się jedną, wielką imprezą o charakterze integracyjnym. Zależało nam na stworzeniu atrakcyjnych form kontaktów z dziełami sztuki, kontaktów odświętnych, odmiennych od codzienności nawet poprzez pewnego rodzaju zabawę artystyczną. Przecież sztuką można cieszyć się wspólnie, a znawców i kolekcjonerów wybitnych dzieł da się porównać do hobbystów zauroczonych pasją zbieractwa. Pragnęliśmy aby święto plastyki łódzkiej stało się przynętą i okazją pozyskania nowych miłośników sztuki wśród najszerszych rzesz społeczeństwa.

— Dużym wydarzeniem była całodzienna impreza w Muzeum Historii Miasta Łodzi pn.: „Niedziela z plastyką". Ten konglomerat zdarzeń artystycznych miał zagorzałych zwolenników ale i przeciwników. Ci ostatni wyrażali opinię, że było tam więcej teatru i muzyki niż plastyki?

— Na szczęście nie ma regulaminu „Tygodnia", w którym by formalizowano, że tylko plastyka jest uniwersalną tabletką mającą przynosić doznania artystyczne. Występuje ona nieodłącznie we wszystkich dyscyplinach sztuki, jej elementy pojawiają się zarówno w teatrze (oprawa scenograficzna) jak i muzyce (np. w stroju wykonawców). Wydaje się, że poprzez imprezę, która odbyła się w muzeum zrealizowaliśmy nasze zamierzenie dotyczące połączenia właśnie plastyki z innymi dziedzinami sztuki, a tym samym integracji różnych środowisk twórczych. Nasza twórczość często wywodzi się przecież z dokonań innych dziedzin sztuki, czerpie z ich źródła i odrębności.

— Po raz pierwszy w „Tygodniu Plastyki" dla szerokiej publiczności otwarto drzwi pracowni artystów plastyków. Czy tego rodzaju forma kontaktu odbiorcy z twórcą i jego dziełem spełniła pokładane oczekiwania?

— Spotkania z naszymi kolegami w pracowniach miały osobliwą atmosferę jakby z czasów cyganerii. W odróżnieniu od tradycyjnych wernisaży, które coraz częściej przeradzają się w spotkania towarzyskie, gdzie obserwuje się nawet widzów plecami odwróconych do obrazów, w czasie spotkań w pracowniach udało się wywołać klimat zgoła intymny, pozwalający na bezpośrednie obcowanie z dziełami i ich twórcami. Wśród zasychających pędzli, tub z farbami i tego całego nieładu artystycznego stworzył się nastrój sprzyjający refleksji i rozmowom.

— W programie uwzględniliście również imprezę przygotowaną z okazji trwającego Międzynarodowego Roku Dziecka.

— W klubie MPiK przy ul. Narutowicza zaprezentowaliśmy wystawę pn.: „Plastycy

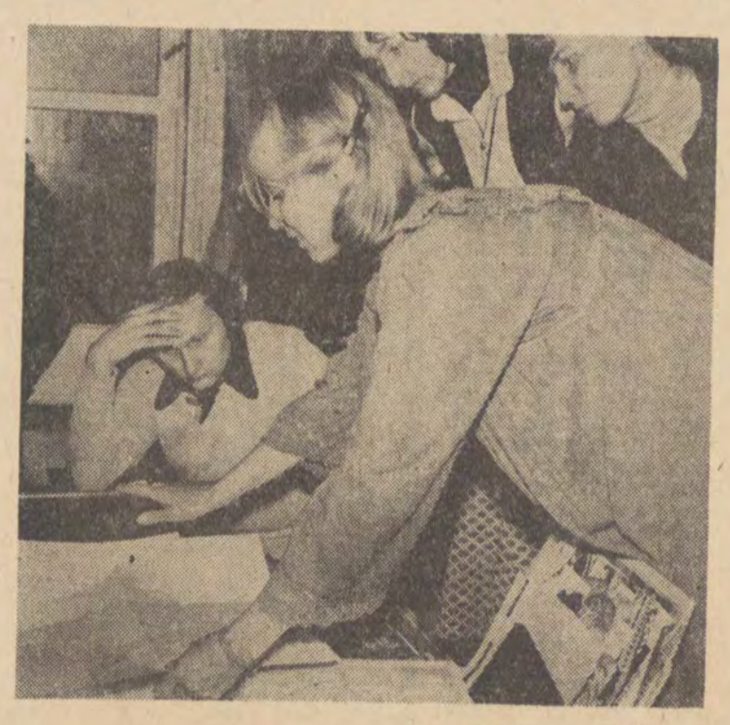

Foto: R. Karwowski

Helena Tchórzewska, jej projekty i goście.

Piątek, 28 września, u Zofii Pruchnickiej

Wytrwale gonię po Zgierskiej, raz w jedną, raz w drugą stronę. Co chwilę kogoś pytam o nr 142. Wreszcie znalazłam i tu... niespodzianka. Stoję w kolejce do windy. Przede mną cała klasa małymi grupkami wjeżdża na 10 piętro. Mają wolne dwie lekcje i chcą je spożytkować na poznanie pani, co historyczne stroje i wnętrza do filmów projektuje. Filmy znają, zwłaszcza „Znak orła" z telewizji. Dlatego przyszli.

Zofia Pruchnicka, absolwentka PWSSP. Obecnie jest scenografem i projektantem kostiumów dla Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk". Współpracuje z filmem dla którego projektuje i wykonuje tkaniny historyczne, kostiumy. Jej prace można oglądać m. in. w filmach „Kazimierz Wielki", „Gniazdo", „Znak orła" Para się także malarstwem.

W pracowni Zofii Pruchnickiej leży tkanina. Haftowany perłami orzeł przykuwa uwagę. Gospodyni dzierży malowany sztandar. Na nim Orzeł i Pogoń, u góry literka S sygnuje właściciela.

— **To sztandar króla Zygmunta Starego** — wyjaśnia Zofia Pruchnicka. — **Maluję go do filmu „Królowa Bona". Będą jeszcze inne...**

I tak wraz z młodzieżą poszerzam swą wiedzę o heraldyce, o historii najświetniejszego okresu panowania Jagiellonów.

* * *

Nowe inicjatywy domagają się opinii. Takim właśnie novum były dni otwartych pracowni, ale przedstawione wyżej mini-relacje nie wymagają chyba komentarza.

Zaproszonym do otwartych pracowni mógł być każdy. To fakt wyjątkowy, czuć się dopuszczonym do udziału, wejścia jako odbiorca w życie artysty, poznać jego warsztat, warunki, w jakich pracuje, jego dotychczasowe osiągnięcia i przyszłe twórcze zamierzenia.

I to jest najcenniejsze w całej inicjatywie.

Niemniej, w przyszłym roku ZPAP powinien zadbać o lepszą organizację całej imprezy. I co jeszcze zasługuje na podkreślenie. Tygodniowi Plastyki Łódzkiej patronowało wiele poważnych instytucji. Przygotowanie wszystkich imprez wymagało od nich nakładów sił i kosztów. Akcja dni otwartych pracowni nic nie kosztowała. Sami artyści okazali się dobrymi organizatorami. Mieli obawy, czy, jeśli otworzą pracownie i przyjmą do nich obcych ludzi, nie ulegną zniszczeniu ich prace. Nic takiego się nie stało. Każda forma upowszechniania jest dobra, zaś ta, której poświęcony został reportaż, może okazać się jedną z najciekawszych.

Foto: P. Jaskow

O sztuce konserwacji najwięcej mogą powiedzieć pp. Wolscy.

dzieciom". Znalazły się tam prace malarskie, projekty scenograficzne, grafika i plakaty wielu łódzkich plastyków, poświęcających swoją twórczość tematyce dziecięcej. To była niezwykle sympatyczna impreza, w której najmłodsi jurorzy wybrali najlepszą ich zdaniem pracę. Sądy i opinie dzieci są najmilsze naszym sercom. Zamiast tradycyjnej lampki wina były jabłka i cukierki, a dzieci zostały obdarowane prezentami w postaci wyrobów sztuki użytkowej, jak naszyjniki, świeczniki, pierścionki. Ofiarowali je łódzcy plastycy. — Lubię jak mi się pali świeca — mówili jedni i wybierali świecznik, inni woleli powiesić w swoim pokoiku plakat, dziewczynki z zapałem przymierzały srebrne pierścionki. Warto podkreślić, że byli to najmłodsi wychowankowie dwóch łódzkich Domów Dziecka.

— **Tradycyjnie już „Tygodniowi Plastyki Łódzkiej" patronuje Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi. Wśród dziewięciu jego organizatorów jest osiem placówek kulturalnych i jedyne zakłady pracy — „Uniontex". Czy w przyszłości nie należałoby poszerzyć kręgu organizatorów?**

— Na pewno tak. Szczególnie powinny się włączyć zakłady pracy oraz przedsiębiorstwa, które nie są powołane na co dzień do propagowania kultury i sztuki, a także kuratorium. Poszerzyłoby to znacznie krąg odbiorców. Należałoby dodać, że zorganizowanie tegorocznego tak różnorodnego programu „Tygodnia" było możliwe dzięki wysiłkowi pracowników wydziałów kultury urzędów dzielnicowych Śródmieścia i Górnej, Biura Wystaw Artystycznych, Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, Muzeum Historii Miasta Łodzi, „Uniontexu", Domu Środowisk Twórczych, Zakładów „ART" oraz głównego inicjatora Związku Polskich Artystów Plastyków w Łodzi.

Rozmawiała:
ZOFIA TUROWSKA

MAŁGORZATA GOLICKA

We wrześniową niedzielę pani **Anna Zdzitowska** szła powoli przez krakowski Rynek, trzymając w ręku świeżo utoczony na garncarskim kole dzbanek. Dzbanuszek utoczył specjalnie dla niej **Zygfryd Gajewski** z Urzędowa, który już od soboty był oblegany w swoim kramie przez amatorów zakupów na zamówienie.

Można było i zamówić i potargować się o cenę, chodząc tak od kramu do kramu i przebierając w różnościach: białostockich naczyniach z białego drewna, kurpiowskich haftach, podhalańskich malowankach na szkle, kierpcach, chodnikach i narzutach. Z największym zapałem zabiegała o niższe ceny młodzież, która, co tu ukrywać, nie zna smaku jarmarków, bazarów i zakupów bezpośrednio u wytwórcy.

Tuż obok, w Rynku, przed sklepem z fajansami z **Włocławka** stała grzecznie kolejka nie zrażona ani deszczem, ani informacjami wychodzących, że już zabrakło puszek na przyprawy. Indywidualiści odcinający się od włocławkowej mody ustawiali się w kolejce po przeciwległej stronie Rynku, gdzie handlowała ceramiką konkurencja — spółdzielnia z **Bolesławca.**

Przed sklepem na placu Mariackim, w którym sprzedawano tkaniny z **Meksyku,** nie stała już karna kolejka, ale zwarty tłum ludzi.

W tym samym czasie w „Cepelii" koło kramów dominikańskich licytowano się, kto da więcej za rzeźby i malowane przez zalipianki naczynia, a w galerii „Krzysztofory" krakowski artysta **Marian Gołogorski** odbierał gratulacje za wystawione szkło. Pani dyrektor z „Desy" nie nadążała z odpowiedziami o której godzinie rozpocznie się w poniedziałek sprzedaż szkła. Niemiec z RFN przedstawiał się artystom i wręczał wizytówki z wyraźnie zaznaczoną profesją: kupiec.

Po wystawie eksportowej „Cepelii" przechadzali się zwiedzający. Tu i ówdzie słychać było angielski i francuski. Na parterze panienki z Biura Targów witały kolejnych gości z zagranicy. Nikt się nie tłoczył, nie spieszył, ale czuło się, że za tymi gobelinami, fajansami i meblami rozgrywają się handlowe interesy.

Handel handlowi nierówny. O ile na przykład mało kogo gnębią wątpliwości, czy można i trzeba handlować obuwiem, o tyle nie ustają debaty wokół targów sztuki ludowej. Słuchając dyskusji antagonistów odnosi się wrażenie, że dawno stracili z oczu przedmiot swych gwałtownych sporów.

Czyż jednak nie lepiej zawrzeć rozejm, a energię skierować na poparcie imprezy, którą za kilka lat możemy się szczycić? Mamy przecież wszelkie dane ku temu, aby targi sztuki stały się jeszcze jedną polską specjalnością.

* * *

Pomysł jest znakomity, a zakusy długoletniego prezesa „Cepelii", przewodniczącego Rady Programowej Targów na uczynienie z nich wielkiej światowej imprezy handlowej, całkiem realne. Targowy zamiar narodził się w Krakowie w 1973 r. w gronie etnografów, dziennikarzy i działaczy kulturalno-oświatowych. Początkowo myślano o przeglądzie sztuki ludowej. Później zwyciężyła idea targów jako imprezy z jednej strony handlowej, z drugiej — kulturalno-artystycznej. I słusznie, wszak jest to handel sztuką. Organizatorzy: „Cepelia" i jej biuro eksportowe **„Coopexim", „Desa", Stowarzyszenie Twórców Ludowych, Centralny Związek Rzemiosła i Wydział Kultury i Sztuki M. Krakowa** dbają więc o artystyczną oprawę targów.

Towarzyszą im występy zespołów regionalnych, spotkania z twórcami, pokazy rękodzieła. Prawdziwą atrakcją dla turystów jest w tym czasie „Krakowskie wesele" w wykonaniu zespołu regionalnego, który przyjeżdża na Rynek konnymi bryczkami prosto **z Bronowic.**

Dodajmy, że wszystkie wystawy o charakterze ofert handlowych są udostępnione dla zwiedzających. A jest to pokaz dobrego gustu, bez względu na to, czy się przepada za fajansem z Włocławka i srebrną biżuterią, czy też nie.

O cóż więc owe spory? Przede wszystkim o miejsce samych targów. A proszę wskazać mi inny kraj w Europie, bardziej do takich targów predysponowany. Zupełnie jakbyśmy zapomnieli, że w popieraniu i rozwijaniu przemysłu ludowego lub domowego, jak to dawniej mówiono, mamy przeszło stuletnie doświadczenia. Pierwsza wystawa i kiermasz sztuki ludowej odbył się w **Warszawie w 1821 r.,** a na wszystkich późniejszych wystawach przemysłowo-rolniczych wytwórczość ludowa miała swoje stałe miejsce. To przecież idee pozytywizmu i pracy organicznej doprowadziły do założenia artystycznych szkół zawodowych w Zakopanem, Stanisławowie, Kosowie, Grybowie i w innych miejscowościach. I choć specjaliści twierdzą dziś, że szkoły te zniszczyły prawdziwą sztukę ludową, to jednak podtrzymywały tradycje narodowe i rękodzielnicze, a mieszkańcom wsi polepszały warunki bytowania.

A Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego założone jeszcze w okresie zaborów, które na terenie Kongresówki założyło 8 szkół instruktorskich i 500 warsztatów rękodzielniczych?

Mamy w kraju budujące przykłady współdziałania artystów plastyków z wiejskimi twórcami, konkursy na wyroby ludowe z długoletnim rodowodem, doświadczenia w zakresie spółdzielczości i handlu, którego przykładem mogą być m. in. sklepy przedwojennych „Bazarów".

Są kraje, w których o wiele skromniejsze fakty z przeszłości pieczołowicie się pielęgnuje, czyniąc z nich tradycję. U nas absolwenci liceów plastycznych nie wiedzą nic o działalności prof. **Eleonory Plutyńskiej i Wandy Telakowskiej,** której niestrudzoną energię można podziwiać do dziś. Tej samej „wielkiej Wandy", która w zniszczonym wojną kraju rzucała hasła piękna na co dzień.

Trudno jest więc zgodzić się z jednym z zaproszonych gości, który w kuluarach krakowskiego „Domu Polonii", siedzibie Biura Targów zastanawiał się głośno: czy musimy organizować te targi w Polsce? Może nie musimy, ale powinniśmy. Bo nie gdzie indziej, ale w Polsce narodził się pomysł ich organizowania, bo pomysł ten wyrósł z naszych tradycji i ciągłości kultury.

WŁOCŁAWSKIE FAJANSE

Foto: R. Łucyszyn

I ZAKOPIAŃSKI KOŻUSZEK

Chyba już czas, aby przestać się zastanawiać, czy Kraków jest odpowiednim miejscem dla targów i czy nie lepiej przenieść je do Poznania? Poznań pęka już w szwach, a zabytkowe otoczenie Krakowa podnosi urok tej niepowtarzalnej imprezy, w której jest miejsce i na sztukę i na handel. Mamy nadzieję, że zaangażowanie się w organizację targów instancji partyjnej i oddanie ich pod opiekę zasłużonej **Spółdzielni im. St. Wyspiańskiego** zatrzyma je w Krakowie i nie pozwoli przechwycić pomysłu. Poza tym oferty obejmują wyroby z całej Polski, a nie z regionu krakowskiego czy z Wielkopolski. Sądzę, że np. łódzkich wystawców: spółdzielnię **„Rękodzieło Artystyczne", „Sztukę Ludową"** a także **„Ziemię Piotrkowską" i „Opoczniankę"** te krakowsko-poznańskie spory niewiele interesują, wprowadzają natomiast niepotrzebne zadrażnienia.

Warto natomiast rozważyć termin targów.

Czy koniec września jest najbardziej szczęśliwy? Czy nie koliduje z innymi międzynarodowymi imprezami. Na etapie „rozkręcania" targów można by jeszcze przesunąć je na pełnię turystycznego sezonu.

* * *

Nazwa imprezy brzmi: **Targi Sztuki Ludowej.** Tymczasem jest tam miejsce na biżuterię, gobeliny, szkło artystyczne i ekspozycję rzemiosła. To wszystko nie ma nic wspólnego ze sztuką ludową — twierdzą oponenci. Faktycznie, nie zaliczymy do niej prac profesjonalnych plastyków, ale jeśli takim powodzeniem u zagranicznych odbiorców cieszy się nasze szkło artystyczne i tkaniny, to w imię czego mielibyśmy z nich rezygnować.

Sztuka ludowa dawno już przestała być „twórczością artystyczną ludu wykonywaną dla potrzeb własnego środowiska", bo odbiorcą jej jest głównie miasto. Sami zaś twórcy spełniają coraz mniej warunków zawartych w opracowywanych trochę na siłę definicjach. Coraz trudniej o mieszkańca wsi zamkniętego w czterech ścianach, bez kontaktów ze światem, i ukończonej szkoły podstawowej. Ktokolwiek był w Zakopanem u słynnych malarek obrazów na szkle tego śmieszą te definicje. **Ewelina Pęksowa** i inne utalentowane zakopianki to światowe damy, a nie zacukane baby ze wsi.

W sztuce ludowej zawsze roiło się od zapożyczeń. Wiejski stolarz naśladował szafy widziane we dworze, złote i srebrne hafty podpatrywano w kościele, tzw. styl zakopiański jest dziełem Witkiewicza. Przeszliśmy już nad tym do porządku. Natomiast ubolewamy nad urodą współczesnych wyrobów, które są zbyt „ładne", nad miękkością tkanin, które straciły swą zgrzebną szorstkość, nad stylem „cepeliowskim", którego nie mamy się powodu wstydzić.

Pseudoludowości sztuki ludowej bronią na ogół etnografowie z placówek naukowych. Członkowie Komisji Kwalifikacyjnych **„Cepelii"**, będący bliżej życia są bardziej liberalni. Mgr **Elżbieta Królikowska,** członek takiej komisji w Łodzi, przez której ręce przeszło już tysiące wzorów uważa, iż utopią jest dążenie do wskrzeszenia sztuki ludowej sprzed lat 200 czy 150. Najważniejszym zadaniem etnografów i plastyków jest w tej chwili troska o poziom artystyczny wytwórczości ludowej, jej walory estetyczne i zgodność z tradycjami regionu. O „ludowość" tych wyrobów nie ma więc co kruszyć kopii. Aby jednak być w zgodzie z nazwą targów może należałoby uzupełnić ich nazwę, skoro oferty handlowe stale się rozszerzają. Aż się prosi o udział w targach **„Polskiego Lnu"** i **„Lasu"**, który mógłby oferować tak modne na Zachodzie wyroby z wikliny.

Może więc trafniej byłoby nazwać targi — **Targami Sztuki Ludowej i Użytkowej** lub **Targami Sztuki Stosowanej?** Tylko jak zabrzmi to w obcych językach, w których nie zawsze znajdziemy jednoznaczne terminy. A targi mają być imprezą międzynarodową!

* * *

Niecierpliwych drażni, że targi nie rozkręciły się jeszcze na pełne obroty. To prawda. Ale w 1976 r. umowy zawarte w Krakowie sięgały 2 mln zł dewizowych, w 1977 — 5 mln zł, a w roku ubiegłym — już 11 mln. Dodatkowe umowy wartości blisko 5 mln zł dewizowych zawarto po zakończeniu targów. W tym roku wcześniej zadbano o reklamę, w stolicach europejskich urządzono specjalne stoiska, rozesłano tysiące zawiadomień. W rezultacie zgłosiło swój przyjazd 40 firm, w tym najwięcej z Finlandii, Wielkiej Brytanii i RFN. Czy to dużo, czy mało? Sporo, jeśli zważymy, że w świecie nie ma wyspecjalizowanych firm w rodzaju naszej **„Cepelii"**, a sztuką użytkową zajmują się małe przedsiębiorstwa przy okazji handlu meblami, wyposażeniem wnętrz, biżuterią itp.

Największym popytem, podobnie jak w latach ubiegłych cieszyły się nasze meble i tkaniny artystyczne. W salonie „Cepelii" wystawiliśmy meble stylowe i oparte na ludowych wzorach, trwałe, solidne, z prawdziwego drewna, wypieszczone przez stolarzy. Kosztowne, ale niepowtarzalne. Rozchwytywana jest także nasza bielizna stołowa: haftowane obrusy i serwety, wyroby ze skóry i wełny. O wartości zawartych umów dowiemy się dopiero później. Niemniej jak wynikało z pierwszych obliczeń powinny one przekroczyć ubiegłoroczne.

Musimy się jednak liczyć z poważną konkurencją na rynkach światowych wyrobów z Azji i Afryki, znacznie tańszych niż nasze. Polskie wyroby są według handlowców za drogie, a według etnografów, plastyków i wreszcie samych wytwórców — za tanie w stosunku do nakładu pracy ręcznej, naturalnego surowca i poziomu artystycznego. Jeśli jednak Światowa Rada Rękodzieła przy **UNESCO** wprowadzi na polski wniosek znak ochronny dla wyrobów rękodzielniczych będziemy mogli śmielej dyktować ceny. Rysunek stylizowanej ręki, podobnie jak znak czystej wełny będzie gwarantował wyrób najwyższej klasy. Przeforsowanie tego znaku będzie naszym niemałym sukcesem. Jeszcze jednym dowodem na to, iż możemy oferować zagranicznym klientom zmęczonym jednostajnością przemysłowej produkcji wyroby piękne i jedyne w swoim rodzaju.

Gorzej jest natomiast z udziałem zagranicznych dostawców. W ubiegłym roku przedstawiły swoje propozycje Jugosławia, Tajlandia i Meksyk. W tym roku — Irak. Ogromne powodzenie jakim cieszyły się u klientów meksykańskie tkaniny i ceramika świadczą o chłonności naszego rynku i potrzebie urozmaicenia cepeliowskich sklepów.

Niemniej, jak widać, na targi kipiące od zawieranych między zagranicznymi kontrahentami umów trzeba będzie jeszcze w Krakowie poczekać. Nie szczędźmy więc wysiłków, aby tak się stało. Specjalność domu zdobywa się jednak powoli.

W STRONĘ HUMANIZMU

LEON GOMOLICKI

ROZMOWA

Dalszy ciąg ze str. 1

Naturalnie moje rozumienie klasyki zmieniło się. Mitologia Greków i Rzymian, jaką znałem z popularnego tomu prof. Zielińskiego, upiększona, jednoznaczna i statyczna, ustąpiła z czasem miejsca pogłębionym ujęciom, które wydobywały jej sprzeczności i jej dynamikę rozwojową, odnajdywały w mitach metafory spraw ludzkich, a interpretację mitów czyniły kwestią otwartą. Wiele materiału dostarcza w tym względzie znana u nas praca Gravesa sprzed ćwierć wieku. W okresie szkolnym wielkie wrażenie wywarły na mnie „Metamorfozy" Apulejusza („Złoty osioł"), a przede wszystkim „Przemiany" Owidiusza, który dokonał genialnej próby usystematyzowania opowieści mitologicznych oraz utwory Goethego: druga część „Fausta" i „Elegie rzymskie". Zainteresowania antykiem, rozbudzone w domu, rozwinięte w gimnazjum klasycznym, stworzyły podstawy do własnych poszukiwań myślowych, które stanowią bodziec moich prac pisarskich, inspirowanych przez doświadczenia współczesne.

Jeśli zaś chodzi o literaturę rosyjską, to znałem dobrze nie tylko jej wyżyny, ale również nurty podskórne, które nie mieściły się w kanonie klasyki rosyjskiej ustanowionym przez Wissariona Bielińskiego, odegrały jednak swego czasu dużą rolę w kształtowaniu się idei i form artystycznych. Bieliński był tak sugestywnym krytykiem, że całym pokoleniom narzucił kryteria oceny literatury oraz hierarchię dzieł i twórców. Dopiero symboliści rosyjscy, postsymboliści i ich następcy dokonali rewizji poglądów i wartościujących gradacji, opartych na estetyce i gustach Bielińskiego. Wydobyto wtedy wielu twórców dyskredytowanych przez tradycję, zapomnianych lub nie docenianych, np. Eugeniusza Baratyńskiego...

— Jego poczucie kryzysu i tragiczna wizja życia musiały odpowiadać nastrojom z przełomu stuleci.

— Niewątpliwie tak, ale jego twórczość zwracała uwagę również innym podejściem do poezji, narracji poetyckiej — i to mnie właśnie najbardziej interesowało. Jest to bowiem decydująca faza w rozwoju form wypowiedzi literackiej od słowa wiązanego do prozy. Treści poznawcze rozsadzały ramy tradycyjnego poematu. Żywioł prozy faktycznie uzyskuje już prymat nad rygorami poetyckimi, powstaje nowela wierszowana. To jest kapitalny problem, zajmujący mnie od dawna. Przy lekturze wielu dzieł klasycznych intuicja podpowiadała mi, że poezja. była często kamuflażem prozy. Wiele utworów epickich zyskiwało w moich oczach nowe wartości, gdy przeczytałem je w przekładach prozatorskich, np. rosyjskie tłumaczenie prozą „Boskiej Komedii" czy „Odyseja" spolszczona przez Parandowskiego.

Wracając zaś do rewindykacji dawnej poezji rosyjskiej w czasach mojej młodości warto tu przypomnieć rolę konstruktywistów, którzy przywołali poetów piszących językiem archaicznym lub choćby częściowo wykorzystujących leksykę cerkiewnosłowiańską. Cała plejada postsymbolistów znajdowała się pod wpływem archaistów. Tradycja ta była pełna uroku, zawierała silne podniety estetyczne. Również i ja w swych próbach lirycznych ulegałem im.

— Pomówmy jeszcze o relacjach między poezją i prozą. Pan jako twórca również przeszedł od poezji do prozy i ewolucja ta obrasta teraz motywacjami odwołującymi się do własnej, swoistej teorii ogólnego rozwoju literatury. Zarazem jednak, ilekroć rozważamy literackie źródła Pana twórczości, wskazuje Pan poetów i dzieła poetyckie.

— Proszę pana, poezja była podstawą wszelkiego wykształcenia humanistycznego, szkołą wrażliwości estetycznej, uczyła kultury wysłowienia i nawet kultury przeżywania. Poprzez lektury i analizy poezji następowały wtajemniczenia w sekrety tworzenia, zapoznawano się z tropami stylistycznymi, wersyfikacją, kompozycją. Tę drogę trzeba przebyć, aby nauczyć się jak najwięcej. Poezja bowiem jest kuchnią przygotowującą formy dla całej literatury, ale jej własne możliwości są ograniczone. Od dawna to wyczuwałem dostrzegając krępujący wpływ miar metrycznych i innych konwencji porządkujących wypowiedź literacką, która w rezultacie zawierała niekiedy wiele elementów zbędnych z punktu widzenia jasności myśli. Liryka to bez wątpienia źródło, w którym są zalążki ogólnych praw rządzących literaturą, ale proza jest najbardziej pojemną poznawczo formą przekazu. Zarówno mowa wiązana, jak i proza kryją niebezpieczeństwa łatwizny, lecz proza daje cenną wolność tworzenia, możność podporządkowania formy treściom domagającym się wyrazu. Zawsze więc miałem predylekcje do prozy. Ideałem moim było „Życie nowe" Dantego, łączące prozę i wiersze, przy czym ja, wbrew interpretacjom, widziałem w tym dziele prozę komentowaną wierszem, a nie wiersze uzupełniane prozą.

— To wyznanie jest mi pomocne, bo chciałem zapytać o kształt artystyczny Pana prozy. „Życie nowe" ma oryginalną i skomplikowaną architekturę, jest dziełem wieloznacznym, pamiętnikiem a jednocześnie alegorią o perspektywach metafizycznych. Tak scharakteryzowane odruchowo kojarzy mi się z Pana eksperymentami powieściowymi, w których występują formy mieszane, rozwiązania niejednoznaczne, ujęcia nie dokończone. Krytyka wskazywała na różne powinowactwa z poszukiwaniami nowych form w prozie dwudziestowiecznej, ale w czym Pan upatruje źródła swych inklinacji twórczych ku tego typu konstrukcjom literackim?

— Oczywiście ogólnie można powiedzieć, że stereotypy tzw. powieści realistycznej nie odpowiadają już dzisiejszym poglądom na świat, na poznawanie świata przez człowieka, na poznawanie historii i poznawanie samego siebie. To prawda, ale moje skłonności twórcze mają też swój własny, indywidualny rodowód. Może to zabrzmi jak anegdota, powołam się jednak na atmosferę dzieciństwa, na wpływ moich wujów, z których jeden był inżynierem hutnikiem, drugi zaś — pianistą, a potem także został inżynierem, zajmującym się technicznymi sprawami kolejnictwa. Otóż pierwszy zostawił w naszym domu gruby tom z zakresu wyższej matematyki, drugi — stertę nut. Nie przypuszczali zapewne, w jaki sposób oba te „legaty" oddziałają na mnie. Wielopiętrowe i całkowicie niezrozumiałe dla mnie wzory matematyczne oraz monstrualne szyfry graficzne, jakimi zapisana była muzyka, fascynowały mnie, przyciągały z wielką siłą magiczną, budząc tajemniczy kult dla konstrukcji jako podstawy przekazu wszelkiej głębszej prawdy.

Uczucia te odkryłem w sobie także później, kiedy zająłem się drzeworytnictwem. Technika pracy w tej dziedzinie wymaga wykonania wielu prób, gdyż dopiero przy ich pomocy można ocenić poszczególne fazy tworzenia. I każdy artysta to robi. Oglądałem zbiory takich prowizorycznych drzeworytów, poprzedzających ostateczny kształt dzieła. Te formy nie dokończone, stadia wstępne, pośrednie między samym surowcem a kształtem zamierzonym wywierały na mnie niezwykłe wrażenie, budziły emocje, jakich nie odczuwałem potem w odbiorze prac gotowych. Dynamika tych form, dokumentujących proces powstawania dzieła, obiecuje więcej niż artysta jest w stanie dać nam naprawdę. Zauważyłem, że to mnie inspiruje, że to działa na moją wyobraźnię podobnie, jak tajemniczy, nie poznany do końca kosmos, jak mitologia, jak owe konstrukcje symboli muzycznych i matematycznych, jak ontologicznie niejasny świat fantastyki, niesamowite pomysły E. T. A. Hoffmanna czy E. A. Poego.

Później dopiero zrozumiałem, że jestem na tropie form, które będą odpowiednie dla wyrażenia złożonej, wiele aspektów wiedzy ogarniającej refleksji, stanowiącej siłę napędową mojej prozy. Moja postawa formowała się jednak w czasie, kiedy jeszcze nie mówiło się o tzw. kryzysie powieści.

— To są impulsy czysto artystyczne, może nawet trochę niebezpieczne dla pisarza, wymagające dyscypliny myślowej, aby nie stwarzać pozorów głębi, nie przypisywać wartości zjawiskom niejasnym, emocjonującym nas samą tajemniczością. Pana proza ma jednak duży ładunek intelektualny, odwołuje się do konkretu historycznego; jednym słowem, nie jest tylko studium formy ani tylko studium tworzenia literatury, choć te pierwiastki organizują często, np. w „Kiermaszu", całą kompozycję powieści. Jakie więc inne doświadczenia, może pozaliterackie, ukształtowały problematykę Pana twórczości, która właśnie przy użyciu metody twórczej, o jakiej dziś mówimy, została przedstawiona w nowatorskim oświetleniu. Myślę tu przede wszystkim o roli tematu wojenno-okupacyjnego.

— Moje dzieciństwo i moja młodość upłynęły wśród fascynacji zagadkami świata i sztuki, a właściwie wielu sztuk: malarstwa, muzyki, poezji, teatru, ale oczywiście zetknęły mnie także z tym wszystkim, co działo się w świecie bezpośrednio mnie otaczającym. A były to czasy niespokojne, nabrzmiałe konfliktami, niekiedy groźne i okrutne. Niełatwo było je zrozumieć, pojąć sprzeczne racje ścierających się stron. Poznałem wtedy również niepiękne moralnie strony człowieczeństwa. Mimo wszystko obowiązywały wówczas jeszcze jakieś reguły. Natomiast druga wojna światowa złamała wszelkie tradycje humanitarne.

Gdy wybuchła, miałem 36 lat i już pewien dorobek twórczy za sobą. Aby zrozumieć moją i nie tylko moją reakcję pisarską na ten okres historii, trzeba pamiętać, że ja i moje pokolenie byliśmy już ukształtowani. Należałem do generacji, która nie mogła przyjąć rzeczywistości okupacyjnej, terroru i ludobójstwa, jako rzeczy zastanej, oczywistej, czy dopuszczalnej. Kultura, która nas uformowała, znała kryzysy i zwątpienia, miała swoje przeczucia różnych upadków moralnych i katastrof cywilizacyjnych, ale pielęgnowała wiarę w wartości humanistyczne. Był to humanizm najczystszej próby, który jest zawsze ideałem ludzkości. I ten ideał został brutalnie, w sposób niemożliwy do wyobrażenia przedtem — sponiewierany. To zderzenie humanizmu z praktyką wojny wywołało szok. Codzienność ówczesna godziła w to wszystko, co było najdroższe i jedyne, co stanowiło podstawę ładu myślowego, uczuciowego i moralnego. Gdybym był młodszy, może nie przeżywałbym tamtych lat jako totalnej klęski, nie widziałbym tak jaskrawo ich grozy dziejowej. Nie chodziło bowiem tylko o ten konkretny epizod naszej współczesności.

W ostatecznym obrachunku tego przeżycia liczyło się także to, że byliśmy na swój sposób przygotowani do owego koszmaru sugestiami lektur historycznych, z czego wcześniej nie zdawaliśmy sobie sprawy, a co wojna wydobyła z pamięci i zinterpretowała. Dzieje przeszłe zawsze były nauczycielami życia, edukacja nasza opierała się w znacznej mierze na poznawaniu historii. Dlatego każda próba zrozumienia koszmaru, zracjonalizowania tej potwornej i trudnej tajemnicy, jaką był sam system okupacyjny jak i jego korzenie cywilizacyjne, zwracała myśl ku głębszym uwikłaniom współczesnego losu, ku uogólnieniom, ku analogiom z faktami dawnymi, z różnymi wizjami, jakie niosła ze sobą kultura. To był w istocie szereg zwierciadeł, rzutujący skojarzone ze sobą obrazy z wielu epok w czas bieżący i w przyszłość także. Szukałem sensu otaczającego nas chaosu, żywiołów zagłady, demoralizacji, pogardy — poprzez porównania, konfrontacje historyczne.

Stąd mój sposób pisania. Bliski mi uczuciowo temat obrasta refleksjami i one dopiero tworzą właściwą treść moich powieści. Krytyka ułatwia sobie zadanie, kiedy sprowadza moją prozę do tego, co jest zaledwie jej punktem wyjściowym, inicjalnym, co jest pierwszym pytaniem, natarczywie domagającym się odpowiedzi, co jest w gruncie rzeczy wyzwaniem rzuconym przez życie sztuce, jako dziedzinie samowiedzy, nie dającej się zastąpić przez żadną z innych. Refleksje te biegną nieraz szlakami bardzo odległymi od przeżycia je inspirującego, wkraczają również na teren współczesności. Bywa, że niekiedy, zwłaszcza w wypowiedziach okazjonalnych, irytują mnie formułki redukujące moją prozę do nurtu wojennego, do tematu wojny, co samo w sobie niewiele znaczy.

— Może bierze się to stąd, że nauka i krytyka bardziej są wyczulone na podobieństwa niż różnice? W każdym razie ostatnie Pana powieści, licząc już od „Wydarzenia" (1968), mają niewiele punktów stycznych z tematyką okupacyjną, mimo pewnych reminiscencji, klasyfikacje więc poczynione kilka czy kilkanaście lat temu stają się już niewystarczające dla usytuowania Pana twórczości wśród obecnych prądów literackich. Skoro od samego początku naszej rozmowy staram się nadać jej kierunek ku źródłom Pana pracy pisarskiej i zorientować się, jak Pan sam uświadamia sobie czynniki kształtujące własne zainteresowania i metody twórcze, to zapytam jeszcze, co porusza Pana najsilniej we współczesności? Przepraszam za tak ogólnikowe sformułowanie.

— Odpowiedź jest trudna i dlatego też będzie zawierała stwierdzenia ogólne. Ale tak jest naprawdę, że interesują mnie, po tylu doświadczeniach z czasów burzliwych, zmiennych — nowe przejawy życia. Trzeba sobie uświadomić, że żyjemy w zupełnie innym świecie niż pół wieku temu. Co kiedyś było marzeniem, eksperymentem, przeczuciem, dziś jest oczywistością. Choćby w sprawach kosmosu. Wyszliśmy poza sferę iluzji, myślimy o wszechświecie kategoriami naukowymi i praktycznymi. W czasach mojej młodości tylko elita intelektualna zbliżała się do takiej świadomości, dziś jest ona powszechną, mimo takie czy inne sensacje i prognozy irracjonalne. Interesują mnie przemiany świadomości, także świadomości kulturalnej.

Sztuka jest zjawiskiem społecznym i zawsze znajduje nowe środki dla zaspokajania potrzeb ludzkości.. Także środki technicznego przekazu swych obrazów i informacji. Ludzkość wynalazła w XX wieku nowe sposoby dostarczania informacji, gdyż taka była potrzeba — głód informacji dla odbiorcy masowego. Stwarza to zupełnie nową sytuację. Kultura literacka straciła prymat. Nie wiemy, dokąd to prowadzi. Niegdyś były cywilizacje, które nie znały alfabetu, ale dla zaspokojenia potrzeb praktycznych odpowiednio rozwiniętych społeczeństw musiał on powstać. Z tych literek nie tak znowu dawno temu powstał nasz świat, nasza kultura literkowa. Literki posłużyły bowiem nie tylko celom praktycznym, ale również sztuce, wymianie duchowej, pobudzaniu przeżyć. Nasza literatura, zaklęta w literkach alfabetu, pozbawiona jest głosu, pozbawiona jest obrazu. Pamiętajmy jednak, że aż do przedproża naszej współczesności większość rodzaju ludzkiego tkwiła w analfabetyzmie, o naszej kulturze i literaturze nie miała pojęcia. Był to dla niej świat obcy, świat kapłana, urzędnika, świat ekskluzywnych środowisk społecznych. Świat sztuki był jakby oazą wśród żywiołu życia, rozległego jak pustynia. Ten żywioł wszedł teraz w cywilizację, uczy się jej, ale ją również dostosowuje do swych potrzeb. Telewizja, popularne kino są wytworem tej przełomowej sytuacji, są przekaźnikami informacji i sztuki dostosowanymi do realiów i możliwości masowego odbioru. Trudno oceniać te formy, choć łatwo można je skrytykować przy użyciu kryteriów stosowanych do sztuki ambitnej, elitarnej. Przyszłość kultury jest tajemnicza, trudna do przewidzenia i może dlatego przyciąga moją uwagę? Pewnie znowu działa mechanizm inspiracji, o którym już mówiliśmy.

— Jak więc Pan widzi szanse literatury w tej nowej sytuacji kulturalnej? Zwłaszcza literatury nie schlebiającej gustom pospolitym, konwencjom wytartym, szablonowym?

— Myślę, że trudna jest sytuacja literatury schlebiającej gustom ekstrawaganckim, powierzchownym i kapryśnym, choć są to często gusty środowisk o wysokim wykształceniu, gusty elit artystycznych. Upowszechniła się w literaturze, pod wpływem plastyki zawsze literaturę wyprzedzającej, technika collègu'u, bardzo ryzykowna, wymagająca wiedzy od odbiorcy. Te mozaiki zderzają w nieznanych odbiorcy układach zbyt wiele składników o różnych znaczeniach, różnych rodowodach. Powstał rozziew między twórcą a czytelnikiem, widoczny jednak chyba tylko dlatego, że czytelników jest tak wielu, jak nigdy dotąd, i biorąc średni poziom wiedzy — tak słabo przygotowanych do odczytania zdawałoby się prostych aluzji. Należę do pokolenia, w którym prawie każdy pisarz znał łacinę, a piszę dla pokoleń, w których już prawie nikt łaciny nie zna. To musi mieć swoje konsekwencje, bo nie chodzi przecież o język, ale o całą ogromną kulturę, w którą on wprowadzał. Jeśli każda refleksja jest jakąś aluzją, to całość staje się gigantycznym rebusem. Ów czytelnik statystyczny wytwarza dziś opinię i trzeba się z nią liczyć. Sądzę jednak, iż należy szukać nowych form dotarcia do odbiorcy, innego niż niegdyś, dla przekazania mu, nie uszczuplonych kompromisami, treści i idei, z których rezygnować nie powinniśmy z ideą czystego humanizmu na czele, także opowiadając i badając jej kryzysy i klęski.

— Trudno o lepsze określenie Pańskich ideałów pisarskich. Nie podejmę więc próby podsumowania naszej rozmowy, za którą serdecznie dziękuję. Pragnę na zakończenie raz jeszcze, teraz już publicznie, złożyć Panu w imieniu zespołu redakcyjnego „Odgłosów", naszych współpracowników i czytelników, gratulacje z powodu nagrody Prezesa Rady Ministrów. Życzę Panu dobrego zdrowia, wielu nowych godzin twórczych i nowych osiągnięć literackich.

Rozmawiał:
JERZY RZYMOWSKI

Wiesz, ostatnio wieczorami odwiedza mnie ksiądz Ignacy Nagurczewski. A właściwie są to nie tyle odwiedziny, co nawiedziny, ponieważ ksiądz Ignacy Nagurczewski żył w epoce od nas odległej, a była to niezwyczajna epoka. Można nawet powiedzieć — pomieszanie dwu przeciwstawnych sobie epok: sarmackiego barbarzyństwa i otwartych okien na świat, wiszących ogrodów wolnej myśli, oaz mecenatu muz i pożogi wojen, rządów przemocy i niewoli. Taki znawca ojczystej historii jak Ty miałby tu więcej do powiedzenia. Mnie ta zmienność na styku zwaśnionych ze sobą okresów urzeka po prostu swoją dynamiką — wieloznacznością treści. Na jej mozaikowym tle czarna księżowska sutanna tłumacza Homera i mów Cycerona wyraźnie rysuje się jak centralna plama plafonu. Leżę na wznak, otwieram oczy i widzę jej nieruchomą czerń jako oś wirującego kalejdoskopu. Musisz mnie zrozumieć: chodzi mi nie o sam dorobek Nagurczewskiego, który nie zostawił po sobie jakiegoś trwałego śladu w literaturze — parę traktatów retorycznych i przekładów z klasyki antycznej. Historyk literatury buduje jej wielką konstrukcję w kształcie piramidy Cheopsa, gdzie na dolnych astronomicznej długości półkach szereguje tych wszystkich, którzy kiedykolwiek cośkolwiek napisali. Półki wyższe, coraz krótsze, przeznacza pod coraz surowszej selekcji dzieła aż na samym szczycie tego skamieniałego schematu umieszcza nieliczne utwory gwarantowanej nieśmiertelności. Otóż Nagurczewski z jego nikłą spuścizną ginie w tej hierarchii wartości gdzieś w tłumie zapoznanych, dźwigających na swych barkach gigantyczną wieżę piśmiennictwa. Ale może tym łatwiejszy jest do niego dostęp. Dostęp do zrozumienia źródeł twórczości, kiedy jeszcze nie zna interesowności, istnieje jedynie sama dla siebie.

Sam jego życiorys bez specjalnego dla mnie znaczenia. Życie spędzone w murach szkolnych, gdy na zewnątrz wszystko wrzało w kotle historii. Ostatnie osiem lat panowania Augusta II August III, a właściwie zamęt bezprawia, wojny i bezkrólewie, epoka króla Stasia oazą i już znów nasuwało się — Prusy, Księstwo Warszawskie. A tu od chłopięcych lat do głębokiej starości w szelestach czarnych habitów, szeptach modlitwy i milczeniu klasztornych murów. Syn regenta pińskiego przyjęty do nauk oo. jezuitów, nowicjat i studia retoryki, dwudziestoletni profesor w kolegium warszawskim, czteroletnie studia teologii, wyświęcony na księdza, Warszawa, profesor wymowy, spowiednik i kaznodzieja w Collegium Nobilium. Powołanie Stanisława Augusta na króla zastaje Nagurczewskiego przy dworze Radziwiłła jako wychowawcę. Znów Warszawa — Szkoła Rycerska, gdzie uczy wymowy, literatury polskiej i historii. Na krótko — dwór królewski: wychowawca piętnastoletniego księcia Józefa. „Po upadku kraju wpadł w zupełny niedostatek". Nie pełniąc już żadnych funkcji w Korpusie Kadetów mieszkał w jego murach do śmierci. Zmarł w przeddzień wielkiego przełomu dwunastego roku. Miał 86 lat.

To tylko notatki z najpopularniejszych źródeł. Możesz je skorygować i uzupełnić z pamięci. Dla mnie szczegóły te tylko wypełniają napisami i datami ten sam obraz kolorowego plafonu z kontrastem nieruchomej czerni pośrodku. Cóż jeśli zmieniają się nazwy miejscowości i ciągnie się łańcuch ogniw chronologicznych — zawsze doprowadzają nas do potężnych murów, wprowadzają w świat ich posępnych wnętrz. Życie ciasno zasznurowane w gorset reguł kościelnych. Proste jak linia łącząca początek z końcem. Tylko dwa razy zdawałoby się, że coś się załamało. Mury się rozstępują, otwiera się wielki świat. Misja wychowawcy przy dworze Radziwiłła, przy dworze królewskim.

I tu musisz mi coś wytłumaczyć. Jak się znalazł w królestwie Radziwiłłowskim (zdaje się bardziej po magnacku królewskim od zagrożonego dworu królewskiego), opanowanym przez wpływy dominikanów, jezuita? Wprawdzie domyślam się, że jezuici mieli przewagę, jeśli idzie o polor świecki i opanowanie nauk humanistycznych. A wtedy to już było warunkiem torującym drogę kariery zarówno świeckiej jak i duchownej, bo wiatr, który we wzmagających podmuchach wiał z zachodu, wywiewał z komnat pałacowych zaduch średniowiecza. Tak, a mimo to splot tradycji był jeszcze silny. W czasie europejskich peregrynacji Radziwiłła Panie Kochanku, świtę jego ubraną w kontusze brano za Turków. I który to Radziwiłł był wychowankiem Nagurczewskiego? W drugim wypadku wiemy, że — książę Józef, którego z pewnością bardziej od klasycznych filipik interesowała jazda konna i fechtunek.

Te dwa wzloty Nagurczewskiego z czymś mi natarczywie się kojarzą. Nie śmiej się, ale nie panujemy nad swoimi skojarzeniami. Taki szczegół z dzieciństwa. Na wiosennym jarmarku w niedzielę palmową, kiedy sprzedają bazie i wafle z kremem, dziecięca zabawka w ręku handlarza — skaczący w szklanej rurce diabełek. Rurka wypełniona płynem, diabełek też szklany, wyłupiasty, z różkami ślimaka, brzuchaty. Jeśli nacisnąć błonkę napiętą na rurce, diabełek podskakuje do samej powierzchni płynu i znów opada na dno skruchy i niepamięci. To że skrucha księdza Ignacego nie kończyła się na samych praktykach pokutniczych, że w ciszy, która zapadała dokoła niego, pocieszał się lekturą i tłumaczeniem autorów klasycznych, rozgrzeszonych już ze swej pogańskiej przeszłości zwiastunów oświecenia, tak zbliża go do nas. I pierwsze tłumaczenie rozpoczęte jeszcze w murach Collegium Nobilium, gdy Polska była „karczmą" dla obcych żołdaków — mowy Marka Tulliusza Cycerona. I tu m. in. zastanawia podobieństwo ich losów. Cycerona, który w latach wygnania i zapomnienia pisząc swoje dzieła pracował na własną nieśmiertelność. O księdzu Ignacym Nagurczewskim również jeśli cośkolwiek wiemy, to głównie dzięki tym jego pustym latom, pustym życiowo, a płodnym w pracy. Drugi, dłuższy okres, kiedy *po upadku kraju wpadł w zupełny niedostatek* wypełnił pracowicie tłumacząc dziewiętnaście pieśni *Iliady*.

Bardzo jestem ciekaw tego przekładu. Przypuszczam, że nic mi tu nie pomożesz, a podobno dwie pieśni w jego tłumaczeniu zostały włączone do wydania *Iliady* w przekładzie Dmochowskiego. Są to pieśni trzecia i czwarta. Właśnie trzecia by mnie specjalnie ciekawiła. Ta, którą pierwszy spolszczył Jan Kochanowski, a w której znajduje się ten wspaniały fragment epizodu pojedynku Menelaosa z Parysem, wykropkowany u Dmochowskiego jako opuszczony *ułamek* tekstu. Jest to miejsce, kiedy Wenus, ratując Parysa, porywa go z pola bitwy i przenosi wprost do małżeńskiej łożnicy. Tam, znalazłszy się obok małżonki, na jej zarzuty tchórzostwa *(już u ciebie po wojnie, człowieku zelżony! bodaj tam był źle zginął, mieczem uskromiony rycerza walecznego, któregom ja żona, pókim głupia nie byłam przez ciebie uszalona!)* odpowiada: *nie używaj przeciw mnie uszczypliwej mowy! ...Ale pódźmy oto spać w spólnej życzliwości, bom jeszcze w sercu nie czuł takowej miłości, jako teraz ku tobie jestem zapalony.*

To rzekł i położył się, żona obok niego,
Oni tego tak wczasu używali swego.

Czy nie urocze intermedium w okrutnej historii wojny trojańskiej. Bardzo bym chciał sprawdzić, jak to potraktował Nagurczewski. Całość jego przekładu spoczywa w rękopisie gdzieś w archiwach, figurując w katalogach pod adnotacją *nie wydane*.

Widzę go, a służą mi oczy wyobraźni, takim, jaki z pewnością był w ostatnich latach swego życia, latach upadku. Jak pochylony i wysuszony wiekiem idzie wysoki i kościsty, zamyślony w ruchu ulicznym Warszawy. W miejscu dobrze mi znanym, na Krakowskim, przy schodach kościoła Świętego Krzyża. Ażeby to sobie dokładniej przedstawić, jak to wtedy wyglądało, poszedłem do biblioteki i przeglądałem reprodukcje obrazów i jego fragmentów pędzla Canaletta. Tu dopiero można sobie uprzytomnić, co to były za czasy. Pomieszanie epok, o którym mówiłem, upostaciowane w setkach miniaturowych portretów.

Podobno Canaletto w drodze z podupadłego po wojnie Drezna do Petersburga, gdzie liczył na mecenat carycy, zatrzymawszy się w Warszawie był przedstawiony królowi i został tu już na zawsze. Sportretował stolicę Polski czasów stanisławowskich. Dzięki niemu znamy ją jakbyśmy spacerowali po jej ulicach i oglądali panoramę obu jej brzegów. Sportretował w domach i ludziach lepiej, niżby to zrobił współczesny fotograf, popstrykawszy bez wielkiego dla siebie trudu aparatem. Trud malarza, który zachował dla nas ówczesny wygląd tysięcy domów i dał portrety wtopionych w uliczny tłum ludzi, był iście mrówczy, a właściwie pszczeli, bo to pszczoła zbiera nektar z kwiatów, aby zachować go w plastrach miodu. Ileż musiał mieć robionych na gorąco szkiców, z których potem lepił swe miodowe plastry, zatrzymując czas, utrwalając ruch ulic w niezliczonych postaciach.

Widzimy na jego obrazach w panoramie miasta mury koszar kadetów, gdzie mieszkał i na zawsze zamknął oczy Ignacy Nagurczewski. I widzimy dzień powszedni na Krakowskim Przedmieściu, gdzie szedł zamyślony w tłumie, gęstym, zalewającym ulicę jak była szeroka, bez chodników. Luksusowe karoce z forysiami torowały sobie drogę w ciżbie przechodniów. Pod ścianami domów lepiły się stragany, przekupki handlowały warzywem. I cóż za pomieszanie strojów! Tradycyjne kontusze, tuż niemieckie kaftany i trójrogi, spod których zwisają mysie ogony harcapów, na tle chłopskich sukman, mieszczańskich żupanów i żydowskich kapot.

Ksiądz Ignacy w swych myślach był tak w czasie daleki, a pomieszanie w strojach epok dokoła niego tak powszechne, że wcale się nie zdziwił, zobaczywszy idącego mu na wprost mężczyznę udrapowanego w rzymską togę. Idącego takim zdecydowanym krokiem, że ksiądz Ignacy ledwie zdążył usunąć się mu z drogi. Nawet przystanął, aby spojrzeć do tyłu na oddalającego się Rzymianina, który w ruchu również się obejrzał i jakby uśmiechnął przyjaźnie, a może nie tyle przyjaźnie, co z drwinką, przekornie. I coś w jego ogolonej, suchej twarzy wydało się dziwnie znajome. Po chwili nawiedziło olśnienie: nie mogło być wątpliwości! Niezwykłe, ale zbyt oczywiste, prawie namacalnie oczywiste. Myśl musiała wywołać materializację tego, czyj duch nie odstępował ostatnio księdza Ignacego: przed chwilą wyminął go, czuł jeszcze wiatr od jego szybkiego kroku, sam Marek Tulliusz Cyceron. I jakby nie było to niedorzeczne i niezgodne ze zdrowym zmysłem, krótkie to wyminięcie pozostawiło po sobie poczucie dumy, że właśnie jemu, zagubionemu w ulicznym tłumie i czasie, dane było zobaczyć tak sławnego męża przeszłości. Krok księdza Ignacego zrobił się sprężysty, świat rozjaśnił przed nim swoje kolory, jak przetarte gąbką sczerniałe malowidło. Szedł teraz uskrzydlony pewnością, że to nie może być jedyne przelotne spotkanie, pozostające bez śladu, że przy następnych nadarzy mu się okazja wyjaśnienia wątpliwości, które miał tłumacząc nieśmiertelne teksty.

Ten upajający stan diabelskiego nawiedzenia nie opuścił księdza Ignacego i wtedy, gdy wieczorem w swej celi w koszarach kadetów bił się w piersi i walił czołem w popękane kafelki posadzki. Ale na próżno! Gwałtowne wyrazy głębokiej skruchy nie mogły odegnać ogarniającej go radości. A i po takiej nie przespanej w pokucie nocy, kiedy nazajutrz znów wyszedł na miasto i znalazł się w tym samym miejscu przy schodach kościoła Świętego Krzyża, szukał mimowolnie wzrokiem w tłumie białej postaci w rzymskiej todze. I dzieląc utajone rozczarowanie z nadzieją odzyskania duchowej równowagi, a czując jak na miejsce wątpliwej ulgi powraca ciężar zastarzałego zmęczenia, skręcił w stronę znajomej piwniczki.

Przecież i w tamtej Warszawie musiały istnieć takie piwniczki, gdzie w ciemnym kącie można było wychylić niewinny kufelek piwa. Kraj, w którym pito piwo o każdej porze dnia, gdzie fraszki wymieniały do piętnastu gatunków produkowanego na miejscu i sprowadzanego z zagranicy piwa, nie mógł nie mieć w nadmiarze podobnych piwniczek, w rodzaju piwnicy Auerbacha, gdzie mąci myśli nieczysta siła i diabeł płata swe zdradzieckie figle.

Do wejścia do takiej piwniczki pod znakiem beczki oplecionej gałęzią chmielu trzeba przedzierać się przez krzykliwe stragany z różnym rupieciem, a schodzi się w jej mroczne głębie po kamiennych wyszczerbionych stopniach. Dopiero pod nogami dno świata, czarne jak piekielna smoła, i przy dębowych, mocnych jak głazy stołach siedzą, wycierając rękawami żupanów rozlane piwo, cienie opojów. Przesuwają się matowo maszkary opuchniętych gęb — zdmuchując pianę z kufli sączą gorzki napój zapomnienia.

I tu zaczyna się główna część krotochwili mojej wyobraźni. Ksiądz Ignacy zaszywszy się w upatrzonym z daleka kącie, naśladując innych bywalców piwnicy, zdmuchuje pianę z kufelka i pociąga gorzki nektar. Gasi pierwsze pragnienie łyk po łyku. Przymruża powieki i nawet nie spojrzy, kto zajął miejsce naprzeciwko. Dopiero gdy kufelek się odstawiło na stole, poczuł jak krew uderza mu w skronie. Po drugiej stronie lepkiego blatu, na którym w podnieceniu tańczyły muchy, siedział z takim samym kufelkiem sławny rzymski retor. Potrudziwszy się ze swych historycznych odległości, pokonawszy przestrzeń i czasy, aby takim dostępnym i bliskim zjawić się na głęboko tajone przywołanie księdza Ignacego. I do takiego stopnia się zbliżyć i spoufalić, że ot na wargach ma przylepioną z kufla pianę i mówi czystą polszczyzną, dodając co drugie zdanie: *mości księże.*

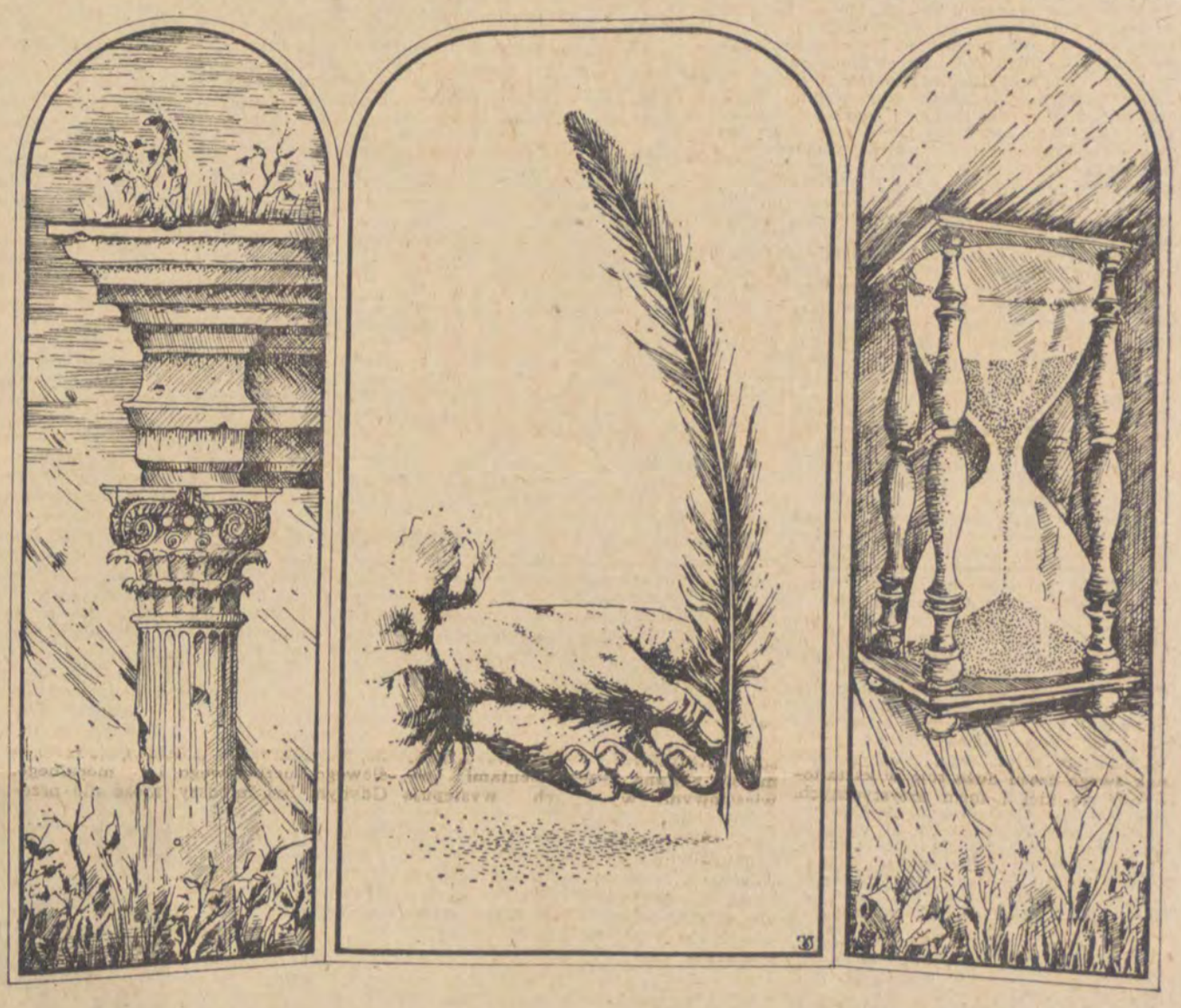

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ale pierwszy mówi ksiądz Ignacy — (wzburzonym głosem): *Odstąp mnie, Belzebubie! Przychodzisz po moją duszę, szczeznij, kłamco!*

Na co Marek Tulliusz Cyceron — (spokojnie): *Po cóż te egzorcyzmy, mości księże. Znamy się nie od dziś. Pół wieku temu ksiądz dobrodziej sam wydobyłeś mnie z moich pogańskich mroków. Dzięki tobie, mości księże, przemówiłem po polsku. Ileż nocy spędziliśmy na rozmowach ze sobą. Dzięki mnie przetrwałeś wtedy swoje czarne godziny. Może i teraz nadszedł czas, abym umilił twoje godziny ostatnie. Żyłem krócej od ciebie, a i mnie, zanim ukończyłem drogę, pokazano zmierzch mojej epoki. W życiu moim przetrwałem niejedną burzę i korzystałem z przerw, aby uporządkować moje myśli. A główną moją zdobyczą było przekonanie, że głosząc cokolwiek nie należy twierdzić, że jest to jedyna prawda. Powiesz: tak mówi ten, kto siłą przekonania oczyszczał ludzi z winy lub posyłał na ścięcie. Wiem, że ksiądz dobrodziej wierzysz z kolei, że wystarczy przekonania, aby urojone zamieniło się w rzeczywistość.*

Quodcumque nostres animas probabilitate percussit id dicimus. Inaczej mówiąc, prawdopodobieństwo, rodząc się twórczo, jak iskra wznieca ogień słowa. Tylko przekonywanie może ocalić świat od samozagłady. Jeśli wypływa z czystego źródła tolerancji. Dawniej o losach decydował miecz. Sam trzymałem go w ręku i wiem, jakiej wymaga sprawności i siły od walczącego. Ale miecz razi we wrogu człowieka, gdy słowo przemienia wroga w człowieka. Miałem też rażący miecz w ustach i schowałem go w pochwę wyrozumienia. A ty pomagałeś mi w tym, mości księże, przenosząc mój głos na swoją daleką północ. Że znów zjawiam się tobie, to znak mojej wdzięczności. Przychodzę do ciebie z wyciągniętą ręką i jakżeż mnie witasz? Przekleństwem. Pragnę znów przyjść ci z pomocą, a ty odpędzasz. Odpędzasz jak psa, mości księże.

Przepraszam cię, powiedział ksiądz Ignacy szczerze teraz skruszony, *mój długi wiek spędziłem jak w krypcie w grubych murach klasztornych. W tym duchu wychowano mnie, potem ja sam tak wychowywałem innych. Dokoła pleniły się gwałt i ciemnota. Nad krajem, nad życiem zapada noc, a to, co chwilowo sprzyjało, przemija bez śladu. Przyzwyczajony widzieć maski, nie twarze, żyję w nieufności. Toż zrozum i wybacz, jeśliś naprawdę przyjaciel.*

Mylisz się, mości księże, to w ludzkiej naturze przeceniasz doświadczenie własne lekceważąc cudze. Czas jest materią płynną, a dążenie jego dla nas niewymierne i zagadkowe. To prawda, że na stykach epok wytwarza się próżnia, i nie jest to osobliwością tylko tych próżni, na które przypadło nasze życie. Mogę posłużyć się własnym przykładem, do twojego podobnym. W zaraniu mojej kariery, kiedy pełniłem obowiązki kwestora na Sycylii, wędrowny wróżbita postawił mi horoskop. Był to Pers lub Grek z Aleksandrii. Miał skórę wypalonej cegły — przeświecała przez siwy zarost na głowie i piersi. Kazałem nakarmić go i przyprowadzić do mnie. W wewnętrznym ogrodzie, na wydeptanym skrawku ziemi zakreślił on swym kosturem kwadrat i podzielił na trójkąty. To są domy, wyjaśnił i wpisał do trójkątów hieroglify. Przypominały swym kształtem rozdeptane dżdżownice. Wskazując je tłumaczył ich ukryte znaczenie. Mówił tak: gdy Wenus wejdzie do domu Jowisza, Mars grozi mieczem. Słuchaj dobrze, powtarzał, za trzecim razem będzie koniec — głowa spadnie na dno nocy. Zbyt późno zrozumiałem znaczenie tej przepowiedni. Śmiałem się z niej. Wyobrażałem sobie nagą boginię w objęciach starca i zazdrosnego kochanka, ukrytego za ich łożem. Tymczasem jarmarczne symbole były proste. Za każdym razem, gdy wyciągałem rękę po władzę, groziło mi niebezpieczeństwo. Odrzucano mnie w puste lata wygnania, najemni skrytobójcy ostrzyli na mnie sztylety. I kiedyż działałem skuteczniej? Czy wówczas, gdy urzędowałem, rządziłem i wygłaszałem mowy miażdżące przeciwnika? Czy gdy na wygnaniu, z daleka od skłóconych namiętności, porządkowałem swoje myśli? Nigdy nie napisałem tyle, jak w okresach klęski i zapomnienia. A jeśli coś będzie miało znaczenie dla ludzi, to nie wykaz pełnionych przeze mnie urzędów czy zwycięstw retora, lecz napisane dzieła, w których politykę pomieszałem z filozofią, aby poruszyć sumienia, nie tylko umysły. Mówimy o przemijaniu epok. Tak, byłem świadkiem umierania jednej, gdy zbliżał się czas upadku i niewoli. I to ja i podobni do mnie zamknęli ducha wolności w słowo, aby przetrwał. Na jego intencję trąćmy się naszymi kuflami, mości księże.

I na tym potrąceniu, ledwie dosłyszalnym w ogólnym zgiełku piwniczki, kończę. Słyszę, jak obruszasz się na mnie z wysokości swej katedry. Ja zaś na swoje usprawiedliwienie mam jedno: pełna wiedza wysusza źródła wyobraźni. Wiedząc zbyt dużo i dokładnie, z pewnością nic bym tu nie zobaczył. Ale czy to naprawdę rozgrzesza?

KAPUŚNIAK À LA MAJORKA

Nawet przypadkowy odbiorca programu telewizyjnego nie mógł nie zauważyć, że redaktorzy tv uatrakcyjniają swój pobyt przed kamerami, jak tylko potrafią. Ostatnio częstym elementem różnych audycji jest elegancko zastawiony stół. Dymiące talerze i delikatny brzęk sztućców mają służyć za dowód, iż rozmaite kulinarne przepisy i porady są jednak do zrealizowania, a redaktorzy zamiast w pośpiechu korzystać z baru, mogą posilać się, zgodnie ze scenariuszem, przed wielomilionową widownią. Tu trzeba przyznać, iż eksperci kulinarni z tv są realistami: nie proponują dziezyzny, ani nawet mięs ze zwierząt mniej egzotycznych. Ich skromne potrawy noszą za to wyszukane nazwy. Znany nam skądinąd kapuśniak nazwany à la Majorka smakuje przecież inaczej. Tym daniem raczyli siebie i nas Edyta Wojtczak z Jerzym Wunderlichem w jednym z programów „Dzień dobry w kręgu rodziny". Grzegorz Lasota w „Bezludnej wyspie" (najnowszy pomysł „kulturalny" bloku „Tylko w niedzielę") polecał najzwyklejszy barszczyk czerwony z uszkami. To z kolei miał być argument za tym, aby na bezludną wyspę wziąć z sobą, oprócz powieści Haszka o Szwejku, „Czterech pór roku" Vivaldiego, książkę kucharską. Kto nie oglądał „Bezludnej wyspy" powinien wiedzieć, że punktem wyjścia tej audycji jest pytanie „jakie trzy wybitne dzieła wziąłbyś z sobą na bezludną wyspę". Pomysł stary, jak stara jest tradycja wspomnianego kapuśniaku. Przydano temu pomysłowi nieco telewizyjnego blasku (à la Majorka) i „samodzielne danie obiadowe" gotowe.

Tyle o telewizyjnych kulinariach. Były przecież w ciągu ostatniego tygodnia programy, które skupiły przed telewizorami znaczną widownię. Przede wszystkim, zapowiadany od miesięcy, „Bal manekinów" Brunona Jasieńskiego. Promotorem tej premiery poniedziałkowego teatru był niestety Krzysztof Teodor Toeplitz. Pewnie, że KTT może mówić i pisać na każdy temat. I nawet jest czytany. W przypadku tego widowiska należało się jednak zwrócić do kogoś, kto potrafiłby w ciągu kilku minut przekazać i istotne informacje o autorze sztuki, i o samym dramacie. „Bal manekinów", podobnie, jak i postać samego Jasieńskiego, wciąż jeszcze funkcjonują na marginesach historycznoliterackiej świadomości. Nie miejsce tu, aby dyskutować, czy słusznie, czy nie. Jedno nie ulega wątpliwości: w informacji o pisarzu nie można powiedzieć, iż „Nuż w bżuhu" to poemat futurystyczny albo, że Czyżewski odegrał znaczną rolę w twórczości Jasieńskiego, bo był dżentelmenem o świetnej postawie. A tyle dowiedzieliśmy się z wprowadzenia zaprezentowanego przez autora „Kuchni polskiej" (znów te kulinaria!), nie licząc oczywiście parunastu banałów. „Tą sztukę" (cytat!), wydaje się, mylnie zinterpretowaną przez Janusza Warmińskiego i stąd manierycznie, pseudoawangardowo zagraną przez dobrych przecież aktorów, przeniesiono z warszawskiego teatru „Ateneum". Częstsze tego typu inicjatywy, i nie tylko w oparciu o teatry warszawskie, z całą pewnością uświetniłyby repertuar poniedziałkowego teatru tv.

Wznowiono „Sytuacje rodzinne". W tym, znanym już widowni, cyklu zainicjowanym przez Zespół Filmowy „X" i Andrzeja Wajdę, obejrzeliśmy film Radosława Piwowarskiego „Córka albo syn". A w niedzielę, już poza cyklem, dyptyk Gerarda Zalewskiego składający się z dwóch filmów „Justyna" i „Dorota". Przed filmem Piwowarskiego wystąpił Jacek Fuksiewicz, ale nie jako zwykły wprowadzający, lecz jako osoba z którą przeprowadza się wywiad. Jest to już jakiś wyższy stopień wystąpień przed kamerami tv. Mniejsza zresztą z tym. Filmom Zalewskiego towarzyszyła cała dyskusja. Zjawisko to, czyli obudowywanie programów artystycznych dyskusjami, wypowiedziami ekspertów, pouczającymi komentarzami, interpretacjami — często jednoznacznymi — jest zbędnym stawianiem kropek nad i. Ujawnia się w ten sposób niewiara (skąd ona się bierze?) redaktorów (proszę zwrócić uwagę, jak nieśmiało wypowiadają się o swoich dziełach sami twórcy) w możliwości twórczego myślenia telewizyjnej widowni, w jej mądrość i poznawcze doświadczenie. Zresztą, nie jest jeszcze tak, abyśmy my, widzowie, czerpali wszelką wiedzę o świecie tylko z małego ekranu. I jeśli już czegoś pan redaktor nie powie, to my nie będziemy wiedzieli. Inna rzecz, to te filmy telewizyjne. Jeśli z założenia mają przekazywać ważką, a społecznie aktualną problematykę (sytuacje rodzinne), to niechaj to nie będzie publicystyka rysowana grubą, a prostą krechą. Przecież filmy Marty Meszaros, choćby „Swobodny oddech" wyświetlony w niedzielę 7 października, też przedstawiają „sytuacje rodzinne" Ale robią to w sposób moralnie wyważony i artystycznie piękny. A „Justyna" Zalewskiego czymże się różni od przypomnianego w ostatnim tygodniu filmu Jana Rybkowskiego „Autobus odjeżdża 6.20". Ten sam schemat, tyle tylko, że bohaterka tamtego filmu była fryzjerką, a ta jest nieudaną aktorką. Tamta została spawaczką, a tej śnią się sukcesy w „Hamlecie". W tamtym był jakiś pionierski optymizm, a tu mamy do czynienia z mało uzasadnionymi dekadenckimi frustracjami.

Najnowsze polskie filmy i to nie tylko te, wyświetlane w telewizji, mają jeszcze jedną wadę są prezentowane w wersji oryginalnej. Owe niby naturalne dialogi w naturalnych wnętrzach, są po prostu niezrozumiałe. Przydałyby się więc napisy, albo lektor w osobie Jana Suzina, który tłumaczyłby te „szumy, ciągi, zlepy". Dlatego pisząc w ubiegłym tygodniu o poruczniku Borewiczu, nazwałem go Borowiczem.

GRZEGORZ GAZDA

W POSZUKIWANIU DZIESIĄTEGO AKTORA

Mawia się, że teatr nie ma sensu bez publiczności. Wydaje się to oczywiste, ale od strony, że tak powiem, czysto instrumentalnej, to znaczy — że na widowni muszą siedzieć jacyś ludzie, którzy weszli okazując zaproszenie lub bilet, w odpowiednim momencie wychodzą do foyer, w innym do szatni itp. Zwierzenia aktorów o tym, że publiczność współtworzy przedstawienie, skłonni jesteśmy pokrywać wzruszeniem ramion, traktując je jako wyraz aktorskiej egzaltacji bądź kurtuazji.

Z namacalnymi dowodami na to, że publiczność jest współtwórcą spektaklu, spotykamy się rzadko. My — to znaczy publiczność. Bo aktorzy tę kreacyjną, bądź destrukcyjną rolę publiczności, odczuwają zawsze. Czują się zmordowani, gdy nie mogą przebić niewidocznej czwartej ściany, czują się jak po zażyciu swoistego środka dopingowego, gdy między widownią a sceną zaczyna przepływać — tam i z powrotem — rodzaj twórczej energii. Bywa, że za rozłączenie tej sieci energetycznej odpowiedzialna jest scena. Bywa, że — widownia. Zwłaszcza wtedy, gdy siedzi i czeka, jak zadufany w sobie kochanek, na karesy i pieszczoty, nic z siebie nie dając. A przecież w teatrze jak w życiu — „w tym cały jest ambaras, aby dwoje chciało naraz".

Współczesna widownia teatralna, rozpaskudzona przez telewizję, która pieści mechanicznie, nie wymagając od swej widowni żadnych podniet, rozkojarzona codziennymi małymi kłopotami, nie umie zasiadać w teatralnych fotelach w pełnej gotowości do flirtu. Jest spięta, sztywna, bierna. I kochaj ją tu, człowieku sceny! Uuch, mordęga. Przydałaby się jakaś teatralna dr Wisłocka, która by uświadomiła publiczności, że kochać teatr, to nie znaczy przychodzić do teatru, ale także — umieć przeżywać, płakać, śmiać się, bić brawo, urządzać owacje. Lub awantury, gdy trzeba. To wypada. Naprawdę.

Nie wypada zaś siedzieć jak kołek.

Zżymam się tak po obejrzeniu najnowszej premiery w **Małej Sali Teatru Nowego — „Lekarza mimo woli" Molière'a.** Stroną, która psuje przedstawienie (a przynajmniej psuła oglądany przeze mnie spektakl w dniu 10.10 br.), jest publiczność. Spoglądająca po sobie, czy wypada się śmiać, nader nieśmiało podnosząca dłonie do oklasków.

Tymczasem **Bogdan Baer**, reżyserujący „Lekarza", założył sobie, jak mi się wydaje, że widownia będzie dziesiątą postacią tej sztuki. Do niej to, bardzo bezpośrednio, zwracają się aktorzy, przed nią się wdzięczą zgodnie z wymogiem konwencji, przed nią prześmiesznie krygują, z nią chcą flirtować, a tu... nic. Postawił Baer na aktorów najmłodszych (w 9-osobowej obsadzie debiutuje 7 — słownie — siedmioro — absolwentów Wydziału Aktorskiego), licząc na ich radość życia, umiejętność zabawy w udawanie, zabawy w teatr. I zespół nie zawiódł go, znakomicie podchwytując trop komedii dell'arte, wyposażając typy z „Lekarza mimo woli" w bardzo zindywidualizowane cechy, umiejąc wpleść w nie elementy parodystyczne. Najwięcej do roboty miał tu rzecz jasna **Bogusław Semotiuk**, grający tytułową postać Sganarela. Znakomicie udźwignął puchowy ciężar tej postaci, balansując nią jak ekwilibrysta — inteligentnie i sprawnie od strony technicznej. Przydał mu się tu staż w „Kwartecie" Schaffera, granym na Małej Scenie Teatru im. Jaracza. Ale przecież równe pochwały należą się jego koleżankom i kolegom, dającym co najmniej takie same szanse postaciom pomniejszym w tekście Molière'a, ale wcale nie mniej znaczącym na scenie. Oto, według kolejności w programie, **Joanna Jaszczura** — Lucynda z buzią w ciup, z dużą vis-comica, jej sceniczny bladolicy i białowłosy ukochany Leander — **Tadeusz Paradowicz**, dający sygnał swym basem, że wcale nie taki on ciemięga i laluś, oto **Grażyna Czapla**, jako Marcyna, kłótliwa, dyskata i sprytna, chudy jak szczapa Robert — **Krzysztof Leszczyński**, komiczny w całej sylwetce i wreszcie para sług Geronta — **Jerzy Chojnowski** (Walery) i **Adam Gwara** (Łukasz, mąż Jagusi). Wszyscy oni, idąc za Baerem jak za panią matką, ucząc się zapewne wiele od starszego kolegi, mającego tak świetne wyczucie komedii, są autorami sukcesu scenicznego, przedstawienia o bardzo jednorodnej, przemyślanej stylistyce.

Na koniec pozostawiam nieco starszych. No, za wiele to powiedziane w wypadku **Anny Grzeszczak** (Jagusia), która jest już kilka lat na scenie, zyskując po drodze tytuł najlepszej debiutantki w plebiscycie „Głosu Robotniczego" Potwierdziła w „Lekarzu" prawo do nagrody sprzed kilku lat. Jedynym aktorem z prawdziwym stażem był w oglądanym przeze mnie spektaklu **Ryszard Stogowski**, grający Geronta na zmianę z Bogdanem Baerem. Zestroił się świetnie z najmłodszymi swoimi kolegami, nie dając odczuć różnicy wieku, co w tym wypadku proszę przyjąć jako komplement.

Zawiodła, jak powiedziałem, publiczność. Przedstawienie było bardzo dobre, mogło być znakomite, gdyby ten dziesiąty aktor umiał zapomnieć, że siedzi w garniturze, że samochód stoi na parkingu (czy aby zamknąłem drzwi?) lub tramwaj będzie o 21.50. Gdybyż umiał o tym zapomnieć, uczestniczyłby w zabawie co się zowie.

Sam sobie winien.

JERZY KATARASIŃSKI

Teatr Nowy, Mała Sala: Molière „Lekarz mimo woli", przekład Tadeusz Boy-Żeleński, reżyseria Bogdan Baer, scenografia Iwona Zaborowska, muzyka Tomasz Kiesewetter, opracowanie choreograficzne Józef Matuszewski. Premiera „A" — 7.10, premiera „B" — 10.10.1979 r.

FRONTEM DO PAŃ

Unikamy w sztuce jakichś sztywnych klasyfikacji. I dobrze, bo to, co normalne w sporcie, nienaturalne i niepotrzebne wydać się musi w takich dziedzinach, jak poezja, malarstwo, muzyka. Trudno byłoby zresztą rozstrzygnąć definitywnie, kto np. w rodzimej poezji był „lepszy": Mickiewicz czy Słowacki, a — idąc świeżym tropem myśli Artura Sandauera (słynny już esej o poezji powojennej) — kto ostatnio bardziej zasłużył na krytykę: Grochowiak czy Harasymowicz (!).

Są jednak w dziejach sztuki postacie, którym przyznaje się, pomimo wszystko, bezwzględną palmę pierwszeństwa. Jest to możliwe wtedy, gdy ranga artysty, jego talent i wartość dzieła są bezsporne i nie znajdują sobie równych. Gdy są bezkonkurencyjne. Nie został takim trumfatorem w historii naszego malarstwa Matejko (ile namiętności, ale i kontrowersji wzbudziła znów jego twórczość z okazji poświęconego mu przed dwoma laty, telewizyjnego „Trybunału wyobraźni"), okazał się nim natomiast w historii muzyki Chopin.

I tu być może zaskakujące i pozornie bezsensowne pytanie: której spośród kobiet na świecie należą się laury największej kompozytorki wszechczasów? Ów pozorny bezsens pytania zniknie zapewne ujawniając realną możliwość odpowiedzi, gdy uświadomimy sobie przede wszystkim, jak niewiele kobiet od czasów Safony trudniło się twórczością muzyczną. Komponowała, owszem, nasza Maria Szymanowska; do dziś działa jeszcze w Paryżu — już zresztą raczej jako pedagog — Nadia Boulanger. W każdym razie, dodając nawet jeszcze parę innych nazwisk, otrzymamy i tak listę krótką. A zatem ilościowo konkurencja skromna, przy czym — powiedzmy sobie szczerze — panie te nie osiągnęły szczytów. Trochę to nawet dziwne, biorąc pod uwagę rozpowszechnione u nas poglądy estetyczne, zgodnie z którymi muzyka jest przekazem uczuć. Jeśli tak ma być rzeczywiście, to dlaczego rola niewiast, istot bardziej niż mężczyźni uczuciowych, jest w omawianej dziedzinie twórczości artystycznej tak znikoma? Powracając jednak do tematu — wyobraźmy sobie, że na tak szarym tle eksploduje naraz barwny fajerwerk kompozytorskiego talentu. Grażyna Bacewicz... To o niej właśnie, artystce zmarłej przed dziesięciu laty (również skrzypaczce), wypadnie przecież powiedzieć, że jest najwybitniejszą kompozytorką świata. Wszechstronny dorobek, wspaniała, głęboka wyrazowo, arcyzdyscyplinowana formalnie muzyka, w której z pietyzmem kształtowana jest każda fraza, każde współbrzmienie.

Po co o tym dziś piszę? Ano, niech się nazywa, że dla przypomnienia rzeczy znanych, choć właściwie mógłbym to określić inaczej... Kiedy spotykam się nieraz, jako prelegent, z młodzieżą licealną, bądź też studencką i mam akurat mówić o Grażynie Bacewicz, opanowuje mnie rodzaj zażenowania. Wiadomo: o Marii Dąbrowskiej na przykład, wielkiej polskiej pisarce, słyszało każde dziecko już w szkole podstawowej. Bo też pani nie omieszkała powiedzieć o niej na lekcjach. Tymczasem tutaj sytuacja jest inna. Pojawia się jakiś nieznajomy facet i po krótszym lub dłuższym wstępie obwieszcza rewelację: niejaka Grażyna Bacewicz, artystka urodzona, wychowana i działająca później przez jakiś czas — mało, że w Polsce, w Łodzi! — jest największą kompozytorką świata. A to dopiero!

No cóż, zdziwienie słuchaczy jest poniekąd zrozumiałe. Wynika z ich niedoinformowania i wiąże się, ogólnie biorąc, z trzeciorzędną pozycją tematyki muzycznej w szkolnym, a jak słyszę i uniwersyteckim nauczaniu. Między innymi z brakiem tzw. korelacji. Omawia się na zajęciach Kochanowskiego — milczy nt. psalmów Gomółki do „Psałterza Dawidowego"; czyta się Tetmajera — nie wspomina nawet słowem o pieśniach Karłowicza skomponowanych do jego poezji. Oczywiście pomija się też z zasady zagadnienia współczesnej kultury muzycznej.

Wspomniałem na wstępie mimochodem o eseju Sandauera. Zbigniew Bieńkowski odpowiadając znanemu krytykowi zarzucił mu jednostronny, „wulgarny racjonalizm", ograniczający możliwość pełnego, bo podbudowanego też przeżyciem emocjonalnym, odbioru poezji. Kto wie, czy przypadkiem elementy takiej wąskoracjonalistycznej postawy nie pokutują w naszej edukacji? To mogłoby tłumaczyć fakt, że muzyka — sztuka asemantyczna — spychana jest tam na ogół na margines.

JANUSZ JANYST

Od lewej — Joanna Jaszczura, Jerzy Chojnowski, Bogdan Baer, Bogusław Semotiuk, Anna Grzeszczak i Adam Gwara. *Foto: J. Neugebauer*

Ex-LIBRIS ODGŁOSÓW

CO ZDARZYŁO SIĘ W IRANIE?

Przebieg wypadków rewolucji irańskiej jest nam na ogół znany. Pisały o nim gazety, mówiono o tym w radio i telewizji. Ale dlaczego tak się stało? Jakie były tego przyczyny? Co legło u podstaw irańskiej rewolucji, co zdecydowało o jej takim, a nie innym kształcie? Są to pytania, które zadawali sobie i zadają ludzie interesujący się międzynarodową polityką, sytuacją Środkowego Wschodu. Są to pytania tym bardziej aktualne i potrzebne, że cały współczesny świat interesuje to wszystko, co dzieje się w rejonach naftonośnych, a Iran przecież należy do grona eksporterów ropy naftowej.

Wojciech Giełżyński w książce „Rewolucja w imię Allacha" próbuje dać odpowiedź na postawione wyżej pytania. Pokazuje on w swojej książce różne siły społeczne, które wystąpiły przeciw dyktaturze szacha Rezy Pahlavi, przeciw terrorowi Savak — tajnej policji szacha, przeciw uciskowi bogaczy, którzy solidnie obłowili się przy szachu. Pokazuje on również te siły, które stanęły niejako w obronie irańskiej autentyczności, oryginalności, którym obce było nawiązanie do tradycji starożytnej Persji, a bliższa tradycja muzułmańska. Pokazuje wreszcie irański bazar, mułłów, studentów i inne grupy społeczne, które podzielone poglądami solidarnie walczyły przeciw szachowi.

Szach został obalony, wrócił do Qum ajatollah Chomeini, powołano Republikę Islamską i co dalej? Teraz do głosu doszły różnice poglądów, różnice narodowościowe, klasowe. Rewolucja irańska, dokonana — jak to określa Wojciech Giełżyński — w imię Allacha, znalazła się na ostrym zakręcie. Wybuchło powstanie Kurdów, zaczęto stopniowo odsuwać w cień ugrupowania lewicowe, usunięto z Iranu wielu korespondentów zagranicznych za tendencyjne pokazywanie spraw irańskich, zamknięto liberalne dzienniki. Irański ośrodek dyspozycyjny znajduje się w świętym mieście Qum, ale jeśli rozchodzący się stamtąd głos może decydować w sprawach religijnych, społecznych, politycznych, to Iran posiada jeszcze gospodarkę. Co dalej z irańską gospodarką?

Książka Wojciecha Giełżyńskiego nie daje odpowiedzi na wszystkie pytania, ale chcąc zrozumieć to, co dzieje się w Iranie, trzeba koniecznie ją przeczytać, trzeba przemyśleć sugestie, jakie wysuwa jej autor. Książkę Wojciecha Giełżyńskiego warto przeczytać również i dlatego, że rzuca ona pewne światło na procesy zachodzące w świecie muzułmańskim. A poza wszystkim jest to ciekawa, żywo napisana opowieść o irańskich wydarzeniach.

Wojciech Giełżyński — „Rewolucja w imię Allacha", Książka i Wiedza, Warszawa 1979 r., str. 288, cena zł 30.

WYNALAZKI I ODKRYCIA

Coraz więcej pojawia się słowników i encyklopedii obejmujących jeden tylko zakres wiedzy. Można tu wspomnieć między innymi „Małą encyklopedię zdrowia", „Małą encyklopedię muzyki", „Słownik geograficzny Europy", „Mały słownik cybernetyczny", „Mały słownik pisarzy świata" i tak dalej. Można tylko wspomnieć, gdyż pozycje te dawno wydane można czasem spotkać jedynie w antykwariatach lub na straganach bukinistów. Wydawnictwa wszakże nie powtarzając pozycji już wydanych wypuszczają na rynek coraz to nowsze.

Wśród różnych encyklopedii specjalistycznych pojawiła się ostatnio na półkach księgarskich i prawdopodobnie już zniknęła „Encyklopedia odkryć i wynalazków" wydana przez Wiedzę Powszechną. Jest to pierwsze polskie wydawnictwo tego rodzaju. Obejmuje ona wynalazki z różnych dziedzin techniki, nauki, dotyczących rolnictwa i medycyny. Zebrane podstawowe informacje z historii nauki i techniki ułożono alfabetycznie. Nie ograniczono się wszakże tylko do definicji wiadomości historycznych, hasła rozszerzono także o opis samego wynalazku czy odkrycia oraz o opis zasad ich działania.

Poza tym w encyklopedii znajduje się słowniczek pionierów nauki i techniki.

„Encyklopedia odkryć i wynalazków" — Wiedza Powszechna, Warszawa 1979, str. 479, cena zł 200.

PONAD GRANICAMI

Państwowy Instytut Wydawniczy w „Bibliotece myśli współczesnej" prezentuje polskiemu czytelnikowi książkę Wernera Heisenberga „Ponad granicami". Jest to druga książka niemieckiego fizyka, która dociera do polskiego czytelnika. Pierwszą była „Fizyka a filozofia", która ukazała się u nas w 1965 roku.

Książka „Ponad granicami" przeznaczona jest dla tych wszystkich, którzy interesują się rozwojem nauki i jej wpływem na nasze życie. „Ponad granicami" jest zbiorem artykułów Wernera Heisenberga, w których wybitny fizyk atomowy pragnie znaleźć odpowiedź na kilka nurtujących go pytań. Pytanie pierwsze brzmi: „Dokąd prowadzi nas technika, która od czasu wyzwolenia energii atomowej przelewa się przez wszelkie dawniejsze granice?". A oto inne pytanie, nie mniej istotne jak pierwsze: „Jaka prawdziwość przysługuje twierdzeniom przyrodoznawstwa?".

Werner Heisenberg przedstawia też dorobek naukowy i sylwetki uczonych: Alberta Einsteina, Maxa Plancka, Wolfganga Pauliego, Nielsa Bohra.

Artykuły i szkice Wernera Heisenberga pozwalają lepiej zrozumieć konsekwencje społeczne wynikające z szybkiego rozwoju nauki i techniki i już choćby dlatego warte są wnikliwej lektury.

Szkic o Wernerze Heisenbergu poprzedzający jego artykuły napisał Andrzej Kajetan Wróblewski.

Werner Heisenberg — „Ponad granicami", przekład Krzysztof Wolicki, PIW, Warszawa 1979 r., str. 293, cena zł 35

NA WYSTAWIE · MARIANA JAESCHKEGO

O rany!
Każdy obraz
NAMALOWANY!

Mieczysław M. Szargan

Foto: R. Łucyszyn

LUDZIE I MANEKINY

Groteskę sceniczną „Bal manekinów" napisał Bruno Jasieński w 1931 roku, gdy ekspulsowany z Francji za wystąpienia rewolucyjne wyjechał do Moskwy i uzyskał obywatelstwo Związku Radzieckiego Sztuka, napisana po rosyjsku, przetłumaczona została przez Anatola Sterna, z którym autor przyjaźnił się i współpracował.

Przed wojną „Bal manekinów" wystawiany był w Czechosłowacji, Anglii i Japonii, nie znalazł natomiast drogi na polskie sceny. Prapremiera polska odbyła się dopiero w 1957 roku (w rok po rehabilitacji B. Jasieńskiego, który w 1936 został niesłusznie zasądzony na 15 lat ciężkich robót i zmarł w 1939 roku pod Władywostokiem), w Katowicach w reżyserii Jerzego Jarockiego. Trzy lata temu wydarzeniem teatralnym było ponowne wystawienie „Balu manekinów" w warszawskim Ateneum w reżyserii Janusza Warmińskiego i w oprawie scenograficznej Krzysztofa Pankiewicza.

Obecnie na ekranach telewizorów obejrzeliśmy sztukę Jasieńskiego w tej samej realizacji ze świetną rolą Mariana Kociniaka, w podwójnej roli Manekina nr 41 i deputowanego socjaldemokratycznego Ribande. Spektakl poprzedziło słowo wstępne Krzysztofa Teodora Toeplitza, dość ostrożne w rekomendacji „Balu manekinów". KTT podkreślał wprawdzie, że spektakl nie ma charakteru muzealnego, choć futuryzm, któremu hołdował Jasieński, utracił cechy epatujące i bulwersujące publiczność.

Futuryzm spełnił swoją historyczną rolę, gdy głównie w latach dwudziestych naszego wieku atakował zastoiny tradycyjnej sztuki mieszczańskiej XIX w. Kompromitacja przeżywających się form artystycznych odbywała się w atmosferze skandalu. Nie kto inny, jak właśnie Jasieński był współautorem tomiku poetyckiego „Nuż w brzuchu", który już samą ortografią wywołał znaczne poruszenie. Wiemy również, że futuryści poprzez protest w dziedzinie sztuki dochodzili do różnych postaw ideowych w stosunku do istniejących struktur społecznych. Jedni, jak Jasieński, czy Majakowski, stanęli po stronie walczącego proletariatu, inni, jak Marinetti, stali się apologetami faszyzmu.

Tak, ale to już historia, a przedstawienie Janusza Warmińskiego nie ma istotnie cech otrzepywania z kurzu pozycji archiwalnej. W jego interpretacji i poprzez z lekka tylko aluzyjną wobec futuryzmu scenografię Pankiewicza, jawił się nam „Bal manekinów", jako widowisko na wskroś współczesne, a tekst Jasieńskiego, ani na moment nie sprawiał wrażenia zleżałego czy anachronicznego.

Sam pomysł Jasieńskiego ożywienia krawieckich manekinów i zderzenia ich z żywymi ludźmi uznać dziś jeszcze należy za świetny. Czymże bowiem jest manekin? Kukłą człekokształtną, czy człekopodobną, która zręczne ręce krawców i modystek przyoblekają w proponowane do sprzedaży kreacje konfekcyjne. Ta martwa figura może, zdaniem Jasieńskiego, wykazać czasem wyższość nad człowiekiem, obnażyć jego nicość moralną.

Jasieńskiemu ożywienie manekinów służyć miało do kompromitacji wielkiej burżuazji francuskiej i przy okazji socjaldemokratycznych polityków. W dzisiejszym odbiorze tej sztuki taka interpretacja byłaby chyba zbyt mało pojemna. Czy świat intryg, bezwzględnej walki o awans kosztem innych, nieprzebieranie w środkach, jakimi toczy się tę walkę, czy te wszystkie deformacje w stosunkach między ludźmi typowe są tylko dla burżuazji? Ludzkość, wiemy to już z całą pewnością, nie dzieli się na odłamy czarne i białe. To byłby uproszczony obraz świata. Problemy moralne i etyczne nie rodzą się wyłącznie na styku antagonistycznych klas.

Gdy więc istotnie przebrzmiałe już nieco i wyblakłe realia sztuki Jasieńskiego bardziej zgeneralizujemy, sztuka w zamiarze autora agitacyjna zmienia się w swoisty moralitet, w którym manekiny tworzą jakby układ odniesień dla relacji między ludźmi. Groteskowy charakter sztuki został przez Warmińskiego zachowany. Ani więc ożywiony na zasadzie filmu kukiełkowego świat manekinów, ani karykaturalne przerysowania świata ludzi nie są czymś rażącym. Przyjmuje się to wszystko, akceptując en bloc konwencję przedstawienia.

Niezmiernie trudne zadanie aktorskie miał do spełnienia Marian Kociniak, który w widowisku gra właściwie trzy role: manekina, człowieka i manekina z ludzką głową. Każda z tych ról wymaga innych zachowań, co aktorowi udaje się znakomicie.

Z innych wykonawców w trudniejszej i mniej wdzięcznej sytuacji byli ci, którzy — jak na przykład Krystyna Janda — grali wyłącznie manekiny. Ograniczyć się musieli do technicznego opanowania ruchów naśladujących postaci z teatrzyku lub filmu lalkowego. Świetne natomiast role w tym spektaklu mają do odnotowania: Ignacy Machowski (Arnaux), Piotr Pawłowski (Levasin), Jerzy Kaliszewski (Devignard) i przekomiczni w rolach delegatów związkowych, Bogusz Bilewski i Henryk Talar.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

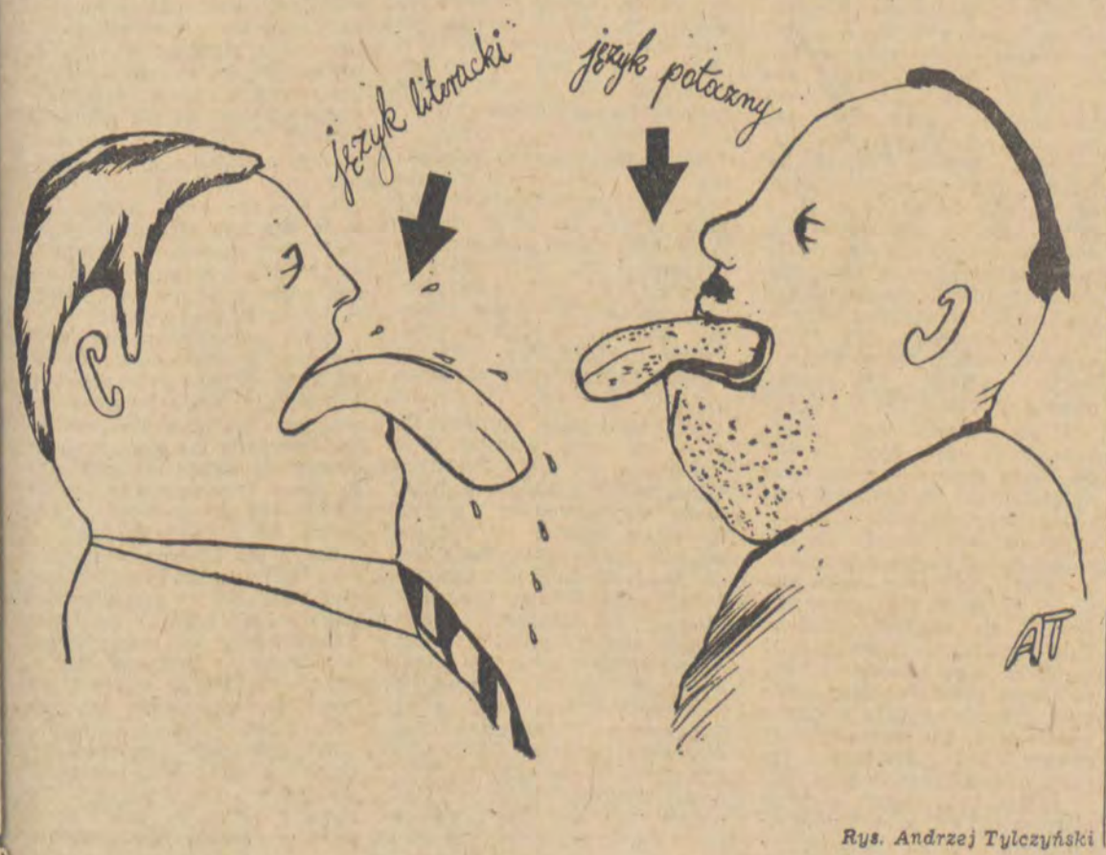

Rys. Andrzej Tylczyński

POWROTY

Czy warto przerzucić most
na brzeg którego nikt prócz
nas nie widzi?
(J. Koprowski „Powroty")

Jan Koprowski należy do tych pisarzy, którzy swego literackiego powołania nie ograniczają do siedzenia za biurkiem, przy którym powstają coraz to nowsze książki. Pisarstwu towarzyszy w tym przypadku aktywność organizatora życia literackiego i funkcjonariusza Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. I tak od lat. Dziś Koprowski pełni funkcję sekretarza wspomnianego zarządu i jest zastępcą redaktora naczelnego „Literatury", ale podobnie układało się jego życie, gdy mieszkał w Łodzi — tu prowadził kolejno „Łódź Literacką", „Kronikę", „Odgłosy", przewodniczył zarządowi oddziału ZLP. Jednocześnie — od dawna — odbywa liczne podróże literackie. Przy tym wszystkim pisanie jest dlań sprawą pierwszej wagi. Że nie jest to z mojej strony tylko gołosłowne stwierdzenie — świadczą tytuły publikowanych niemal corocznie książek. W tym roku — i to jednocześnie — ukazały się dwie: Wydawnictwo Łódzkie opublikowało zbiór szkiców i felietonów pt.: „Jak nas widzą, jak nas piszą", zaś „Czytelnik" wydał zbiór wierszy „Na wodzie pisane".

Autor „Potomków Tespisa" (głośnej swego czasu „skandalizującej" powieści) jest twórcą wszechstronnym: uprawia prozę, poezję, pisuje eseje, prowadzi stały felieton w „Literaturze" zatytułowany „U nas i gdzie indziej", przekłada z różnych literatur, głównie jednak z niemieckiego obszaru językowego. Gdy spojrzymy na jego dorobek — to okaże się, że wszystkie te dyscypliny zajmują go w zadziwiająco równomiernym stopniu.

Może przydługi to nieco wstęp jak na recenzję świeżo wydanego tomiku poetyckiego, lecz — jak sądzę — garść owych informacji o autorze z pewnością ułatwić może lekturę „Na wodzie pisanego". Zresztą słowo ułatwi nie jest w tym miejscu najfortunniejsze, odbioru poezji Jana Koprowskiego ułatwiać bowiem nie trzeba. Jest to jeden z nielicznych współczesnych poetów, który hołduje poetyckiej prostocie, nie udziwnia swych wierszy, nie wprowadza eksperymentatorskich „wybryków" formalnych, nie ma zamiaru czynić z utworu poetyckiego traktatu naukowego czy filozoficznego.

Poezję Koprowskiego cechuje liryzm i refleksyjność. Potrafi on cieszyć się światem i dumać nad nieuchronnością przemijania. Coraz częściej powraca doń przeszłość: jako wspomnienie, jako sen, a nawet jako jawa. Nie ma tu jednak nostalgii — jest rzeczowość, jak w puencie wiersza „Czytanie książek", która to puenta staje się myślą przewodnią znacznej części tomiku:

Czas który był moim
przyjacielem
przeszedł do obozu moich
wrogów.

Lektury, podróże, doświadczenia codzienne, radości i smutki życia rodzinnego (przedwczesna śmierć zmarłego przed rokiem syna), wspomnienia szkolnych kolegów i przyjaciół po piórze, historia i teraźniejszość naszego kraju — to najczęstsze motywy wierszy Jana Koprowskiego. Przebija z nich doświadczenie, z którego wypływa pogodny, pełen zrozumienia stosunek do świata. Zrozumienia czy raczej wyrozumiałości? Bo oto w tej klarownej myślowo i warsztatowo poezji jawią się wątpliwości:

Czy świat się zmienia
czy my się zmieniamy
czy to jawa prawdziwa
czy sen nierzeczywisty?
Trudno objaśnić
czego objaśnić niepodobna.

Interesującym (i nie tak znowu często wśród naszych poetów spotykanym) zjawiskiem są wiersze z podróży. Zwracam na nie uwagę, bo stanowią wyraźne pendant do książki, o której już była mowa, mianowicie „Jak nas widzą, jak nas piszą". Wszystko to, co tam ma postać szkicu, felietonu czy sprawozdania z literackiej podróży, tu przybrało kształt poetyckiego wzruszenia. Bardziej wnikliwych czytelników zachęcam do porównań. Warto!

Osobną wreszcie grupę stanowią przekłady poezji Grigorija Kanowicza, Georga Trakla, Floriana Kokota, Petera Paula Schweitzera, Rolfa Hörlera i Hansa Sahla. W przekładach tych zdecydowanie wyodrębniają się motywy polskie, pełne dostojeństwa i powagi. Schweitzer na przykład pisze:

Po tym kraju
nie mogę wędrować jak po
każdym innym (...)
Po tym kraju
mogę tylko wędrować boso
i w wielkiej ciszy.

W dedykowanym małżonce wierszu poeta stwierdza: „Jest tylko wczoraj i jutro, nie ma dziś". Dewizie tej pozostaje wierny. Z rzadka jednak wybiega w przyszłość, zdecydowana większość utworów to po prostu powroty do rzeczy i spraw minionych, to pisanie poetyckich listów, które mają wszelkie szanse być odesłane z adnotacją: adresat nie znany. Czym bo jest przeszłość, ta osobista, najintymniejsza? Czy nie owym dalekim brzegiem, przez innych niedostrzeganym?

Tworzeniem, budowaniem mostów błękitnych nazwał kiedyś literaturę Karol Irzykowski. I Koprowski w pewnym sensie czerpie z tego. Stara się — mimo niemożności — budować most zrozumienia, most łączący życie i literaturę.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Jan Koprowski, „Na wodzie pisane", Czytelnik, Warszawa 1979, nakład 5280 egz., str. 90, cena zł 20.—

W ZWARCIU

„KLINCZ" Piotra Andrejewa, to jeden z debiutów fabularnych tak gorąco dyskutowanych na koszalińskim i gdańskim festiwalu.

Tym wszystkim, którym, jeśli nie są kibicami boksu, rozszyfrowanie tytułu przed obejrzeniem filmu Piotra Andrejewa sprawiać może kłopot, należy się wyjaśnienie. „Klincz" to niedozwolone, uniemożliwiające zadawanie ciosów, wzajemne przetrzymywanie się bokserów w zwarciu. Tytułowy „klincz" ma oczywiście w przedstawionym tu filmie wymowę metaforyczną, bo choć jego akcja toczy się w środowisku bokserskim, ambicja twórców, jak się wydaje, wyprowadza film w szersze rejony życia społecznego i staje się on jeszcze jednym głosem na temat postaw życiowych i towarzyszących im determinacji.

Zacznijmy jednak od tego, że jest „Klincz" przede wszystkim filmem o boksie. Temat boksu w dziejach kina mógłby się już stać przedmiotem małej monografii, należy bowiem do stałych, ciągle powracających na ekrany motywów. I nie tylko dlatego, że walka bokserska rządząc się swą pozornie schematyczną dramaturgią, jest pełna niespodzianek, że w czasie jej trwania rodzi się napięcie wprowadzające w stan niezwykłej ekstazy widownię, co staje się dla kamery bardzo atrakcyjnym materiałem. Jednocześnie bowiem temat boksu zawsze był dla kina intrygujący, głównie ze względu na okoliczności towarzyszące temu, co jest spotkaniem w ringu. Bo w gruncie rzeczy to, co „w ringu", jest tylko przerywnikiem bądź finałem tego, co analizuje się naprawdę, a są tym kulisy.

„Kulisy ringu", taki tytuł nosił nawet kiedyś amerykański film, bodaj z Kirkiem Douglasem w roli głównej. To, jeśli sięgać do najnowszych przykładów, było tematem „Rocky'ego", tym zajmował się kiedyś Julian Dziedzina realizując swojego „Boksera", to także w pierwszym rzędzie zajmuje scenarzystę „Klinczu", Filipa Bajona i reżysera Piotra Andrejewa.

Zamknięty świat boksu (zawodnicy oraz, choć różnie ich nazywamy, na jedno w końcu wychodzi, działacze, menadżerowie, biznesmeni) przynosi modelową sytuację, w ramach której można w sposób stosunkowo prosty odnaleźć przykłady na to, jak ideały rozmijają się z rzeczywistością, jak łatwo stać się obiektem manipulacji, wobec których jest się bezradnym, których się czasem nawet nie rozumie, jak trudno zachować godność i wiarę w szlachetność sportowej walki.

W ogólnej, jak sądzę, świadomości, boks, to nie tylko zawodowy, uchylając swe kulisy, był pierwszą dyscypliną, która zachwiała tym przekonaniem o cechach i funkcjach sportu, które bezskutecznie próbuje jeszcze głosić ostatni rycerz, czyli Bohdan Tomaszewski. Miała na to zapewne wpływ także brutalność tej sportowej dyscypliny, której złagodzić nie mogą ostatni rycerze ringu. Gdy wybiera się zatem boks jako temat, wobec którego aspiracje sięgają jednak wyżej i szerzej, czyli dążą do pewnych uogólnień, podejmuje się ryzyko uproszczenia. Jeśli natomiast uznamy, że film Piotra Andrejewa jest jedynie filmem o boksie, to wyznam, że w obliczu tego, co o boksie, choćby tylko z kina, wiem, że w obliczu tego, co o piłce nożnej, choćby tylko z prasy, wiem, „Klincz" do wiedzy mej nie wnosi nic nowego. Nie porusza mnie też moralnie, skoro uchylono już publicznie tyle ciemnych kulis „amatorskiego" sportu i nic z tego nie wynika.

Tym, co mogło zrobić wrażenie, był w tym filmie osobisty dramat Jurka Olejniczaka-Oleja, ostatniego sprawiedliwego na ringu. Czemu się tak w pełni nie stało, nie wiem. Może w postaci tej, mimo walorów gry amatora-aktora, Tomasza Lengrena, zbyt mało prawdy psychologicznej. Może w prowadzeniu jego losów zbyt wiele sytuacji stereotypowych, ograny ch, których ilustracją może być choćby splecenie historii Oleja z życiem starego boksera, Pałki oraz wątek miłosny, prowadzony bez żadnej motywacji. Gdy podam inne przykłady, mogę spotkać się z zarzutem, że to przecież jak w życiu, jak w sporcie, a więc trudno mieć o to pretensje, boć przecież to film współczesny.

Nie wiem, czy obronię się przed tym zarzutem, gdy uznam, że owo „jak w życiu", czyli stereotypowo, stoi w pełnej sprzeczności z formułą estetyczną tego filmu, która dalece odbiega od realistycznej konwencji obrazowej. Piotr Andrejew, we współpracy operatorskiej z Jackiem Mierosławskim i Zbigniewem Wichłaczem, zaoferował film, w którym pedał wizualnej ekspresji nie znajduje ni chwili uwolnienia. Efektowne to, i kilkakrotnie zachowujące także swój funkcjonalny walor znaczeniowy i estetyczny, odnaleźć go można na przykład w scenach walk ringowych i w „amerykańskiej sekwencji". Utrzymanie tych obrazowych jakości stylistycznych, choć na ogół konsekwentne, nadaje jednak, w mym odczuciu, filmowi temu pewną ciężkość, a nawet pretensjonalność. To, co sprawdzało się w małych formach twórczości Piotra Andrejewa, tu traci swe walory. Gwoli sprawiedliwości, bo przecież recenzent nie ma prawa narzucać swych gustów, wyznam jednak, że nie lubię w kinie tego typu ostrej ekspresji, męczy ona w czasie półtoragodzinnego seansu. Być może jednak znajdzie ona swych zwolenników i entuzjastów, czego serdecznie życzę autorowi „Klinczu", którego wcześniejszą twórczość wysoko sobie cenię. A poza tym — może kobiety nie powinny mówić o boksie?

EWA NURCZYŃSKA

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

ZIELONO MI...

Jeszcze mi zielono. Jeszcze mam przed oczami zielony prostokąt boiska, jaskrawy, oświetlony tysiącem dwustu luxów i ciemniejszy, bo skryte pod dachem nie mniej zielone trybuny. A na nich 40 tysięcy kibiców. Zielone flagi, transparenty, zielone czapki, czapeczki, kapelusze, chustki, szaliki, apaszki, kokardy, krawaty. Zielone swetry, koszule, wdzianka, marynarki, bluzki. Zielone spódnice, spodnie, pończochy, podkolanówki, buciki, a nawet zielone peruki noszone nie tylko przez kobiety, ale i przez mężczyzn. Każdy, kto tu przychodzi, musi mieć na sobie coś zielonego, musi „grać w zielone", bo oznacza, że kocha „zielonych" i życzy im zwycięstwa. Wszystkie te odznaki i oznaki miłości można kupić w „Boutique les verts" — w Zielonym Sklepiku, pawilonie prowadzonym przez klub po przeciwległej stronie ulicy de la Tour, przy której zbudowany jest stadion.

Jeszcze w uszach mam ten nieustający krzyk, tumult, doping, który — gdy trochę cichnie, słabnie — wzmacniany jest wrzawą stadionu, efektem nagranym na magnetofonowej taśmie i odtwarzanym przez głośniki. Ten nieustający, zagłuszający wszystko dźwięk, zachęca i prowokuje do krzyku, jak łomot przejeżdżającego przez tunel pociągu. Dlatego ten doping wciąga nawet najbardziej chłodnych, opanowanych. Trzeba być tam, na miejscu, w tym kotle wymieszanych, wzajemnie nakładających się na siebie dźwięków, by zrozumieć i zapamiętać na zawsze niepowtarzalną atmosferę „zielonego piekła". Chorzowski stadion i jego ekspresja akustyczna, w porównaniu ze Stadionem Geoffroy Guichard, jest podobny do szemrzącego strumyka, którego siłę decybeli chcemy porównać z grzmotem wodospadu Niagara. Trochę przesadziłem, ale nie za wiele.

Jeszcze słyszę ten ryk kibiców, gdy „zieloni" wbiegają na stadion, eksplozję radości po strzeleniu bramki i ten skandowany okrzyk „Allez les verts" — naprzód „zieloni"! Allez! Allez! Allez!

Jeszcze słyszę, nawet potrafię zanucić piosenkę „Allez les verts", która niesie się po stadionie na ładnych kilka godzin przed rozpoczęciem meczu i obowiązkowo w jego przerwie. Ładna, rytmiczna melodia, wpadająca w ucho, łatwa do nauczenia. Ten hymn kibiców nagrał zespół „Les Supporters" na małej czterdziestce piątce. Płytkę, która okładkę ma oczywiście zieloną, można nabyć w „Boutique les verts".

Pora wyjaśnić, skąd się wziął kolor zielony jako barwa klubu A. S. Saint-Etienne, skąd wzięło się „zielone szaleństwo". Wszystko się kiedyś zaczynało, a więc pięć zdań o historii. W mieście, w latach dwudziestych, działały dwa kluby: uniwersytecki o nazwie „Stefańczycy" (A. S. Stéphanoise) i założony w 1920 roku A. S. Casino. Te dwa kluby zjednoczył w jeden o nazwie Association Sportive de Saint-Etienne pan Geoffroy Guichard, który był jednocześnie pierwszym prezesem tego klubu. On też, w 1933 roku, postanowił, że A.S.S.E. będzie miało drużynę zawodowych piłkarzy. Taki zespół trzeba finansować. Oczywiście głównym sponsorem był p. Guichard, który prowadził nieźle prosperujący sklep warzywniczy. A że w sklepie sprzedawano zieleninę, nazywano piłkarzy utrzymywanych ze sprzedaży warzyw „les verts". Pan Geoffroy Guichard uznał to za znakomitą reklamę swoich straganów i sklepów, które dzięki temu szybko się rozmnożyły i przyjął kolor zielony za kolor klubu, a przezwisko zamienił na uznaną, potoczną, sympatyczną nazwę drużyny. Wdzięczni kibice, a raczej następni prezesi, upamiętnili twórcę klubu pomnikiem, który stoi w obszernym hallu, tuż przy centralnym wejściu na Stadion A.S.S.E. nazwany imieniem Geoffroy'a Guicharda.

Na tym stadionie piłkarze Widzewa mają rozegrać w pucharową środę rewanżowy mecz z A.S.S.E. Z tego stadionu i z tego spotkania mam zrobić bezpośrednie sprawozdanie w I programie Polskiego Radia. Dlatego lecę do Saint-Etienne z drużyną. Odlot z Okęcia do Paryża opóźniony. Godzina a może i dwie czekania. Piłkarze kupują karty. Dla zabicia czasu będą grać w kierki. Boniek, Burzyński, Rozborski, Tłokiński, siadają do stolika. Kibicują im koledzy z drużyny. Redaktor Bogusław Kukuć z Głosu Robotniczego tasuje, a następnie rozdaje za piłkarzy karty, układając je w oddzielne dla każdego z grających kupki, tak że po skończonej grze, bez sekundy przerwy, można rozpocząć następną partię. Piłkarze licytują, grają, dziennikarz za nich tasuje karty, rozdaje, układa, więc rozgrywka postępuje niezwykle szybko. Zaproszenie na pokład samolotu PLL „Lot" przerywa rozpoczętą partię. Zakończy się ona dopiero przed lądowaniem w Paryżu.

W samolocie nerwowe chwile przeżywa Andrzej Grębosz. Jest przerażony. Bezskutecznie szuka po wszystkich kieszeniach kartki, na której żona wypisała mu firmę i numer biustonosza, który ma jej przywieźć. Miał być ten a nie inny. Kartki nie ma. Wiem już co będzie w domu — martwi się Grębosz, a koledzy żartują, że przecież jest wiele jeszcze innych przyjemniejszych metod kupowania staników niż z pomocą kartki. Tłokiński, podobnie jak i ja, ma przykazane przywieźć szminkę „lip gloss", która jest w szklanej buteleczce z pędzelkiem do rozprowadzania po wargach kolorowego mazidła. Znalazłem coś takiego, tylko nie w tym kolorze, co trzeba. Tłokiński zamówionej przez żonę szminki nie kupił. Nie wiem, kto lepiej zrobił.

Do hotelu „Frantel" przy rue de Wuppertal, w południowej dzielnicy miąsta, przyjeżdżamy zmęczeni i spóźnieni. W eleganckim hallu poukładane na papierowych tackach leżą różne gatunki grzybów. Rozróżniam różne rodzaje muchomorów i tzw. psich grzybów. Recepcjonistka tłumaczy mi, że jest to wystawa grzygów trujących. Właśnie teraz w lasach jest sporo grzybów i to właśnie głównie niejadalnych, więc, by przestrzec lekkomyślnych zbieraczy urządzono ekspozycję. Papierowe tacki, a obok nich odręcznie zrobione na niewielkich kartkach niewprawną ręką napisy, kontrastują z wyszukanym wnętrzem. Ktoś żartuje, że jest to próba podtrucia piłkarzy. Wiadomo, przyjadą głodni. A nuż któryś się skusi.

Piłkarze jadą na górę do swoich pokoi, mnie zaś zabiera Simonian, szef działu sportowego miejscowej gazety „La Tribune de progres". Jestem jego gościem i nocleg oraz wyżywienie załatwił mi na mieście, nie zaś w luksusowym hotelu z piłkarzami. Jedziemy coś zjeść do restauracji „Glasgow". Lokal otwierano akurat w czasie, gdy drużyna A. S. Saint-Etienne grała właśnie w Glasgow finałowy mecz o Puchar Europy z Bayern Monachium. Przedsiębiorczy właściciel wpadł na pomysł, by nową restaurację nazwać „Glasgow". Nazwa przyjęła się, każdy bowiem w dniu meczu chciał być z „zielonymi" w Glasgow i od tego dnia w lokalu tym spotykają się kibice i piłkarze. Na ścianie wisi plakat. Jedenastka A.S.S.E. Platini, Rep, Zimako, Lopez, Santini, Curkovic i inni... Simonian przedstawia mi Beretę. Powinieneś z nim porozmawiać. Znakomity piłkarz. Ponad czterdzieści razy grał w reprezentacji Francji, grał w A.S.S.E. przeciw Legii, a poza tym, rzecz najważniejsza, mówi po polsku.

Georg Bereta to po prostu Jerzyk Bereta, syn Franciszka i Franciszki Beretów, którzy przyjechali do Francji w latach trzydziestych z podkrakowskiej wsi. Ojciec przyjechał pierwszy w 1930 roku, matka trzy lata później.

— A skąd takie nietypowe nazwisko? — pytam.

— Ojciec mówił, że gdy przez Polskę przechodziła armia Napoleona, w tej armii byli Włosi i jeden z nich po prostu zakochał się i został pod Krakowem.

Georg zaczął grać w piłkę, już tak naprawdę z myślą o tym, że zostanie piłkarzem, gdy miał 14 lat. Mieszkali wtedy opodal Stadionu A.S.S.E. na rue de Molina 21. Ojciec był metalowcem, matka nie pracowała, wychowywała siedmioro dzieci. Jerzyk ma jeszcze pięć sióstr i jednego brata. Janek — jest elektrykiem. Janeczka jest sekretarką w fabryce produkującej rowery i fuzje myśliwskie, Tereska — pracuje w biurze, Irenka, mieszkająca w Nimes, podobnie jak i Monika — pracuje w sklepie spożywczym, zaś Madzia mieszka w Saint Tropez i pracuje tylko dorywczo.

Sam Georg Bereta jest przedstawicielem firmy „Adidas". Ma żonę Liliankę i dwie córeczki, Dziewięcioletnią Natalię i ośmioletnią Zosię.

Z piłka nożna nie zerwał. Skądże! Gra w drużynie Roanne w IV lidze, czyli w naszej A-klasie. Ale nie gra już dla pieniędzy, tylko dla przyjemności, by zachować dobrą kondycję i nie zapomnieć, jak się strzela bramki. A strzelił ich w reprezentacji Francji sporo. Najcenniejsza to ta w meczu wygranym z reprezentacją Związku Radzieckiego 1:0. Najlepszy mecz? To chyba w barwach Saint-Etienne, rewanżowy mecz z Hajdukiem Split. Pierwsze spotkanie wygrali Jugosłowianie 4:1, by przegrać rewanż z „zielonymi" 1:5. Bereta strzelił wtedy tę jedną, ostatnią bramkę, która dała jego drużynie awans do dalszych gier w Pucharze Europy.

Pierwszy raz w reprezentacji Francji zagrał w 1970 r., kiedy to trener Dugaugez powołał go na mecz z Luxemburgiem. Ostatnie spotkanie w reprezentacji grał siedem lat później w towarzyskim meczu z Portugalią. W Polsce grał trzy razy. Raz w A.S.S.E. w pucharowym meczu z Legią i dwa razy w reprezentacji „tricolores" w Warszawie i Krakowie. Występował także w teamie Europy, w 1974 roku w Anglii. Grał wtedy obok takich zawodników jak Cruyff, Backenbauer, Trezor.

Te czasy są już tylko wspomnieniem. Teraz Bereta ma 34 lata, ma dwupiętrowy domek, a w nim osiem już urządzonych pokoi i ogródek. Wszystko w dzielnicy L'Etrat. Opiekuje się rodzicami, z którymi spędzał wspólne wakacje. Dziś nawet ojciec przyszedł do niego pokopać w ogródku.

Simonian musi jechać do redakcji. Umawiam się z Beretą przed meczem.

W redakcji czekają już na Simoniana zdjęcia z przyjazdu łódzkich piłkarzy do hotelu Frantel. Identyfikuję polskich zawodników. Dyktuję podpisy pod każde zdjęcie. Następnie wspólnie ustalamy, które dać na pierwszą, a które na dalsze strony. Jest już 20. W tym czasie w redakcji „La Tribune le progres" jest największy ruch, największy tłok. Reporterzy siedzą przy maszynach, piszą, znoszą z miasta jeszcze ciepłe materiały. Tak będzie do 24, a nawet do pierwszej w nocy. Przyglądam prasę, szukając opinii przed meczem Widzewa. Nie muszę szukać. Całe kolumny, strony, rozkładówki poświęcone Saint-Etienne. Fotoreportaże z treningu, efektowne fotomontaże. Najwięcej o Platinim, Lopezie, i Repie. Rep strzela, Rep z żoną, Rep w samochodzie, Rep ubrany, rozebrany, niechlujny i elegancki.

Simonian przynosi mi ostatni numer A.S.S.E. Actualites. Jest to kolorowa gazeta-program wydawana przed każdym meczem. Na 24 stronicach formatu A-4 mogę znaleźć wszystko o Łodzi i o Widzewie. Każdą stronę rozpoczyna (zielona oczywiście) winieta Mapa Europy z zaznaczonymi na niej czarnymi punktami, gdzie znajdują się Saint-Etienne i Łódź. Łódź, niestety, umieszczona jest w okolicach Tallina. Na 8 stronie „LODZ STORY". Fotoreportaż o Łodzi uzupełniony komentarzem. Zdjęcie cerkwi przy zbiegu ulic Kilińskiego i Narutowicza, robione z okna hotelu „Centrum", ulica Piotrkowska, na pierwszym planie dom „pod Góralem", plac Wolności i przejeżdżające po nim tramwaje, witraż w Galerii Sztuki przy ul. Wólczańskiej 31, kościół akademicki przy ul. Sienkiewicza oraz podwórko przy ulicy Narutowicza, na którym z wozu konnego umorusani ludzie rozładowują węgiel. To ostatnie zdjęcie panuje nad pozostałymi i przyznam się, że zrobiło mi się przykro, że przez pryzmat wozu konnego patrzy się na nasze miasto. A cóż się pisze o nim... Przychylnie, z sympatią, choć znów dziennikarz dziwi się, że wozy konne rozwożą węgiel i ziemniaki, i że w tramwajach można spotkać siedzenia wykonane z drewna. Ze francuskiego żurnalistę dziwią konie na ulicach miasta — to jeszcze mogę zrozumieć, ale że mamy zamiast plastikowych drewniane ławki? Toż to nie gdzie indziej, jak w Saint-Etienne, w samym centrum, w luksusowym sklepie na wystawie, obok innych toczonych w drewnie rzeczy, drewniane deski sedesowe w cenie 245 franków sztuka, czyli ponad 60 dolarów. Taka cena, to cena towarów luksusowych! Więc...

W innym miejscu porównanie. Do Warszawy piłkarze A.S.S.E. pokonali 3 tysiące kilometrów, lecąc przez Lyon, Genewę, Zurych, Stuttgart, Norymbergę, Pragę. Podróż trwała 2 godziny 10 minut. Tyle samo — pisze francuski żurnalista — trwała podróż po ziemi z Warszawy do Łodzi. Tylko 130 kilometrów. Jak się podobała droga, pyta dziennikarz trenera Herbina. Była pełna poezji — odpowiada trener.

Jechałem w jednym autokarze z Warszawy do Łodzi z piłkarzami A.S.S.E. Nagrywałem w czasie jazdy reportaż o „zielonych". Rozmawiałem z Repem, Platinim, Curkovicem, tylko z trenerem Robertem Herbinem nie mogłem rozmawiać, bo po prostu przez całą drogę spał. Dlatego postanowiłem koniecznie w przededniu meczu, będąc w Saint-Etienne, uzyskać audiencję, to będzie właściwe słowo, u Roberta Herbina.

Zawodnicy A.S.S.E. zakończyli trening. Obserwujący ostatnie ćwiczenia „zielonych" dziennikarze francuscy szli do gabinetu trenera. Trener ma swój pokój, gabinet z biurkiem, szafą, fotelikami. Herbin powitał nas nago. Właśnie się przebierał po treningu, więc może, zakładając majtki, odpowiadać na pytania. Zaszokowany widokiem, chcę się wycofać, ale ponieważ żaden z kolegów dziennikarzy nie przejmuje się rudowłosą nagością trenera, zostaję. Trener podaje skład zespołu, mówi, że jest pewny wygranej, że wprawdzie Widzew to trudny przeciwnik, ale Saint-Etienne wygra z Polakami między innymi i dlatego, że A.S.S.E. ma błogosławieństwo od papieża Jana Pawła II, a Polacy nie. Tu wskazał na wiszący na ścianie odnośny dokument ze zdjęciem i podpisem. Co powiedziawszy poprawił garcie i zaczął podpisywać zdjęcia. W tym momencie, jak chyba nigdy, chciałem, żeby Widzew dołożył A.S.S.E. By wygrał. Strzelił z pięć goli.

W dniu meczu prasa znowu pełna była zdjęć idoli A.S.S.E. Są także dokładne mapy tras dojazdowych na stadion i odrębne mapy, na których zaznaczono, w jaki sposób będzie rozładowany ruch po meczu.

Od 10 rano (mecz rozpoczyna się o godzinie 20.30) dyżuruje przed i na stadionie policja. Pełnią służbę porządkowi. O 11 zjawiają się pierwsi kibice, otwierają podwoje sklepy, sklepiki, różnego rodzaju kramy z napojami i jedzeniem. Od 12 czynny jest „Boutique les verts". Obok niego za dość sporą opłatą każdy może w przeciągu pięciu minut stać się właścicielem koszulki z własną podobizną i przez siebie wybranym napisem. Specjalna kamera przekazuje obraz twarzy przyszłego posiadacza koszulki na papier, na którym odbija się wizerunek. Nie jest to wprawdzie tak wierny obraz jak na fotografii, bowiem wizerunek składa się z tysięcy kropek, jakby rysunek namalował komputer, ale jest on wyraźny, czytelny. Teraz trzeba tę „fotografię" wyciąć, dołożyć do niej odpowiedni napis, np. gdyby o mnie chodziło, mógłbym sobie zażyczyć napis: „Zbigniew Wojciechowski, mistrz świata w przyrządzaniu galaretek owocowych", „Z.W. — bojownik walki o program radiowy", lub „Klub miłośników Zbigniewa Wojciechowskiego". Mógłbym też pod swoją podobizną umieścić anons, że poszukuje mnie milicja i za schwytanie faceta ze zdjęcia wyznaczona jest nagroda w złotówkach lub bonach Pewexu. Właściwie mógłbym wydrukować wszystko, co mi wpadnie do głowy. Gdy tekst jest ustalony, przenosi się podobiznę i napis na białą koszulkę bawełnianą. Specjalna maszyna do prasowania trzyma wszystko w odpowiedniej temperaturze, potem wystarczy zdjąć tylko papierową matrycę i unikalny ubiór gotowy.

Wokół producenta koszulek spory tłum klientów. Przeważa młodzież. Z przykrością stwierdzam, że wybierają napisy stereotypowe, mało dowcipne: „Kibic Saint-Etienne", „Dobry uczeń". Jedna tylko dziewczyna, wysmukła, ubrana w modne obcisłe spodnie z dzianiny, pod swoim, ładnym zresztą, wizerunkiem, napisała krótko: „Ivette — tel. 33-22-83", co natychmiast kilku stojących obok mnie mężczyzn zapisało w swoich notesach.

Na stadion piłkarze jadą autokarem, prowadzeni przez trójkę policjantów jadących na motocyklach. Im bliżej rue de la Tour, im bliżej stadionu, tym większe korki, tym większy tłum pieszych. Kibice przyjaźnie pozdrawiają łódzkich piłkarzy. Nie ma w nich zawiści, chamstwa. Nikt nie wygraża pięścią, nie robi niepotrzebnych gestów.

Na miejscach prasowych, gdzie ma być zainstalowane stanowisko reportera Polskiego Radia, melduję się na godzinę przed rozpoczęciem meczu. Spotykam znanych mi z Łodzi kolegów sprawozdawców z Radia Monte-Carlo, Radia Luxemburg, Radio France, Europa I. Wszyscy już sprawdzają połączenia, siedzą przed swoimi mikrofonami i spokojnie przygotowują się do rozpoczęcia transmisji. Pytam się, gdzie jest stanowisko Polskiego Radia. Nikt nie wie. Jest Radio Szwajcarskie, ale gdzie ma pracować sprawozdawca z Polski, o tym nikt nie wie. A czy w ogóle ma być jakieś połączenie z Polską? Wyciągam teleks z Biura Współpracy z Zagranicą, na którym Francuzi potwierdzili kable w godzinach 19.50—22 oraz ekipę techniczną, która przygotuje łączenie i będzie czekać z potrzebnym sprzętem. Co robić? Zwracam się o pomoc do sprawozdawcy RT Luxemburg. Przychodzą jacyś ludzie, wyciągają jakieś druty, patrzą, sprawdzają i bezradnie rozkładają ręce. Co będzie, jak nie dostanę połączenia? Mecz początkowo miał się rozpocząć o 20.00. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że Widzew gra o 20.30. Czas w programie Polskiego Radia, przeznaczony na transmisję, jest od 20.40 do 21.50. A tymczasem mecz zakończy się o 22.15. Czy Warszawa już o tym wie? Próbuję połączyć się telefonicznie z Warszawą. Jest przecież połączenie automatyczne. Telefony zajęte. Wyobrażam sobie, co będzie po moim przyjeździe. Przyjaciele tylko na to czekają. Do rozpoczęcia meczu zostało 15 minut. O 20.15 zjawia się wysoki pan z brodą, z dużą torbą i pyta o reportera Polskiego Radia.

— A... to pan?! Zaraz będzie pan miał łączność z Warszawą.

I spokojnie, nie spiesząc się zbytnio, wyciąga mikrofon, rozwija kable, podłącza końcówki kabli do aparatury.

— Czemu się pan spóźnia? Czemu pan tak późno przyszedł? — nie potrafię opanować zdenerwowania.

— Jak to późno? — pyta zdziwiony, nie przerywając pracy. Przecież pan rozpoczyna transmisję o 20.40, przyszedłem więc 25 minut przed rozpoczęciem. Po co miałbym tu bezczynnie siedzieć. Przygotowanie stanowiska dla pana, to kwestia 10 minut.

— A jak nie będzie łączności?

— Nie rozumiem, a dlaczego może nie być łączności. Przecież ja wszystko wcześniej sprawdziłem, błędu nie popełnię, części zamienne mam, więc co się może takiego stać.

Rzeczywiście, po 10 minutach mam w słuchawce Warszawę. Za kilka minut słyszę program I Polskiego Radia i głos dyżurującego Bogdana Tuszyńskiego. Jeszcze próba głosu, sprawdzenie czy efekty nie zagłuszają głosu sprawozdawcy i za chwilę słyszę zapowiedź: „Łączymy się z Saint-Etienne".

Zaczynam zdenerwowany:

— Hallo, tu stadion Geoffroy Guichard! Już 10 minut walczą piłkarze Widzewa z zespołem Saint-Etienne w rewanżowym pojedynku o Puchar UEFA. Wynik 0:0. Jak do tej pory nie jest źle... zobaczymy, jak będzie dalej.

Jak było dalej, państwo doskonale wiedzą, więc właściwie nie ma o czym pisać. Bowiem tylko o zieleni — jak mówi poeta — można nieskończenie.

Johnny Rep. *Foto: Archiwum*

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

Co sobota chodzę na ryneczek przy ulicy Wodnej — często zaglądam do hal na placu Niepodległości. Przede wszystkim interesują mnie stoiska z książkami. Bazary są bowiem najbardziej czułym barometrem zainteresowań czytelniczych społeczeństwa. Wydawca może sobie pozwolić na ustalenie „księżycowego" nakładu i „księżycowej" ceny — bukinista nie może. On nie działa w oparciu o budżet i dotację — on działa po prostu z chęci zysku, a nie z chęci straty...

Wiadomo, że szczególnym zainteresowaniem czytelników cieszą się książki o tematyce historycznej. Głównie zresztą dokumentalne. Nic więc dziwnego, że one właśnie osiągają ceny nieraz dziesięciokrotnie wyższe od cen nominalnych. „Akcje zbrojne podziemnej Warszawy" Strzembosza bukiniści cenią nawet wyżej, bo 1200 złotych wobec nominalnej ceny 100 złotych. „Poczet królów i książąt polskich" kosztuje 1500 złotych — „Rok 1918" prof. Kowalskiego — 500 złotych...

Wydawcy zapowiadają tzw. dodruki lub drugie wydania — i słusznie, bo wiedza historyczna o własnym kraju jest sprawą tak fundamentalną, że nie powinno na nią brakować papieru.

O ambicjach intelektualnych społeczeństwa świadczy również ogromny popyt na wszelkiego rodzaju encyklopedie, słowniki i leksykony. Czterotomowa Encyklopedia PWN, która w subskrypcji kosztuje 1600 złotych — na bazarach wyceniana jest na 5000 złotych i cena ta utrzymuje się od dłuższego czasu, mimo, że wydawnictwo wydrukowało już drugą serię encyklopedii w nakładzie pół miliona egzemplarzy.

Niektórzy oburzają się na te kosmiczne ceny — na to, że bazarowe „notowania" są czasem bezczelnie wysokie... Pewno, że nie jest to zjawisko, któremu można przyklasnąć — może ono z pewnością irytować. Ale — jak już wspomniałem — jest to swego rodzaju barometr. Jeśli istnieją jakieś badania rynku księgarskiego — a muszę wierzyć, że istnieją — to powinny one uwzględniać ten ruch cen na bazarach. I choćby z tego względu ta „wolna konkurencja" „Domu Książki" chyba nie jest zjawiskiem najgorszym. W każdym razie znam gorsze.

BAZAR I KSIĄŻKI

A już na pewno nie należy tego zjawiska likwidować w trybie administracyjnych zarządzeń i zakazów. Bazar bowiem pełni jeszcze inną rolę. Jest swoistym muzeum książki dla jednego zbędnej — a innemu potrzebnej. Na tym placyku przy ul. Wodnej spotykają się ci, którzy potrzebują książki — i ci którzy chcą ją sprzedać. Dobrze, że jest w Łodzi takie miejsce.

Bo przecież książka to piękno i radość, dobro i wielkość — ale także brzydota i zło, płacz i śmieszność... Czyli to wszystko z czego składa się ludzkie życie. Książki nawet zdefiniować nie można, bo każda definicja wypadnie pusto i beznamiętnie, ubogo i nieprawdziwie.

Nie może być pełnej definicji książki bo nie można zdefiniować tego bezmiaru spraw i wzruszeń, jakie to pojęcie zawiera.

Ignacy Krasicki tak pisał o książce: „Nierozdzielny towarzysz — przyjaciel bez interesu — domownik bez naprzykrzania". No i wreszcie, jak nie przywołać cytatu z „Pana Tadeusza":

„O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
żeby te księgi zbłądziły pod strzechy".

A więc czy błądzą te księgi pod strzechy? Problem to stary jak świat. Jakie mamy nakłady? Za duże czy za małe? Czego jest za dużo, a czego za mało? Czy więcej prymitywnych, doraźnych kompilacyjek — czy więcej podręczników i literatury pięknej?

Czy możemy, czy powinniśmy sprzedawać więcej książek? Czy zjawisko bazaru i sprzedawania niektórych książek spod lady powinno nas cieszyć (bo duży popyt) — czy smucić (bo za mała podaż)?

Książka jest dobrem podwójnym — ponieważ jest dobrem materialnym i dobrem duchowym. Dobra materialne utrzymują nas przy życiu — dobra duchowe natomiast konieczne są dla utrzymania sprawności naszego umysłu, naszej zdolności rozumienia spraw i rzeczy. I fakt, że tak niepomiernie wzrósł popyt na książki dobrze świadczy o ambicjach intelektualnych społeczeństwa.

WIDOK

Z GALERKI

ZYGMUNT HYŻY

Pejzażysta.
Plenerzysta.
Malarz dobry
Oczywista.

Rys. Stanisław Ibis Grabkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

W porannym przeglądzie prasy w radiowych „Sygnałach dnia" usłyszałem między innymi, że to wędkarze ponoszą winę za coraz mniejszą ilość ryb pluskających się w naszych jeziorach i rzekach. Wędkarzy — jak się dowiedziałem później z oryginału rozmowy drukowanej w „Życiu Warszawy" pt. „Wychodzenie z matni" — jest w Polsce około 700 tysięcy A każdy z nich łowi rocznie średnio 12 kg ryb. Była to rozmowa z Sławomirem Litwinem — zastępcą dyrektora w Centralnym Zarządzie Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej. Rozmowa ta ukazała się w „Życiu Warszawy" 10 października 1979 roku.

Sam lubię połtać sobie z wędką nad jeziorem w czasie urlopu. Zgodnie z szacunkiem Polskiego Związku Wędkarskiego i PG Rybnych powinienem w ciągu miesiąca złowić 1 kg ryb. Czasem nawet udaje mi się przekroczyć tę normę, co jest zgodne z zasadami obliczania średniej wielkości Innemu się bowiem i to może nie udać. Sam zresztą takie przypadki widziałem i mnie nie jeden raz już zdarzało się wracać z ryb bez ryb.

Każdego wędkującego w Polsce, jeśli nie jest kłusownikiem, pouczają w PZW, że powinien nie tylko bezmyślnie wpatrywać się w spławik, ale też podziwiać przyrodę, relaksować się, być czujnym na wszelkie naruszanie naturalnego środowiska człowieka i korzystać ze wszech miar z kontaktu z przyrodą Tak więc korzystam ile tylko mogę, patrzę, uczę się, podziwiam, obserwuję i staram się wyciągać wnioski. Skoro tylko usłyszałem, że wędkarze ponoszą winę za to, że w naszych jeziorach, rzekach i stawach nie ma ryb, pomyślałem sobie, że trzeba odgrzebać wszelkie te moje obserwacje i przypomnieć różne zdarzenia z wakacyjnych podróży i zastanowić się, jak to z tym wędkarskim niszczeniem ryb jest. Czy przypadkiem PG Rybne nie znalazły sobie kozła ofiarnego, aby wykazać wszem i wobec każdemu, iż nie oni są winni.

NA RYBY

Jest faktem, że ryb słodkowodnych jest mało. Nawet w restauracjach leżących nad jeziorami można zjeść tylko ryby morskie. Dawno już nie zdarzyło mi się zjeść szczupaka w galarecie, albo karpia. Czasem, i to w niektórych tylko okolicach, można spotkać smażoną sielawę. Dyrektor Sławomir Litwin twierdzi, że będąc nad jeziorem Wdzydze sam sprawdził, co mają złowionego rybacy ulokowani 1,5 km od restauracji, w której jadł obiad. Mieli szczupaki, sandacze, sielawę i leszcze. Ale nikomu nie przyszło do głowy, aby kupić w PG Rybnych ryby dla miejscowej knajpy. A tak jest nie tylko nad jeziorem Wdzydze.

Każdy wie, że mamy sporo rzek tak zatrutych, że ryby w nich nie znajdzie się nawet ze świeczką. Ten fakt zmniejsza powierzchnię naszych wód, w których można byłoby hodować ryby, a także nad brzegami których można byłoby wędkować. Poza tym każdy wędkarz chodzi łowić tam gdzie jest ryba. Wszelkie podręczniki, poradniki, a także doświadczenie wędkarskie poucza, jak takie miejsca znajdować, jak je rozpoznawać. Kiedy chodzić na ryby, aby coś złowić. W końcu po to chodzi się nad wodę z wędką, aby coś złowić. Ale coraz częściej zdarza się tak, że spotykający się nad wodą wędkarze pokazują sobie pustawe siatki i sadzyki i narzekają na coraz gorsze połowy. A przecież trudno posądzić tych kilkudziesięciu wędkarzy, którzy stale łowią w danym rejonie, że to oni wyłowili wszystkie ryby.

Wędkarze — co by się o nich mówiło — są pożyteczni nad wodą. Z ich składek hoduje się narybek i zarybia nasze wody. Oni to sygnalizują każde najmniejsze nawet zatrucie rzeki czy jeziora. Nie łowią ryb poniżej wymiarów ochronnych i w okresach ochronnych przewidzianych dla różnych gatunków ryb. Zdarzyło mi się natomiast widzieć rybaków, którzy łowili sieciami i nie przejmowali się zbytnio ochronnymi wymiarami. Wszystko, co było w sieci, było dla nich dobre. Nawet najmniejsza płotka. Poza tym wędrując latem po różnych pojezierzach z zasady dowiadują się, czy zarybia się tam wody, jak często i czym. I muszę przyznać, że różnie z tym bywa. Na ogół ludzie mówią, że więcej się z jezior bierze niż im daje.

Taka gospodarka rybna na jeziorach i rzekach prowadzi w rezultacie do szybkiego zmniejszania się ilości ryb w naszych wodach. Tym bardziej, że czasem i wariacje pogody nie sprzyjają rozmnażaniu się ryb. W tym roku na przykład na brak narybku nie można było narzekać. Ale były już chłodne wiosny, po których wiele ryb nie przybyło. Człowiek musi więc pomagać przyrodzie, gdyż inaczej biedni wędkarze nawet swoich 12 kg ryb nie złowią w ciągu roku. A mimo ich wędkowania coś jeszcze w jeziorach i rzekach powinno pozostać.

Jest jednak w tych rozważaniach na temat ryb pewien niepokój. Jak się to dzieje, że mimo istnienia różnych centralnych zarządów, zjednoczeń i całej tej biurokratycznej nadbudowy dochodzi do nagłych przebudzeń, kiedy się okazuje, że znów coś przespaliśmy, o czymś na czas nie pomyśleliśmy, coś źle zorganizowaliśmy. A może tak się dzieje właśnie dlatego, że ta cała biurokratyczna nadbudowa jest tak wybujała. Bo skoro w Łodzi, gdzie wody są bezrybne i jest ich bardzo mało, jest gospodarstwo rybackie, to coś tu rzeczywiście nie gra.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Znakomity polsko-angielski marynista, Joseph Conrad, uznał zastąpienie żaglowców statkami parowymi za koniec męskiej, romantycznej, zdobywczej epoki. Nie chciał służyć na statkach — maszynach i odszedł z marynarki, poświęcając swe pióro legendzie żagla.

Po stosunkowo krótkim okresie parowym nastały silniki spalinowe i błyskawicznie opanowały flotę całego świata, tak samo jak opanowały cały transport lądowy, z kolejowym włącznie. W niektórych krajach parowóz, czyli lokomotywę napędzaną węglem i parą, zobaczyć można już tylko w muzeum, a trakcję elektryczną — tylko na bocznych, krótkich liniach. Silnik spalinowy stał się powszechnym symbolem nowoczesności.

I oto co się dzieje na tym najlepszym ze światów: jedno z wielkich przedsiębiorstw przewozowych w Ameryce przystępuje do budowy **floty żaglowej**, przeznaczonej do przewozu masowych ładunków takich towarów, którym się nie śpieszy. Pośpiechu nie będzie, towar będzie się wlókł długo, ale wreszcie dopłynie i to — co najważniejsze — kosztem znacznie niższym. Ropa drożeje, ale czy cena czasu spada? Czy raczej należałoby z ulgą powiedzieć: nareszcie obłędny, zwariowany pośpiech wszędzie i za każdą cenę przestaje być molochem zżerającym nasze nerwy, dominującym nad wszystkimi ludzkimi działaniami.

Jedna jaskółka nie czyni wiosny, ale przecież niesie jakąś jej nadzieję. Winawer zachłystywał się kultem szybkości, potęgę i geniusz człowieka widział w coraz szybciej obracających się kołach maszyn. Dla futurystów pęd był pięknem samym w sobie, wyścig cenniejszy od kontemplacji, jakakolwiek zmiana cenniejsza niż nie wiem jaka stabilna postawa. Pół wieku wystarczyło, żeby znerwicowana ludzkość zaczęła odczuwać

SMOŁA Z PATAGONII

kolosalne zmęczenie i szukać ucieczki w najdziwniejszych dewiacjach kultury: pojawiły się dzieci — kwiaty, sekty samobójców, narkomani i nie myjąca nóg młodzież największych miast świata. Bezradna kontestacja zbuntowanych niczego by na pewno nie wskórała, gdyby nie wulgarny nacisk ekonomiczny: ropa zdrożała. Pośpiech za wszelką cenę przestał być motorem działania, bo „wszelka cena" nie istnieje i nie może istnieć nigdy nigdzie. Zawsze istnieje jakaś cena graniczna. A więc przyczyna pozostu ekonomiczna, pecuniarna, ale skutek może być rzetelnie humanistyczny, albo i humanitarny. Zwolnijmy obroty, to się **może** opłaci w dolarach, ale **na pewno** opłaci się w kategoriach jakości życia.

Będą trudności, to pewne. Nie wiem, czy ktoś umie jeszcze budować statki żaglowe — to musi być coś innego niż płaska krypa rudowęglowca. Czy ktoś produkuje maszty, liny, żagle, bloki, cały ten dziewiętnastowieczny ekwipunek, czy są ludzie, którzy to wszystko potrafią obsłużyć. Ale idea mi się podoba. Już widzę oczami wyobraźni na naszych polach zmartwychwstałe wiatraki, obracające się dostojnie, choć człowiek nie czuje żadnego powiewu. Czemuż by nie? Mąka z wiatraka nie jest gorsza od tej z gigantycznych „Zakładów Przemiału Zboża dla Ludności". Czytałem już, że wielkie elektrownie na kolosalnych tamach wcale nie pracują wydajniej, niż te małe, na małych rzekach. Więc może i koła młyńskie pojawią się ponownie — właśnie jako wyraz nowoczesności, tej mądrej, rozważnej, nie pędzącej na oślep? Może taki wietrzno-rzeczny napęd uruchomi na przykład wodociąg dla całej gminy? To by było więcej warte, niż dwa tygodnie czasu, zaoszczędzone na przewozie smoły z Patagonii do Oslo.

ĆWIEK

SPORT

POCAŁUNEK NA POLU KARNYM

Sędzia podyktował rzut karny za faul na Zbigniewie Bońku popełniony i dwaj polscy piłkarze pocałowali się z radości. Na ogół piłkarze gratulują zdobywcy bramki i całują go z radości. W meczu Polska — Islandia pocałunek na polu karnym wyrażał zupełnie coś innego: ratunek w beznadziejnej sytuacji. Miało być nieustanne bombardowanie islandzkiej bramki, a była jedynie bezładna bieganina na polu podbramkowym przeciwnika. Demonstracja bezradności, braku formy i kondycji. Czyli tego wszystkiego, do czego powinniśmy byli dawno już przyzwyczaić się.

Piłkarze całowali się z radości, że rzut karny daje im wynik 2:0, choć jeszcze gola nie strzelono. Było to mimowolne przyznanie się, że inaczej tego drugiego gola nasi piłkarze nie byli w stanie strzelić. Zdarza się jednak tak, że bramkarz broni strzału z rzutu karnego. Więc lepiej z radością poczekać do momentu, aż piłka znajdzie się w bramce. W tym meczu już kilka razy wydawało się, że nie ma siły, że piłka musi znaleźć się w siatce, ale, albo to któryś miał za krótką nogę i piłki nie sięgnął, albo obrońca w ostatniej chwili wybił piłkę z bramki. Niewiele brakowało, aby bramkarz islandzki obronił strzał Romana Ogazy, ale na szczęście dla polskiej drużyny tak się nie stało. Wygraliśmy w końcu 2:0, ale ten wynik nikogo nie zadowolił. Piłkarzy chyba też nie.

I wcale nie dlatego nie jesteśmy niezadowoleni, że naszym dzielnym chłopcom nie udało się nakopać Islandczykom goli bez liku, bo w taką możliwość wierzyli tylko naiwni, ale dlatego, że mieliśmy nadzieję na dobrą grę naszej drużyny i nie doczekaliśmy się jej. Kibice liczyli, że trener polskiej reprezentacji — Ryszard Kulesza coś zrozumiał z tego, co działo się w meczu z NRD na stadionie chorzowskim, albo z tego co pokazały klubowe drużyny w środę, kiedy polska piłka nożna odebrała przesławne lanie. Nic z tego. Nic z naszych oczekiwań. Trenerowi pozostał bezradny uśmiech, a niektórym komentatorom wątpliwa radość z dorabiania teorii do nie najlepszych faktów.

Oto pisze ktoś, że trener tak kraje, jak mu materii staje, czyli nie bardzo ma z czego wybierać. Ale o tym wiadomo nie od dziś i nie czas pisać o tym dopiero na tydzień przed meczem z Holandią, w którym może dojść do totalnej kompromitacji polskiej piłki nożnej, jeśli nasi piłkarze grać będą na takim poziomie, na jakim grają do tej pory. A nic nie wskazuje, że poziom ten nagle się podniesie.

Inny teoretyk donosi, że „murawa stadionu była śliska (wieczorna rosa)" i dlatego nasi nie mogli strzelać celnie i skutecznie. Islandczycy grali chyba na suchym boisku i dlatego skutecznie bronili się przed polskimi atakami przez całe 45 minut pierwszej połowy. A poza tym Islandczycy grali o przysłowiową pietruszkę, ale grali, obnażając braki w kondycji i wyszkoleniu naszych reprezentantów.

Czas chyba realnie spojrzeć na stan polskiej piłki nożnej. Przeżywa ona głęboki kryzys, który zaczął się zaraz po mistrzostwach świata w 1974 roku w RFN. Kryzys ten stopniowo pogłębiał się, choć czasem naszym piłkarzom udawało się wynieść się ponad własny poziom i na przykład zakwalifikować się do mistrzostw świata w Argentynie

W piłkarstwie zdarzają się kryzysy. Przykładem drużyny CSRS, Węgier, RFN. Ale wtedy szuka się sposobów wyjścia z kryzysu. Reprezentacja CSRS odpadła wprawdzie w eliminacjach do mistrzostw świata, ale teraz przoduje w swojej grupie w eliminacjach mistrzostw Europy. Również drużyna olimpijska CSRS przygotowywała się solidnie do olimpijskich eliminacji i wcale nie jest powiedziane, czy w środę, 17 października 1979 roku, tego samego dnia, kiedy będziemy grali z Holandią, zdołamy sprostać reprezentantom CSRS.

Ale żeby już zupełnie było ponuro, w niedzielę, 14 października odbyło się losowanie do mistrzostw świata w Hiszpanii. Los nam przydzielił ponownie drużynę NRD. Jest to drużyna, z którą od dawna nie potrafimy sobie jakoś poradzić. Zatem i nadzieje na finał w Hiszpanii są niewielkie.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red naczelny 680 99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26732. Zam. 2361. A-11.

Załącznik nr. 471/.../79

HASŁO NUMERU: W Miesiącu Oszczędzania pleć raz po raz, nie trzy po trzy

TAK SIĘ ZŁOŻYŁO

W jednej ze zbiorczych szkół gminnych województwa piotrkowskiego, nagrody ministra oświaty i wychowania otrzymały z okazji Dnia Nauczyciela trzy nauczycielki. Jedna z nich jest żoną sekretarza, druga żoną naczelnika gminy, trzecia żoną dyrektora zbiorczej szkoły gminnej. Tak się złożyło.

Tak się wnioski złożyło.

SPRZĄTANIE MERCEDESEM

Na ogłoszenie o poszukiwaniu sprzątaczek zgłosiła się do wydziału kadr jednej z łódzkich instytucji pani, która, jak się okazało, nie umie ani pisać, ani czytać. Zdarza się. Był nawet problem z wypełnieniem ankiety personalnej, ale tylko przez chwilę. — Zaraz wypisze mi kierowca — oświadczyła pani. Przed wyjściem stał nieco sfatygowany Mercedes.

Mercedesem tym osobisty kierowca sprzątaczki, której zależy na wpisie o zatrudnieniu w dowodzie osobistym, codziennie odwozi ją teraz do pracy i z powrotem.

NAUKA DYKCJI

W ubiegłą sobotę pewien pan, zmęczony już nieco imieninami jednej Teresy, chciał się koniecznie dostać na imieniny drugiej i w tym celu wsiadł do taksówki. Rzucił niedbale nazwę ulicy i przysnął. Obudził się, kiedy samochód stanął. — Panie, gdzie mnie pan przywiózł? — zwrócił się do kierowcy.

— Chciał pan Pieniny, ma pan Pieniny, na Stokach.

— Na Pienistą chciałem, a nie tutaj!

Kierowca zawrócił, a imieninowy podróżnik, podczas peregrynacji przez całe miasto, na jednej z najdłuższych chyba tras, dumał o potrzebie nauki dykcji. Pierwsza lekcja kosztowała go dość drogo.

PTASZKI

W okolicach Radiostacji — w parku 3 Maja i pobliskim osiedlu — zagnieździło się stado ekshibicjonistów. Ptaszki to stado ma małe, ale ruchliwe: a to ukaże się taki w szybie zablokowanej windy, a to zza drzewa wyjrzy, a to z krzaków wyskoczy.

Nie są to ptaszki niebezpieczne dla kobiet dorosłych, ale dziecię przerazić mogą.

Wypłoszyć je trudno, bo zmotoryzowanie patroli MO, które od czasu do czasu przemierzają okolice, sprawiło, że patrole te są bezpieczne zarówno dla MO, jak i ptaszków.

Ponoć uciążliwe ptactwo z parku im. Moniuszki wypłoszono przy pomocy nagrania krzyku grozy szpaków. **Może by tak dla potrzeb parku 3 Maja i okolic nagrać krzyk grozy ekshibicjonistów?**

K.

KRONIKA TOWARZYSKA

Rys. Andrzej Tylczyński

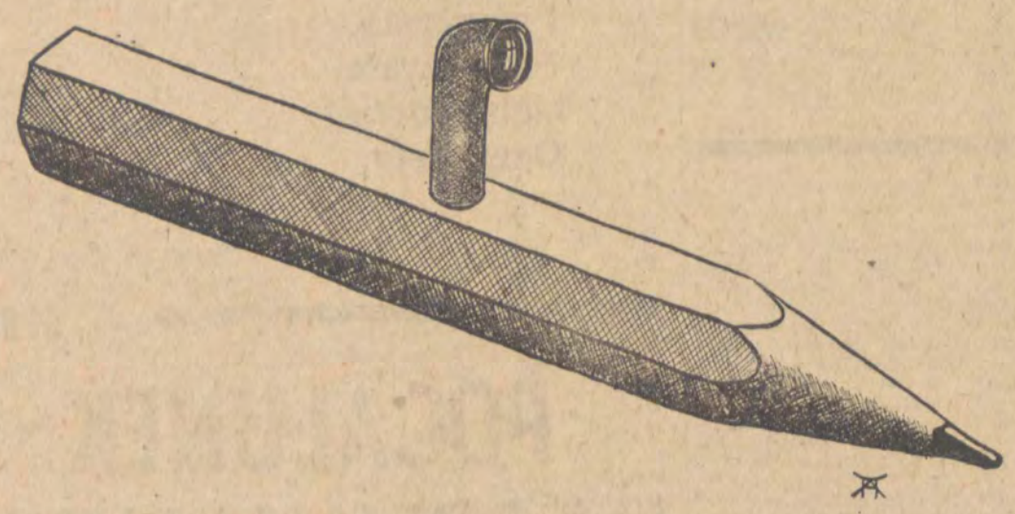

Rys. Andrzej Adamowicz

MŁODZI I STARZY MISTRZOWIE

Pabianiczanin E. Siubdzia zdobył tytuł mistrza Polski w Ogólnopolskim Konkursie Doręczycieli Wiejskich (dawniej: listonoszy). E. Siubdzia najlepiej opanował tajniki jazdy na rowerze i „zarabiania worka".

Konkurs odbył się w Łodzi (wieś raczej względna), pod auspicjami Ministerstwa Łączności. Czekamy teraz na Ogólnopolską Spartakiadę Starszych Referentów. I proponujemy pierwszą konkurencję: który dłużej przetrzyma (pod drzwiami) petenta.

* * *

Artur Rubinstein zapowiada kolejny przyjazd do Polski. W związku z tą podróżą 92-letni mistrz udzielił wywiadu korespondentowi „Życia Warszawy". Nie zabrakło akcentów łódzkich:

Mistrz: „...Istnieje dom, w którym się urodziłem, w Łodzi, przy ul. Piotrkowskiej. Gdy ostatnio, wiosną 1975 r. odwiedzałem moje rodzinne miasto nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zobaczyć, czy ten dom stoi jeszcze (...) Dom stoi, jak stał. Z radości odtańczyłem na podwórzu sewiliane. Ale na górę nie śmiałem, bez zapowiedzi, zaskakiwać obecnych jego lokatorów. Ale po moim odejściu dziennikarze odwiedzili to mieszkanie (...) Mówili, iż obecna lokatorka była zawiedziona, iż nie wszedłem na górę, bo jej córka jest... pianistką.

„Ż.W.": — Tym razem odwiedzi Pan to mieszkanie?

Mistrz: — Jeśli gospodarze pozwolą...".

Jesteśmy przekonani, że nie tylko pozwolą, ale i podejmą mistrza fortepianu (i taktu) z iście staropolską gościnnością... A swoją drogą, czy nie czas pomyśleć o choćby symbolicznym upamiętnieniu miejsca, w którym urodził się wielki artysta? Gdyby pomysłu nie miało Towarzystwo Przyjaciół Łodzi ani Urząd Miasta, to może będzie miał go sam mistrz...

(Kadrowiec)

* * *

Nie najlepiej powodzi się ostatnio łódzkiemu „Pstrągowi". Ci, którzy pamiętają starego „Pstrąga" — tego z drugiej połowy lat pięćdziesiątych — powiadają czasem z nutką żalu, iż daleko mu dzisiaj do czasów świetności, gdy był jeszcze teatrem satyry... Nosił wówczas nazwę: Studencki Teatr Satyry (STS) „Pstrąg". Dziś brzmi ona krócej: Studencki Teatr „Pstrąg", ale też krócej chce się o nim gadać po kolejnych premierach...

Nowe nadzieje wzbudził jednak anons, który ukazał się niedawno (12 października br.) w „Dzienniku Popularnym":

„STS „Pstrąg" ogłasza przyjęcia do teatru...".

Czyżby więc powrót do studenckiej satyry? Ucieszyliśmy się, ale też zwątpiliśmy zaraz... Bo może to tylko ożyły zadawnione sympatie i daty — tak niespodziewanie — znać o sobie z podświadomości któregoś z redaktorów „Dziennika"? — a, jak wiadomo, spora przygarść dawnych „pstrągów" siedzi dzisiaj rozrzucona po łódzkich publikatorach...

BARIERĄ W GŁOWĘ

Zdjęcie, które obiegło cały świat — hitlerowscy żołdacy rozbijający polską bariere graniczną, ukazało się w 41 numerze „Tygodnika Piotrkowskiego", skojarzone bezpośrednio z wielkim tytułem — „Współnota".

Coś nam się zdaje, że łamiący ten numer „Tygodnika" redaktor był przy zdarzeniu obecny i bariera graniczna rąbnęła go w głowę.

(k.)

PRZETAŃCZYLIŚ?

Wpadła nam w ręce (za 60 zł) najnowsza książka Antoniego Marianowicza, wydana przez WAiF, wydrukowana w Białostockich Zakładach Graficznych.

Rozemocjonowani lekturą doszliśmy do 70 strony, aby stwierdzić, że wydrukowana jest tylko w połowie, i to na ukos. 71 strona jest już w całości biała kartka podobnie jak 74, 75, 78 i 79.

Książka nosi tytuł „Przetańczyć cała noc...". Coś nam się zdaje, że białostoccy drukarze wzięli tytuł za skierowany do nich imperatyw...

A GDYBY TAK...

Kto śledzi uważnie kalendarz, ten może się przekonać, że każdego dnia wypada jakieś święto. A to Dzień znaczka pocztowego, a to Dzień oświetlenika, a to Święto ziemniaka a to Tydzień pisania listów, a to znów Dzień normalizacji. I tak przykładów można byłoby podać więcej.

A gdyby tak zrobić też święto DNIA POWSZEDNIEGO!?!?

Zyg.

ZE ŚWIATA ★ ZE ŚWIATA

MAKOWIECKI W HISZPANII

Jak doniósł „Dziennik Popularny" nasz redakcyjny kolega, Andrzej Makowiecki, udał się do stolicy Hiszpanii, Madrytu, na zaproszenie tamtejszego rządu.

Oto kolejne doniesienia.

Na lotnisku w Madrycie gościa witali . . . . . .*).

. . . . . .

Następnie gość udał się do . . . . . .*).

. . . . . .

na powitalny cocktail, po czym na krótki wypoczynek do rezydencji w . . . . . .*).

w towarzystwie Consueli . . . . . .*).

. . . . . .

Dalsze losy gościa nie są znane, będziemy o nich donosić w miarę dopływu informacji.

Przepraszamy za luki w sprawozdaniu, spowodowane awarią Telstara.

(Globtroter)

*) Zniekształcenia na drodze transmisji. Miejsca wykropkowane być może uzupełnimy w terminie późniejszym.

WELCOME

Rys. Andrzej Adamowicz

HENRYK SROCZYŃSKI W PRADZE I PILŹNIE

„W pociągu do Pragi było zimno" — donosi red. Henryk Sroczyński z „Głosu Robotniczego". Za to w Pilźnie...

„Przy drogach, a nawet na ulicach, rosną setki drzew owocowych. Każdy z obywateli może wykupić sobie takie drzewo: płaci pięć koron rocznie. Przed zbiorami zawiesza na nim kartkę, informującą, że... to własność prywatna. Zebrany owoc dostarcza przetwórni, gdzie natychmiast, za niewielką opłatą, otrzymuje, gdy są to śliwki, odpowiednia ilość czystej śliwowicy. Poznałem kilku Czechów, którzy zapraszali mnie do domu na ten trunek".

Widzieliśmy ostatnio red. Sroczyńskiego. Był już rozgrzany.

(Abstynent)

WACŁAWA KASPRZAK W BUŁGARII

Red. Wacława Kasprzak z „Dziennika Popularnego" przebywała ostatnio w Bułgarii, a w niej m. in. w Gabrowie.

„Niestety, w Gabrowie nie mogliśmy się zatrzymać na dłużej, ponieważ nie było tam możliwości noclegu. Miasto obejrzałam więc przez szybę samochodu".

Na dodatek szyba była zakręcona.

(Światowit)

FIATEM LEPIEJ...

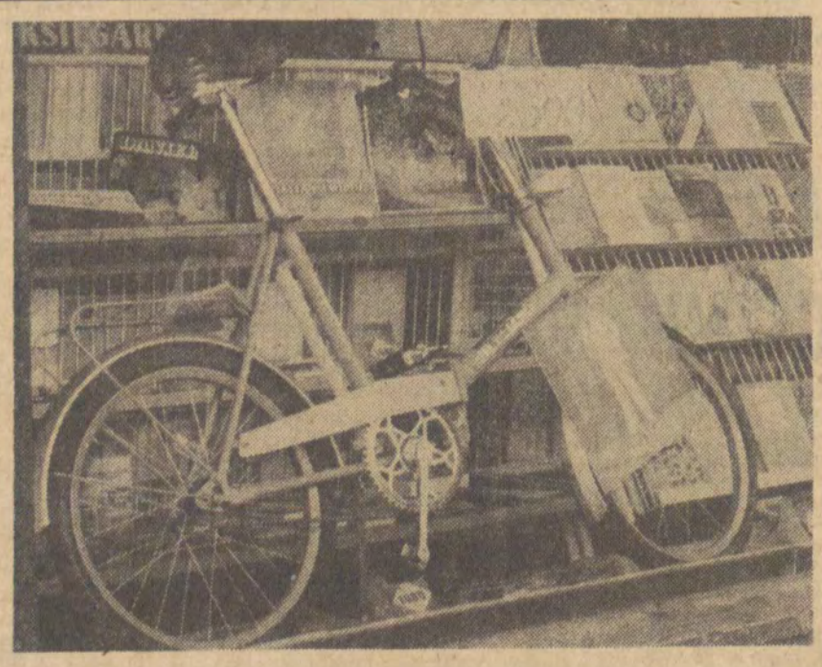

W Pabianicach, w księgarni przy ul. Żukowa 74, umieszczono w witrynie... rower. Rozumiemy — kłopoty z nowościami książkowymi: rower przyda się przy poszukiwaniach. Ale, czy nie lepszy byłby „Fiat 126p"?

Foto: R. Łucyszyn

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

FRASZKI SZEKSPIROWSKIE

„MIARKA ZA MIARKĘ"

**Nawet w dobrej wierze na urząd nie sarkaj,
bo może ci przypaść zamiast miary miarka.**

„ANTONIUSZ I KLEOPATRA"

**Ten dramat klasyczny do fraszki zawężam:
on chciał żyć jak Cezar, ona miała węża.**

„JAK WAM SIĘ PODOBA"

**Już wtedy świtała nowej władzy doba.
Miast: — panu, pytano: Jak wam się podoba...**

„WIECZÓR TRZECH KRÓLI"

**Gdy szybko w ów wieczór zdjęła z siebie wszystko
poczuł, że się z wolna staje monarchistą...**

„OPOWIEŚĆ ZIMOWA"

**Znowu nad Szekspirem zastygłem w zachwycie...
Elektrownia światło wyłączyła w szczycie!**

ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

KACZA ZUPA

Część III. Polowanie

Silne szarpanie za ramię wyrwało mnie z głębokiego snu.

— **Panie myśliwy, pora. Kaczki nie będą na nas czekały** — nade mną pochylał się strażnik łowiecki Marucha.

Trzeba było wstawać. Zanurzyłem głowę w lodowatej wodzie, którą przezornie przygotowali dla mnie bracia Maruchowie w misce przed domem. Pomogło. Strzelba, kilka paczek amunicji i wychodzimy.

Przed domem czekał już „wyżłopodobny" merdając przyjaźnie ogonem. Marucha szedł przodem, ja za nim, starając się utrzymać równowagę na cienkich żerdziach, którymi wyłożony był nasz myśliwski szlak do brzegu rzeki. Szliśmy w stronę Czarnej Hańczy. Po kilkunastu minutach marszu dotarliśmy do przywiązanej do palika łodzi, wydrążonej w pniu drzewa.

— **Proszę na dziób** — powiedział Marucha.

„Wyżłopodobny" ułożył się wygodnie w środku łodzi. Z trudem usadowiłem się w chwiejnym czółnie. Marucha zaś z rufy długim kijem, opierając go o dno rzeki popychał łódkę. Podniecenie polowaniem, a także rześkie powietrze sierpniowego poranka wypędziły z organizmu resztki wieczornej biesiady.

Załadowałem moją wspaniałą strzelbę. Byłem wyostrzony i bojowy. Pierwsze kaczki zerwały się z prawej strony. Złożenie i strzał były dziełem jednej chwili. Pies skoczył do wody aby po chwili powrócić i ułożyć się na swoim miejscu w łodzi. „Pierwsze śliwki robaczywki" — pomyślałem ładując fuzję ponownie.

Następne stado kaczek poderwało się z szuwarów tuż przed łodzią. Ptaki nabierały wysokości, odlatując wprost ode mnie. Strzał. Pudło. „Wyżłopodobny" skacze do wody. Wraca i układa się w środku łodzi.

Wydmuchuję z luf niepotrzebny dym i wsuwam dwa następne ładunki. Marucha, jak precyzyjny automat, sterowany doskonale zaprogramowanym komputerem, popycha łódkę wzdłuż szuwarów. Zdaje się nie zwracać uwagi na to, co dzieje się wokół niego.

Słońce stało już wysoko, kiedy wracaliśmy do domu. Na dnie łodzi piętrzyła się sterta łusek po nabojach. „Wyżłopodobny" spał snem sprawiedliwych, jakby wiedząc, że już go nic wielkiego nie czeka.

c.d.n.